



**POLACY, KTÓRZY
ZMIENILI ŚWIAT**
ÓSMY ODCINEK

PYZA I WIKŁO: KODZIARSKA PAJĘCZYNA W PAN-ie

ROKITA: REFORMĘ SĄDOWNICTWA TRZEBA OBRONIĆ

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 40 (305) 2018
1-7 października

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA:

POLSKA ZYSKUJE MOC

**W EKSKLUZYWNYM WYWIADZIE
ROZMAWIAMY O SPOTKANIU
Z DONALDEM TRUMPEM,
DEPOSTKOMUNIZACJI, MORAWIECKIM,
REFORMIE SĄDOWNICTWA
I PLOTKACH, KTÓRE MAJĄ ZRANIĆ**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694





W GRONIE GIGANTÓW

PKO Bank Polski to jedyna polska spółka w gronie największych firm świata według indeksu rynków rozwiniętych FTSE Russell. Wartość rynkowa banku wynosi 53 mld zł*.



Bank Polski
dzień dobry

*Na podstawie kursu akcji PKO Banku Polskiego na zamknięciu sesji GPW 26 września 2018 r.

Polacy Stulecia Niepodległości

Nie byłoby świętowania 100-lecia niepodległości, gdyby nie bohaterskie zrywy Polaków, waleczne powstania, pielęgnowanie ojczystej mowy, historycznego dziedzictwa i chrześcijańskiej wiary ojców. Nie byłoby zwycięstwa bez ich ofiary, wierności, miłości Bogu i ojczyźnie. O wielu z nich nie pamiętamy. Części nawet nie znamy. Czas odkurzyć karty historii i przywołać ich nazwiska.

„Wyborcza” poszukuje Polki Stulecia, stawiając wśród kandydatek Annę Grodzką. Osobliwe. Rozkrzyczane feministki nawet narodowe święto wykorzystają do kłamliwej propagandy. A przecież nie mamy powodu do kompleksów. Prawa wyborcze otrzymaliśmy wcześniej niż Amerykanki, Brytyjki, Francuzki czy Szwajcarki. Zagwarantował to w 1918 r. wydany przez Józefa Piłsudskiego dekret o ordynacji wyborczej do Sejmu. Wielka Brytania wprowadziła prawa wyborcze dla kobiet 10 lat później, Francja 26 lat, a Szwajcaria dopiero w 1971 r.

Sila i rola Polek w narodowych zrywach była opisywana w literaturze przez wieki. Nie potrzebowały genderowych wzorców z Zachodu, by twórczo wpływać na kształtowanie mężczyzn, a w chwilach wymagających najwyższej odwagi stawiać razem z nimi czoła zagrożeniu. Tak jak mężczyźni zmieniali bieg wydarzeń i wpływały na najistotniejsze wybory ludzkości. Zamiast więc kopać kolejną absurdalną przepaść, poszukajmy wspólnie Polki i Polaka Stulecia Niepodległości. Propozycje kandydatów do plebiscytu „Sieci” i wPolityce.pl prosimy przysyłać na adres redakcja@wPolityce.pl do 15 października.

Marzena Nykiel

Londyński sukces Polski

Polski rynek wszedł do światowej ekstraklasy. FTSE Russell – jedna z dwóch, oprócz MSCI, najważniejszych agencji tworzących globalne indeksy giełdowe – przeniósł nas z kategorii rynków rozwijających się do rozwiniętych. Polska opuściła towarzystwo Meksyku, Brazylii czy Czech i weszła do ekskluzywnej grupy 25 supergospodarek, z takimi prominentnymi krajami jak Wielka Brytania, Francja, Japonia i oczywiście USA.

FTSE Russell dokładnie prześwietlił polski rynek kapitałowy – naszą giełdę, instytucje rozliczające transakcje, zbadał prawo regulujące obrót różnego rodzaju instrumentami finansowymi. Ocena wypadła perfekcyjnie. Dla wielkich globalnych funduszy to sygnał, że nasz rynek jest bezpieczny, rządzi na nim jasne zasady, jest konkurencyjny. Jednym słowem, spełnia najwyższe standardy rynków rozwiniętych. Fundusze dysponujące olbrzymimi kapitałami, które omijają mniej stabilne rynki rozwijające się, będą teraz mogły – jeżeli zechcą – inwestować u nas swoje pieniądze. FTSE Russell daje im gwarancję, że zasady obowiązujące na polskim rynku kapitałowym na pewno im nie zaszkodzą.

Polski sukces świętował nie tylko nasz rynek, lecz również londyńska giełda, do której należy FTSE Russell. W poniedziałek, 24 września, reprezentacja Polski – szefowie GPW, PKO Banku Polskiego, Banku Pekao SA, Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych, Polskiego Funduszu Rozwoju, TFIPZU SA – otworzyła sesję w sercu światowej finansjery – na giełdzie w City. London Stock Exchange gratulował Polsce niebywałego sukcesu.

Stanisław Koczot, „Gazeta Bankowa”





ZIELONE INWESTYCJE W KATOWICACH

Dynamiczną przemianę Katowic z miasta przemysłowego w atrakcyjną do życia stolicę dwumilionowej metropolii dostrzeżono poza granicami Polski

Wiele osób zaskakuje informacja, że Katowice to trzecie najbardziej zielone miasto w Polsce. Lasy, parki i stawy stanowią prawie połowę powierzchni stolicy województwa śląskiego. Jest to jeden z ważniejszych czynników zapewniających wysoką jakość życia w mieście. Doceniają to zarówno sami katowiczanie, jak i osoby, które przeprowadzają się do stolicy województwa śląskiego.

Eksperti podkreślają, że w Katowicach duży nacisk kładzie się na tzw. przemysł czasu wolnego. - Jako Miasto Kreatywne Muzyki UNESCO mamy szeroką ofertę wydarzeń kulturalnych czy też sportowych. Natomiast dla wielu katowiczian bardzo ważna jest także możliwość rodzinnego wypoczynku na łonie natury – mówi Maciej Stachura, naczelnik wydziału komunikacji społecznej Urzędu Miasta Katowice.

W katowickiej Dolinie Trzech Stawów, porównywanej przez wiele osób do nowojorskiego Central Parku, warto założyć rolki i przetestować nową, prawie 4-kilometrową rolkostradę lub wypożyczyć kajak. Można też tam spotkać setki biegaczy i wziąć udział w wielu imprezach biegowych. Z kolei lasy na południu miasta cieszą się wielką popularnością wśród rowerzystów. W całym mieście jest łącznie 170 km dróg i tras rowerowych, a Katowice zajęły niedawno czwarte miejsce w Polsce w „rowerowym rankingu polskich miast 2018” portalu morizon.pl.

Zielone dzielnice

W ostatnim czasie władze miasta kładą nacisk na realizację zielonych inwestycji w dzielnicach. Z jednej strony to duże projekty, jak warte łącznie 10 mln zł rewitalizacje dwóch miejskich parków czy budowa tętni solankowej. Z drugiej strony, w ramach „akcji dzielnic” oraz budżetu obywatelskiego w Katowicach realizowanych jest kilkadziesiąt drobnych projektów polega-

jących na modernizacji skwerów osiedlowych. Są tam nasadzane drzewa, krzewy, a także instalowane elementy małej architektury. Dzięki temu powstają przestrzenie, w których mieszkańcy okolicznych budynków mogą odpocząć na ławeczce wśród zieleni i spotkać się z sąsiadami.

Właśnie ta „zielona” polityka miasta, a także kładzenie dużego nacisku na walkę o czyste powietrze oraz ekologiczny transport wpłynęły na to, że Katowice zajęły pierwsze miejsce w rankingu jednego z ogólnopolskich magazynów w kategorii „najbardziej ekologiczne miasto w Polsce”. Jednocześnie przemianę Katowic z miasta przemysłowego w nowoczesną stolicę ponad dwumilionowej metropolii zauważono w skali międzynarodowej. To właśnie stolica województwa śląskiego otrzymała od ONZ status gospodarza Szczytu Klimatycznego COP24, który w grudniu tego roku przyciągnie do Katowic 30 tysięcy osób z całego świata, które będą decydować o przyszłości globalnej polityki klimatycznej.

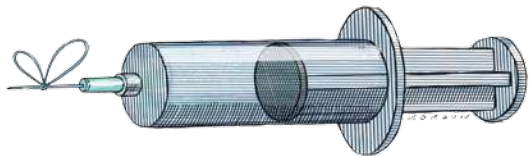
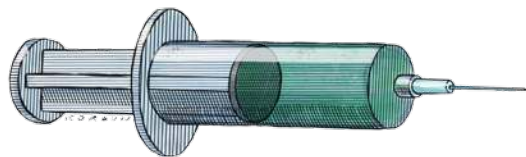


42

Antyklerykalizm 2018
Stanisław Janecki

51-
-58

**Polacy, którzy
zmienili świat**
odc. VIII



70

**Dwugłos
o szczepionkach**
*rozmawia
Aleksandra
Jakubowska*

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALESTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 CIEMNO POD LATARNIĄ**
Krzysztof Feusette
- 10 DYWERSANCI ATAKUJĄ**
Jan Pietrzak
- 11 SOLIDARNOŚĆ I PRAWORZĄDNOŚĆ**
Bronisław Wildstein
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński
- 14 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 16 W INTERESIE OBYWATELI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 17 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 18 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

- 30 GDY NAUKA SIĘGA DNA**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 36 DWA SCENARIUSZE**
Jan Rokita
- 39 PRZED WSTRZĄSEM**
Piotr Skwieciński
- 42 ANTYKLERYKALIZM 2018**
Stanisław Janecki
- 45 ARTYŚCI ZAANGAŻOWANI**
Konrad Kołodziejczyk
- 48 TRUDNA PRZESZŁOŚĆ
OBROŃCY DEMOKRACJI**
Piotr Filipczyk

SIECI KULTURY

- 59 WIRONOWICZ: BYŁEM W SZOKU**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 62 KASZUBSKA GOLGOTA**
rozmowa z Markiem Klatem

- 65 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 66 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 68 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

- 70 DWUGŁOS O SZCZEPIONKACH**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 74 W SPRAWIE KLERY**
Marek Markiewicz

ŚWIAT

- 76 KOŃ TROJAŃSKI W MIEŚCIE BOGA**
Grzegorz Górny

GOSPODARKA

- 80 MIELIZNY MATCZYNEJ EMERYTURY**
Dorota Łosiewicz

KUCHNIA

- 86 MOJE SMAKI: GRAŻYNA KUROŃ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 87 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 88 SORRY, DZIEWCZYN**
Piotr Skwieciński
- 90 MYŚLEĆ I DZIAŁAĆ SAMODZIELNIE**
Wojciech Reszczyński
- 91 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 SAMI SWOI**
Aleksander Nalaskowski
- 93 PRĄDY I WIELBŁĄDY**
Wiktor Świetlik
- 94 NAJPIERW LUSTRACJA,
POTEM DOTACJA**
Jan Pospieszalski
- 95 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 96 ROBIMY RADIO WNET**
Ryszard Makowski
- 97 NOWA PIOSENKA JESIENNA**
Leszek Długosz
- 98 PIGUŁKA GWAŁTU DLA WSZYSTKICH**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Sygnalista nadaje

Wschodząca gwiazda opozycji, typowany przez niektórych na kandydata na prezydenta, prawnik Marcin Matczak tak zapędził się w sporze z blogerem Piotrem Wielguckim (vel Matka Kurka), że puścił takiego oto tweeta: „Kiedyś mówiłeś, że twoja córka idzie na prawo do Wrocławia, prawda? Wyślę ten twój defekacyjny tekst moim kolegom z Wydziału i poproszę, żeby go omówili na zajęciach w Jej grupie jako przykład mowy nienawiści. Zobaczymy, jak będziesz piszczał, jak wróci do domu”. Prawda, że Europejczyk pełną gębą? On daleko zajdzie.

Matczak albo nie był w pełni zmysłów, albo rzeczywiście mądry nie jest, skoro pozwolił sobie na coś tak niebywałego. Ale należą mu się także podziękowania, bo otwarcie opisał to, co bywa codziennością. Pisowcy to twardy ludek, nie skarżą się, ale w szkołach podstawowych, średnich i na uczelniach ich dzieci łatwo nie mają. Zwłaszcza w bastionach lemingów. Dokuczają i uczniowie, i nauczyciele. Bywa że trzeba przenosić pociechę do innej placówki. Ale żeby obraz nie był tak czarny: odpowiedzią na nienawiść jest dyskretna solidarność pisowców. U lekarza, mechanika, w urzędzie – pisowiec pisowca rozpozna i zawsze chętnie pomoże.

Tymczasem michnikowszczyzna znów gra w głuptaka i przekonuje świat, że film „Kler” powstał z życzliwości do Kościoła i z umiłowania chrześcijaństwa. Ma być ozdrowieńczy i oczyszczający. Według tej logiki Żydzi w III Rzeszy powinni byli traktować film „Żyd Süß” jako życzliwy gest

ze strony nazistów. Sztuczka z „oczyszczaniem” śmierzdi na kilometr i po tych prawie 30 latach tylko najwięksi idioci mogą kupić tak tanią bajeczkę. Tym bardziej że na premierze „Kleru” pojawił się sam Jerzy Urban i... wszystko stało się jasne. Tu już nie pomogą żadne słowa, jego gęba mówi wszystko.

Goebbels, gdyby żył, też by przyszedł. 28 maja 1937 r. podczas wiecu w berlińskiej Deutschlandhalle tak szkicował strategię walki z Kościołem: „Każdego dnia wychodzą na światło dzienne przypadki nadużyć seksualnych, których dopuszczają się członkowie kleru katolickiego. Niestety, nie można już mówić o pojedynczych przypadkach, lecz raczej o zbiorowej zapaści moralnej. Wielu kapłanów i zakonników przyznało się do winy. Bez wątpienia owe tysiące przypadków odkrytych przez wymiar sprawiedliwości stanowią zaledwie wycinek prawdziwych liczb, wzięwszy pod uwagę, że hierarchia kościelna zdołała ukryć i zatuzować wielu zwyrodniałców”. Ciekawe, czy Smarzowski korzystał i z tego źródła.

Kościół nie przetrwa, jeśli zostanie skolonizowany od środka. A księży patriotów nie brakuje. „Od bp. Pieronki i red. Michnika odwal się, klecho, bo im do pięt nie dorastasz” – tak ksiądz skandalista Wojciech Lemański zwrócił się do szanowanego jezuity o. Dariusza Kowalczyka. Biskup warszawsko-praski Romuald Kamiński, któremu ks. Lemański wciąż podlega, choć posługuje w archidiecezji łódzkiej, udzielił reprimendy. Wyraził nadzieję, że ks. Lemański „wyciągnie wnioski z tej

„Wysokie Obcasy”, czyli feministyczny dodatek „Wyborczej”, ogłosiły plebiscyt na Polkę Stulecia. Wśród kandydatów transseksualista Anna Grodzka. To zapewne miała być prowokacja, ale tak to już jest z prowokacjami, że potrafią poparzyć i wrócić. Prawicowy internet miał zawyć z oburzenia, a zawył z zachwyty. Powszechnie uznano, że zwycięstwo Grodzkiej byłoby pięknym podsumowaniem trzech dekad działalności michnikowszczyzny; to byłby ich prawdziwy autoportret. Więc prawica głosuje na Grodzką. Sygnalista też zagłosował. Jak show, to show.

rozmowy i zaprzestanie tego typu działalności”. Cóż, trudno nie wątpić.

Bo są ścieżki, z których nie można już zawrócić. Np. Kazimierz Marcinkiewicz ponad 10 lat temu utknął w czarnej dziurze i nie może z niej wyjść. Od lat powtarza jedno i to samo. Teraz twierdzi tak: „Mamy do czynienia z Jarosławem Kaczyńskim, który nie tylko teraz, będąc u władzy, ale także będąc w opozycji, stworzył sobie kokon i żyje w zamknięciu”. Wychodzi na to, że były premier nie tylko nie udźwignął utraty stanowiska, lecz także wówczas, gdy pełnił ważną funkcję, oglądał Kaczyńskiego jedynie przez szybę. Bo jeśli mówi to, co myśli, to znaczy, że prawdziwego Kaczyńskiego to on na oczy nie widział.

Muzyk Maciej Maleńczuk pozujący (a może wcale niepozujący) na takiego, co lubi i musi wypić, oraz bawiący się w politykę muzyk Paweł Kukiz wdali się w medialną bitkę. „Ja ci przypomnę Paweł, jak w 1993 r. powiedziałeś: A teraz powitamy się staropolskim Sieg heil” – rzucił Maleńczuk, rewanżując się Kukizowi za zarzut, że „nosił tęczową swastykę na szyi”. Ale to wszystko pikuś wobec epokowego odkrycia Maleńczuka, którego zdaniem Kukiz nie jest już artystą, ponieważ on „nie rozumie, jak artysta może być prawicowy”. Niektórzy artyści są jeszcze głupszy, niż wieść niesie.

Janusz Gajos, który w filmie „Kler” używa swego talentu do złego, za co w niebie dostanie odpowiednią zapłatę, skacze grzecznie w rytm postkolonialnych tam-tamów. I nie są to złote myśli. Weźmy taką oto myśl artysty: „Wszystko, co się dzieje wokół nas, wskazuje na to, że dzieje się no niedobrze. Zaczyna się od wymiany stanowisk, od wymiany kadry. No to jest niedobrze”. Panie Januszu, to rzeczywiście bardzo niedobrze, że w tylu filmach pan zagrał i tak niewiele zrozumiał z historii, polityki i Polski.

Prezes Fundacji Otwarty Dialog Ludmiła Kozłowska użalała się w Brukseli nad losem Polski: „Zajmowaliśmy się obroną praw obywatelskich w krajach postsowieckich, dla których Polska mogła być przykładem rozwoju demokracji. Ale przyszedł czas, gdy władze PiS zaczęły przyjmować wzorce postsowieckie”. Może zamiast skakać Polsce po głowie, zajmie się pani krajami postsowieckimi i z nich uczyni wzór dla Polski? A, zbyt niebezpieczne? A może zlecenie jest inne? Swoją drogą, skąd w tych wschodnich dysydentach to przekonanie, że Polsce można

wyciąć każdy numer i nigdy nie będzie konsekwencji? Spora zagadka.

Ale i u siebie mamy takich. Koalicja Platforma-RAŚ wskazała nowego szefa Biblioteki Śląskiej, ważnej placówki kultury. Stanowisko dostał Zbigniew Kadłubek, człowiek, który w ostatnich wyborach startował do Sejmu z list mniejszości niemieckiej. Także autor tezy, że „asymilacja to jedyne, co się Polakom udało”, głoszący jednocześnie, że „asymilacja nadal działa, a oni [tzn. Polacy] nadal straszą nas [Ślązaków] różnymi Auschwitzami”. Rządzie kochany, zrób coś! Daj choćby pieniądze na porządną polską placówkę, przyslij pomoc środowiskom patriotycznym, wzmocnij wojewodę. Nie oddawaj Śląska Niemcom!

Zdaniem „Faktu” obecny premier Mateusz Morawiecki może być kandydatem PiS na prezydenta. W takim scenariuszu Andrzej Duda nie dostałby poparcia macierzystej partii. Rzeczywiście taka plotka krąży od dość dawna po Warszawie. Ale to scenariusz bardzo ryzykowny. Bo w Pałacu Prezydenckim stawiają sprawę jasno: jeśli PiS nie wystawi Dudy, to on i tak wystartuje. Głosy prawicy zostaną podzielone, obóz skłócony, a wygra kandydat III RP. I będzie po zabawie.

Część otoczenia premiera chciała wymiany na stanowisku prezesa TVP. Ale poległa, decyzja jest jasna: „Jacek zostaje”. Trudno właściwie dociec, co się zarzuca Kurskiemu, bo z jednej strony atakują, że coś tam puścił nie tak, nie po linii, a z drugiej, że powinno być inteligentniej, swobodniej, nie tak topornie. No ale jeśli będzie swobodniej, to będzie więcej różnych kwiatków. Jest też pytanie, skąd wziąć ludzi zdolnych do takiej ekwilibrystyki? TVN ma, bo ćwiczy się w tej grze od ponad 20 lat, a patrząc szerzej – od czterech pokoleń.

Doniesieniom o niepłaceniu pracownikom jednego z potężnych koncernów medialnych towarzyszy fala plotek o szokującym rzekomo dobrostanie właścicieli i szefów: o domach za 7 mln zł, o daczach na Kanarach, o hotelach za 2 tys. doba. Plotki to ohydne, bo przecież trzeba być prawdziwą świnią, by nie płacić ludziom za pracę, samemu ciesząc się wszelkimi rozkoszami życia. Z drugiej strony nie brakuje także plotek o planach powołania nowej partii, co byłoby jakimś uzasadnieniem dla drastycznych oszczędności w części medialnej.



Reżyser Wojciech Smarzowski (oficjalnie: „Wojtek”) jak mało kto w branży zasługuje na dramat psychologiczny. O nim samym.

Mógłby wtedy nakręcić historię filmowca, który na wzór innych artystów traktuje sztukę jako formę autoterapii, jednak lecząc własne fobie i obsesje, wciąż woli wylewać wiadra pomyj nie na tych (tego?), któremu fobie owe zawdzięcza, ale wszystkich dookoła. Najchętniej zaś – na bliżej niesprecyzowanego, choć zawsze półżywego od wody i nienawiści, „Polaka”. Co pan Wojtek tak mocno odreagowuje – możemy się tylko domyślać.

Pozostaje mieć nadzieję, że tego sprawnego, filmowego rzemieślnika nawiedzi w końcu siostra Sztuki – Odwaga. I opowie on wreszcie coś głębszego o Człowieku niż chuchnięcie po setce. Może nawet – o sobie? Na razie to ostatnie próbuje czynić wyłącznie w wywiadach.

Dzięki temu wiemy już np., że pan Wojtek nie wierzy w Boga. Na szczęście Bóg wierzy w Smarzowskiego i wciąż daje mu kręcić – wszak nie tacy grzesznicy szli po rozum do głowy. I wiare do serca.

Ja, niestety, w Smarzowskiego nie wierzę, ale też i nigdy wcześniej tego nie czyniłem. Ktoś, kto pod pretekstem „szarpania narodowej struny” wylewa na własnych rodaków tyle żółci, nigdy nie wydawał mi się człowiekiem ciekawym. Ba – artystą nawet. Ot, w miarę sprawny opowiadacz, któremu całkiem nieźle wychodzi na ekranie to, co sobie zamierzył (w kinie III RP to wciąż rzadkość). Tyle że to, co zamierzył, jakieś takie wyjątkowo paskudne jest. Wiecznie pijani, zakompleksieni, chciwi i debilnie wprost głupi – oto my według Smarzowskiego. A „o polskim katolicyzmie” najlepiej opowiada, jego zdaniem, „Kłątwa” z Teatru Powszechnego niejakiego Cwelicia czy Frajerlicia, w której aktorzy zbierali pieniądze na „zabójstwo Jarosława Kaczyńskiego”, kopulowali z figurą Jana Pawła II i wieszali ją na szubienicy.

Na szczęście, podobnie jak w przypadku kilkorga innych uznanych reżyserów (Holland, Saramonowicz), także Smarzowski nie ma żadnych oporów, by przy okazji kolejnych premier wyłożyć na twardo wszystko, co mu w duszy gra. Zanurzmy się zatem w potok życiowych mądrości Wielkiego Czerskiego Artysty, którego filmy nie pozostawiają złudzeń, co do poziomu jego niechęci do ludzi urodzonych w Polsce.

Nietypowy na tej liście „Wołyn” też miał „śluszne” założenia. „Najbardziej bałem się wniosku, że Ukraińcy są źli, a Polacy to ofiary” – mówił Smarzowski o filmie poświęconym rzezi dokonanej przez Ukraińców na Polakach.

W przypadku „Kleru” żadnych uproszczeń już się nie bał: „Kościół pierze mózgi dzieciom i wychowuje w przesądach”. „Kościół nie rozliczył się z pedofilią w swoich szeregach”. Z kolejnego wywiadu dowiadujemy się, że „w ogóle człowiek

Ciemno pod latarnią



KRZYSZTOF FEUSETTE

jest najważniejszy, kiepsko byłoby pracować z chu...ami”. Ale zaprosić Urbana na premierę filmu i paradować na niej w przebraniu księdza – zdaniem pana Wojtka – można. A nawet trzeba.

„Prześcigamy się w stawianiu coraz wyższych krzyży” – szlochał niedawno, myśląc pewnie, że

choć w tym jest pierwszy. Niestety, już wcześniej krzyże (najbardziej ten na Giewoncie) przeskadzały pisarzowi Wojciechowi Kuczkowi czy pupilowi Onetu – Jarosławowi Kuźniarowi, który drwił z figury Chrystusa w Świebodzinie: „I znów my, Polacy, będziemy chwalić się, że mamy większego”. Na domiar złego, zdaniem Smarzowskiego, „w Polsce w kościołach jest średnio pięć mszy dziennie, a w Czechach jest jedna w tygodniu”. Ech, te marzenia lewaków...

Najśmieszniejsze, że jego ostatni film, ów filmowy kabarecik o głębi płwociny otrzymał w Gdyni nagrodę dziennikarzy. Czyżby polscy krytycy aż tak bardzo nie znali się na kinie? Nie cenią wyżej „Zimnej wojny” Pawła Pawlikowskiego, która otrzymała nagrodę za reżyserię w Cannes?

Może zatem nie o jakość filmu tu chodzi, tylko palikotowy przekaz, jaki z tego festiwalu miał popłynąć w Polskę? Ilu takich Palikotów trzęsie dziś polskim kinem? A przecież jak mówi Janusz Pedros, nie Gajos, odtwórca jednej z głównych ról w „Klerze”, „prywatnie przyjaciel biskupa Pieronka” (to ten duchowny, który wspólnie z ks. Lemańskim uważa, że „mamy w Polsce dyktaturę”), „ten film jest o tym, że ten kler jest taki jak nasze społeczeństwo”. Gwiazdor zresztą „podziela wizję Kościoła, jaką przedstawił Smarzowski”. Kiedy zacznie, jak Nurowska i Holland, dziergać laleczki wudu dla tych, których tak szczerze nie cierpi? To pytanie w wywiadach nie pada. Za trudne na Pedrosa, nie Gajosa.

A przecież byli, jak przyznał pan Wojtek, aktorzy, którzy odmówili wystąpienia w jego ostatnim filmie. Fakt, że żaden z nich nie wyszedł przed kamery, jak swego czasu Marian Opania, gdy odmawiał gry w „Smoleńsku”, i nie opowiedział o powodach swojej decyzji – to ostateczny dowód na to, jakie wartości wciąż mogą przysporzyć człowiekowi kłopotów w środowisku filmowym. W końcu Juliusz Machulski uważał np., że tragedia 10 kwietnia to dobry temat na... komedię.

Czy nie wystarczyłoby zatem przenieść bohaterów „Kleru” z zakrystii na filmowo-celebryckie bankiety? Trzeba być ślepym i głuchym, by nie dostrzec, że znacznie więcej kręci się tam spasionych mamona zwyródniaczków. Tylko lemingi mogły uwierzyć, że prosiaki pokroju Weinsteina, Spaceya czy dawnego Polańskiego żerują na głodnych popularności chłopcach i dziewczynach wyłącznie w Hollywood. O tym jednak Smarzowski filmu nigdy nie nakręci. Zgadnij, koleczku, dlaczego?



FORUM PRAWO DLA ROZWOJU

SPOTKANIE MINISTRÓW SPRAWIEDLIWOŚCI PAŃSTW TRÓJMORZA

pod przewodnictwem

Ministra Sprawiedliwości Prokuratora Generalnego

Zbigniewa Ziobro



Debata

INSTYTUTU WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA

z udziałem **Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej Marka Kuchcińskiego**

Debaty liderów na temat przeciwdziałania przyczynom przestępczości
w tym: tematyce bezpieczeństwa, gospodarki i wartości.

ZAREJESTRUJ SIĘ

www.law4growth.pl

#LAW4GROWTH

GOSPODARKA

WARTOŚCI

KRAKÓW
5-6.10.2018

BEZPIECZEŃSTWO

Współfinansowano ze środków
Funduszu Sprawiedliwości
którego dysponentem jest
Minister Sprawiedliwości



PARTNER
STRATEGICZNY:



SPONSOR:



PATRONAT
MEDIALNY:



TVP INFO



money.pl

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dywersanci atakują

Banda antypolskich dywersantów wmawia naszemu rządowi, że dąży on do polexitu, wyprowadzenia Polski z UE. To kolejne perfidne kłamstwo wrogów. Ponieważ mam pewne zasługi we wprowadzeniu Polski do UE, czuję się w obowiązku zabrać głos.

Już kilkadziesiąt lat temu, kiedy w Moskwie powstawała RWPG, byłem przekonany, że miejsce Polski jest z drugiej strony kontynentu – w EWG. Dalem temu wyraz w satyrycznej piosence „przyprowadza humor, uśmiech ci śle, cztery litery RWPG”. Piosenka do dziś nie uzyskuje zgody cenzury na rozpowszechnianie. „Do RWPG wcielano nas przymusowo. Do UE wstępujemy, bo chcemy” – tak mówiłem przed referendum akcesyjnym. Żeby Polska była Polską, musi się znaleźć w Europie, a nie na jej peryferiach wschodnich. Ze zdumieniem patrzyłem na billboardy, z których prezydent Kałmucki oświadczał: „Tak, jestem Europejczykiem”. Ja mówiłem: „Tak dla Europy, bo jestem Polakiem”.

Polak ma wątpliwości i obawy wynikające z bolesnej historii swego kraju. Polak ma prawo do nieufności, bo zbyt często jest oszukiwany. Po sowieckiej władzy odziedziczyliśmy nie tylko



Jan
Pietrzak

chorą strukturę państwową, lecz również struktury umysłowe tzw. elity politycznej, tragicznych niedouków, niedorobionych magistrów, pegeerowskich ekonomistów, inżynierów z epoki prądu stałego, finansistów z mentalnością cinkciarzy...

Spółeczeństwo dawno miało dość żelaznej kurtyny, a władza twardo upierała się przy realnym socjalizmie, który de facto był nierealnym zidioceniem. Wprowadzili nawet stan wojenny, by pilnować kretyńskich idei Marksa, Lenina, Stalina. Komisarz wojskowy w każdym przedsiębiorstwie miał zastąpić prawa ekonomiczne. ZOMO miało dbać o swobody obywatelskie...

A ja z uporem mówiłem o wolnym rynku, demokracji, wolności słowa... śpiewałem o nadziei i wolności, o prawach ludzkich i polskich bohaterach. Oni bronili niewoli jak niepodległości. Ale wreszcie wygrałem, kacapszy sługusi musieli ustąpić. Weszliśmy do UE.

Przestawili się i po wielu latach jeżdżą do Brukseli, tak jak kiedyś do Moskwy, donosić na Polaków, podlizywać się, załatwiać sobie granty i medale, opluwać naród. No cóż, świniom są świniami niezależnie, czy koryto moskiewskie, czy brukselskie.

Dziwny jest ten świat

Z **Aleksandrą Konieczną** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Trzeci raz z rzędu trafia w pani ręce nagroda na festiwalu w Gdyni.

Aleksandra Konieczna:

W ubiegłym roku stałam na tej scenie z powodu statuetki dla Dawida Ogrodnika (za pierwszoplanową rolę w filmie „Cicha noc”), bo tradycją festiwalu jest, że w kolejnej edycji laureaci wręczają statuetki płci przeciwnej.

W 2016 r. doceniono główną kreację w „Ostatniej rodzinie” Jana P. Matuszyńskiego, teraz – drugoplanową rolę w filmie „Jak pies z kotem” Janusza Kondratiuka. Zagrać Igę Cembrzyńską wydaje się karkołomnym

zadaniem. Kiedy się pani odnalazła w tej postaci?

Miałam bardzo mało czasu na przygotowanie tej roli, otrzymanej przecież w nagłym następstwie. Chodziłam więc po domu i przyszło mi do głowy, że jeżeli uda mi się zawołać psa z tembrem głosu Igi, to być może i reszta się uda. W którymś momencie tak właśnie zawołałam.

Jak układały się pani relacje z Igą Cembrzyńską?

Gdy dostałam propozycję od reżysera (Janusza Kondratiuka), chciałam się po pierwsze z nią spotkać, żeby zobaczyć, jak to wygląda od ludzkiej strony. Dlaczego

sama nie podjęła się tego zadania i czy ja w związku z tym chcę w coś takiego wchodzić. Pewnie nie było jej łatwo, ale mnie zaakceptowała.

A po obejrzeniu filmu bardzo panią komplementowała. Do tego doszła jeszcze nagroda. Jak się pani z tym czuje?

Dla aktorki, która w wieku 50 lat „wdarła się” do polskiego kina i po raz drugi otrzymuje statuetkę, to chyba szczęście, że dzieje się to właśnie teraz, bo nie jest mi w stanie przewrócić w głowie. Natomiast... dziwny jest ten świat.



Solidarność i praworządność

Rząd francuski pracuje nad pakietem ustaw nakładających nowe opłaty na firmy transportowe, również z UE, których pojazdy przejeżdżają przez jego kraj. Mają one wejść w życie od początku przyszłego roku. Już pół roku temu prezydent Macron wymusił na UE nową dyrektywę o pracownikach delegowanych – obowiązującą będzie od 2020 r. – która nakłada na nich obciążenia równe francuskim, a więc eliminuje konkurencyjność nowych krajów działających na europejskim rynku, zwłaszcza Polski. Preregulowana, obciążona gigantycznym, biurokratycznym aparatem Francja, która nie daje sobie rady z ekonomiczną dynamiką nowych podmiotów, usiłuje blokować je przez działania protekcyjnistyczne. Przedsięwzięcie to ukrywane jest za groteskowymi hasłami w rodzaju „walki z dumpingiem socjalnym”, co oznacza domaganie się równie wysokich podatków u konkurentów, czy względami ekologicznymi, które, okazuje się, można stosować absolutnie dowolnie.

Oto praktyka prezydenta Macrona, który domaga się ściślejszej integracji UE. Wynika z tego, że miałyby ona polegać na przyjęciu przez wszystkie kraje unijne francuskiego modelu „państwa opatrznosci”, które jego kolejne władze, w tym sam Macron, usiłują zredukować i zreformować. Ponieważ się im to nie udaje, receptą na ociążałość gospodarki francuskiej ma być zablokowanie konkurencyjności nowych krajów, które pojawiły się w Unii.

Nie ma natomiast granicy w próbie ideologicznego podporządkowywania tych nowych krajów dominującym graczom „starej Europy”. Owa ideologiczna kolonizacja, jak zawsze, wiąże się również z jej klasyczną, polityczną wersją. Jest jasne, że ci, którzy ulegną stolicom zachodnim w sferze idei, w równym stopniu robić to będą w odniesieniu do ich politycznych i ekonomicznych wymagań. W zamian dostaną licencję na władanie swoimi tubylcami. Postkomunistyczny rząd Gyurcsány, który rozbudował na Węgrzech system korupcji, kradł na potęgę i łamał wszelkie standardy, nie spotkał się nawet z napomnieniem ze strony Komisji Europejskiej czy europarlamentu. Jak traktowany jest Orbán, który przeprowadził sanację kraju, mamy okazję właśnie się przekonywać.

Najbardziej dobitne jest doświadczenie polskie. Po to, aby przywrócić w naszym kraju władzę swoich wasali, elity europejskie nie cofną się przed niczym.

Z naruszeniem wszelkich norm Komisja Europejska pozwała w trybie pilnym Polskę przed Trybunał Sprawiedliwości UE, chociaż literalnie nie ma do tego żadnych podstaw, a trybunałów, nie licząc się z żadnymi zasadami – jestem o tym przekonany – uzna nasz kraj za winny. W końcu cały czas słyszymy, że prawo to prawnicy i nie ma znaczenia, co jest zapisane, jeśli „autorytety” uznają, że interpretacja jest odwrotna niż to, co profan potrafi z ustaw wyczytać. Wina Polski polega na wprowadzeniu rozwiązań w systemie prawnym, które obowiązują w większości starych członków Unii. Inna sprawa, że działanie przeciw naszemu państwu wiąże się z kampanią europejskich środowisk prawniczych, które chcą podporządkować sobie politykę kontynentu i najwygodniej im zacząć od Polski. Establishment unijny usiłuje zredukować demokrację do pozoru, aby okiełznać coraz bardziej buntujące się narody, a jednocześnie przywołać do porządku „nowe kraje”, które, żeby zacytować byłego francuskiego prezydenta, muszą umieć „zamknąć się” kiedy trzeba.

Te podwójne standardy widać w sprawach drobniejszych. Jeśli Polska, ze względów bezpieczeństwa, pozbawiła Ludmiłę Kozłowską wizy, to automatycznie utraciła ona prawo do przybywania w sferze Schengen. Państwa, które jak Niemcy czy Belgia zapraszają ją na swój teren, naruszają fundamenty tego układu. Skoro jednak polska opozycja przyklaskuje, a nawet o to zabiega, zamiast stanąć solidarnie w obronie równego traktowania swojego kraju, to dostarcza argumentów tym, którzy chcą go od siebie uzależnić. Cóż, przyzwyczaiła nas, że podległość europejskim patronom, głównie Niemcom, rekompensuje sobie poczuciem wyższości i panowaniem nad własnym narodem.

Niemcom wolno więcej nie tylko wobec nas, lecz wszystkich krajów unijnych.

Kancelarz Merkel zapraszając imigrantów z krajów muzułmańskich, nie tylko pokazała jak podchodzi do układu z Schengen, lecz złamała konwencję dublińską. Nikt z europejskiego establishmentu przeciw temu sobiepaństwu nie zaprotestował, a zaatakowane zostały kraje, które ładu UE broniły. Dziś Włochy czy Grecja borykające się z masami imigrantów winny odsyłać te osoby bezpośrednio do Niemiec, które je zaprosiły. Tymczasem trwają próby rozparcelowania ich po całej Europie.

Tak z bliska wygląda solidarność i praworządność UE.



Mobbing, obelgi, przemoc, Żydzi czują się coraz bardziej zagrożeni. Coraz bardziej jawny antysemityzm prowadzi w wielu przypadkach do opuszczenia Niemiec – to nie jest moja opinia, ja wyrażałem ją już wielokrotnie. Nie bez powodu żydowskich instytucji, szkół, pomników, miejsc pamięci pilnują na okrągło uzbrojeni policjanci, a działacze gminy żydowskiej od lat nie robią kroku bez ochroniarzy. Narosłe „mobbing, obelgi, przemoc” dostrzegła w Niemczech telewizja ARD, która pokazała reportaż pod wszystko mówiącym tytułem: „To, co się tliło, teraz wybucha ze wzmożoną agresją”.

Trudno jej dziś nie dostrzec o antysemityzmie świadczą już nie tylko patrole pod synagogami, czy pomnikiem Pomordowanych Żydów Europy w pobliżu Bramy Brandenburskiej. Uwe Dziuballa, właściciel restauracji w Kamienicy Saskiej (Chemnitz), ma powody do strachu. Najpierw były okrzyki: „Spier... z Niemiec, żydowska świniol!” czy „Żydzi do gazu!”, potem znalazł rano pod drzwiami odcięty świński łeb, wreszcie zamaskowani bojówkarze obrzucili jego lokal w pobliżu dworca kamieniami i butelkami. „Hamulce puściły”, komentuje dziennikarka ARD Tamara Anthony, niektórzy ośmielają się na ulicy na oczach policji wznosić ręce w hitlerowskim pozdrowieniu.

Niemcy

Za pięć dwunasta

Hamburska reżyserka Michal Hirsch skarży się, że musi uczyć dzieci kłamać, żeby nie przyznawały się, że są Żydami. Billy Rücker wspomina dzieje rodziny, która przeżyła Holokaust, bo odpowiednio wcześniej opuściła Niemcy. Teraz, po latach, ich syn zamiast szkołę w Niemczech wybrał internat w Izraelu i nie ma zamiaru wracać. To zaledwie kilka przypadków obrazujących coraz bardziej zatrważającą atmosferę.

Pełnomocnik rządu Felix Klein dopatruje się antysemityzmu w populistycznej retoryce Alternatywy dla Niemiec, dziś największej partii opozycyjnej w Bundestagu. To jednak tylko część prawdy. W Niemczech od lat krąży dowcip o zdenerwowanym mężczyźnie, który zaczął podróżnych na dworcu i pytał: „Ma pan coś przeciw Żydom?!”. Wszyscy zaprzeczali. Wreszcie jeden wywrzeszczał: „Jasne, że mam, won z Niemiec, żydowskie świniol!”. Na to ów mężczyzna: „Dzięki Bogu, wreszcie ktoś uczciwy, komu mogę zaufać, czy mógłby pan na chwilę popilnować mój bagaż, bo zaraz mam pociąg, a zostawiłem jeszcze jedną, ciężką walizkę przy kasie...”.

Śmieszne? Szef Centralnej Rady Żydów w Niemczech Josef Schuster nie wzywa jeszcze członków swej gminy do emigracji. Powtarza tylko jak wszyscy jego poprzednicy o konieczności „zduszenia antysemityzmu w zarodku”, bo „jest już za pięć dwunasta”...

Piotr Cywiński

Chiny

Kompromis czy zdrada

22 sierpnia podpisano porozumienie między Watykanem a Chinami. Rzym zatwierdził siedmiu biskupów z Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich, czyli związku wyznaniowego stworzonego w 1957 r. przez Mao, by zastąpić struktury zdelegalizowanego Kościoła katolickiego. Do tej pory papieństwo nie uznawało ani prawomocności stowarzyszenia, ani ważności święceń kolaboranckich biskupów, uważając ich za uzurpatorów. Jedynymi reprezentantami Stolicy Apostolskiej w Chinach byli działający w konspiracji biskupi, wierni Rzymowi i cierpiący z tego powodu represje. Przez lata konspiracji zbudowali oni struktury Kościoła podziemnego.

Umowa Watykanu z Pekinem została przyjęta przez Kościół katakumbowy z rozgoryczeniem. Kard. Joseph Zen z Hongkongu powiedział, że to „niesamowita zdrada” tych, którzy mimo prześladowań wytrwali przy papieństwie. „Oddają trzode w paszczę wilków”, podsumował działania watykańskich dyplomatów.

Duchowi przywódcy kolaboranckiego stowarzyszenia są posłusznymi funkcjonariuszami komunistycznymi wykonującymi polecenia partii. Niektórzy z uznanych właśnie przez Watykan biskupów mają kochanki i dzieci, co nie jest żadną tajemnicą. Ponieważ rząd w Pekinie od lat prowadzi politykę przymusowych aborcji, samo mówienie, że jest to grzechem, oznacza działalność antypaństwową. Kolaboranci duchowni



Fot. Shutterstock

uznają zatem bez zastrzeżeń prawo państwa do takich działań. Po raz pierwszy Watykan mianuje więc biskupów, publicznie zaprzeczających obowiązywaniu piątego przykazania.

Były w historii przypadki, że prawo nominowania biskupów posiadali władcy świeccy, a papież jedynie zatwierdzał ich decyzje, zachowując prawo weta. Dotyczyło to jednak zawsze monarchów katolickich. Obecnie uprawnienie takie zostało przyznane władzy ateistycznej, otwarcie prześladowanej Kościoł. Watykan poszedł na ustępstwa, gdyż zależy mu, by chińscy katolicy nie byli prześladowani i mieli swobodę praktykowania kultu. Pekinowi zależy zaś na zmuszeniu Kościoła katakumbowego do wyjścia z podziemia, aby móc go poddać kontroli państwa. Nie wygląda to dobrze.

Grzegorz Górny



Wielka Brytania

Pożyteczni idioci Kremla

Ukraińska Służba Bezpieczeństwa wydała trzyletni zakaz wjazdu na terytorium Ukrainy brytyjskiemu politykowi Partii Pracy Andrew Murrayowi. Jako powód podano zagrożenie, jakie Murray mógłby stwarzać dla bezpieczeństwa państwa.

Murray to bliski współpracownik przewodniczącego laburzystów Jeremy'ego Corbyna. Przez 40 lat był członkiem partii komunistycznej. Szerszej publiczności dał się poznać jako miłośnik reżimu północnokoreańskiego i chwalcza Stalina (twierdził, że w okresie stalinowskim robotnikom sowieckim żyło się znacznie lepiej niż na Zachodzie).

Z takimi poglądami zaliczał się do politycznego folkloru do czasu, gdy zaprzyjaźnił się z Jeremym Corbynem. Wspólnie tworzyli ruch antywojenny (Stop The War Coalition), który w 2014 r., po aneksji Krymu i wybuchu walk na Ukrainie, bronił stanowiska Rosji. Po straceniu nad Ukrainą malezyjskiego samolotu pasażerskiego na stronie internetowej ruchu pojawił się artykuł, którego autor powielając tezy Kremla, oskarżał Ukrainę o zestrzelenie samolotu. Zdaniem wielu brytyjskich dziennikarzy autorem tego artykułu był właśnie Murray.

Murray utworzył też Solidarność z Antyfaszystowskim Ruchem Oporu na Ukrainie – niewielką organizację nagłaśniającą kremlowską propagandę o wojnie z Kijowem jako nowej odsłonie walki z odradzającym się banderyzmem. W 2016 r. porzucił komunistów i dołączył do Partii Pracy, stając się jednym z bliskich współpracowników Corbyna.

Antyukraińska retoryka Murraya sprawiła, że Kreml, mocno skonfliktowany z konserwatywnym rządem w Londynie, z zainteresowaniem spogląda w stronę Partii Pracy. Sam Murray wydaje się tu zresztą – w najlepszym razie – mimowolnym narzędziem w rękach Rosji. W 2014 r. porównywał zestrzelenie malezyjskiego boeinga do zabójstwa arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, potem – dzięki materiałom wydobytym przez ukraińskich hakerów – okazało się, że takich porównań nakazał używać rosyjskim agentom wpływu Władysław Surkow, jeden z najbliższych współpracowników Władimira Putina. I choć Murraya nikt nie złapał za rękę, niewielu wierzy, że to przypadek. Murray odpowiada, że jest krytyczny wobec Rosji, która jest przecież „krajem kapitalistycznym i nie rzuca – tak jak Związek Sowiecki – wyzwania kapitalizmowi”.

Kremlowi taka „krytyka” Rosji z pewnością nie przeszkadza. Tak jak nie przeszkadza mu lewicowa ani jakakolwiek ideologia. Co każde podać w wątpliwość popularne twierdzenie o rzekomym konserwatyzmie Putina. Każdy sojusznik jest dobry, byleby tylko wspierał politykę Kremla.

Konrad Kołodziejski



Węgry

Powrót do świata przodków?



Fot. photocasms/Shutterstock.com

Brytyjski „Guardian” (piórem węgierskiej opozycjonistki, która przy tej okazji wyznała, że nie czuje się już Węgierką, bo „to słowo zostało jej zrabowane” – skąd znamy tę narrację...?) przypomniał ostatnio wizytę Viktora Orbána w Kazachstanie w 2015 r. Premier powiedział wówczas, że w Kazachstanie jego rodacy czują się jak w domu, podczas gdy w Unii Europejskiej czują się obco, i że w Kazachstanie mają krewnych, a w Unii – nie.

Oczywiście nawiązywał tu do pochodzenia Madziarów, którzy przybyli do Kotliny Panońskiej z Wielkiego Stepu, a także do swego planu rozwoju handlu z państwami położonymi na wschód od UE. Ale myślę, że w tych słowach węgierskiego premiera można się dopatrzeć czegoś jeszcze.

Jarosław Kaczyński mówił kiedyś o Wałęsie, że w okresie prezydentury ciągnęło go do opóźniania integracji z Zachodem i szukania jakiejś drogi bliżej Wschodu, bo zorientował się, że bycia prezydentem w kraju zachodnim nie pogodzi się z rządami w stylu takim, jakiego intuicyjnie pragnął, i dożywoć, czego też pragnął. Co na Wschodzie byłoby możliwe. Wydaje mi się, że w tym wymiarze Orbán może przypominać Wałęsę z pierwszej połowy lat 90.

Biorąc bowiem pod uwagę charakteryzujące co najmniej część ekipy Orbána oznaki pogardy dla wszystkich niepodzielających ich poglądów rodaków, utożsamiania prawdziwej węgierskości jedynie z sobą, a także – pazerności materialnej (wiążącej się często zresztą właśnie z tymi wschodnimi kontaktami, np. brat premiera Győző Orbán jest współwłaścicielem firmy robiącej interesy właśnie w Kazachstanie, a także w Czeczenii; jej głównym biznesowym partnerem jest przedsiębiorstwo należące do kapitału rosyjskiego), można się pokusić o postawienie pewnego pytania. Czy przypadkiem wschodnie fascynacje Orbána (którego socjalliberalni poprzednicy byli, oczywiście, twórcami węgierskiego systemu oligarchiczno-korupcyjnego) nie są związane również z faktem, że właśnie na Wschodzie posiadający władzę może czuć się w każdym wymiarze swobodny. Tak swobodny, jak wszechwładny wódz plemienia nomadów...?

Piotr Skwieciński

OGNIEM NA WPROST

Bęgowski Polką Stulecia!

Jechałem teraz z małżonką pociągiem z Pizy do Florencji. Im bliżej było do tej perły renesansu, tym perony dworców zaczynały przypominać miasta afrykańskie. W drodze powrotnej w wagonie zajęła miejsce młoda imigrantka z Senegalu z pięcioletnim dzieckiem. Chłopak tak darł się wniebogłosy, że współpasażerom o mało nie pękły bębny w uszach. W oczach dwóch Włoszek, rozbudzonych przeraźliwym wrzaskiem rozkapryszanego dzieciaka, malowała się wściekłość. Ale widać, bały się zareagować. Wstała moja żona i się zaczęło. Teraz z kolei Murzynka zaczęła wykrzykiwać: „Czy macie jakiś problem?!”. Nagle wtrącił się turysta w średnim wieku, usiłując wytłumaczyć kobiecie grzecznie po francusku (drugi język w Senegalu), że powinna w ramach powszechnie rozumianej kultury coś przedsięwziąć w kwestii wychowywania syna i przynajmniej nakazać mu przestać się wydzierać na cały pociąg. Z ust czarnej kobiety popłynął tylko stek obelg w kierunku zwracającego uwagę mężczyzny. Nie wiem, jak by się skończyła podróż, gdyby nie to, że musieliśmy już wysiadać. Pewno na komisaracie. Spokój odzyskaliśmy dopiero w hotelu. A tam, jak w każdym lepszym zajeździe, ani jednego kolorowego pracownika. Bogaci odseparowali się od problemu, mieszkając w białych, dobrze strzeżonych dzielnicach, kłopoty zostawiając masom. I tak to działa.

Bez większego odzewu przeszedł fakt przebywania w Polsce oficjalnej delegacji Agencji ds. Migracji Zewnętrznych i Stosunków Pracowniczych Ministerstwa Pracy i Stosunków Pracy Uzbekistanu. Uzbeki spotkali się w swojej ambasadzie z przedstawicielami dziesięciu polskich firm z branży budowlanej, tekstylnej, rolnej, spożywczej i podpisali memorandum o współpracy. Rozważane jest sprowadzenie do Polski trzech tysięcy Uzbeków, w większości wyznających islam. Wcześniej podpisano też umowy pomiędzy polskimi firmami a uzbecką Agencją ds. Migracji Zewnętrznych w sprawie zatrudnienia imigrantów z Azji. Jak podaje uzbecki portal Jahonnews.uz, w ubiegłym roku obywatele tej azjatyckiej republiki otrzymali już 1,2 tys. pozwoleń na pracę w Polsce. Nawiasem mówiąc – Uzbekistan spośród wszystkich krajów postsowieckich jest największym „eksporterem” terrorystów. Czy ktoś to kontroluje? Przecież to jest ten sam modus operandi jak kiedyś w Niemczech z Turkami. Celem dogodzenia przedsiębiorcom i zwiększenia PKB łamie się zasady i naraża kraj w dalszej perspektywie na te same problemy, które ma obecnie Zachód. Najsilniejsze państwa świata nie radzą sobie z problemem migracji, a co dopiero budująca swoją pozycję Polska. Jeśli rząd dopuści

do niekontrolowanego sprowadzania taniej siły roboczej przez prywatne firmy, dojdzie do tragedii. A tak swoją drogą, to lepiej mieć o 1 proc. mniejsze PKB niż Kongo na ulicach naszych miast.

Bardzo podoba mi się zorganizowany przez „Wysokie Obcasy”, dodatek „Gazety Wyborczej”, plebiscyt na Polkę Stulecia. Redakcja już na wstępie przeprosiła swoich czytelników, że na liście mogły się znaleźć „kobiety o poglądach, z którymi się nie zgadzacie albo które popełniały błędy, lub ich opinie brzmią dziś archaicznie, mało postępowo”. Chcąc uniknąć bardzo niebezpiecznego zarzutu o brak „postępowości”, obok takich sław jak Maria Skłodowska-Curie autorzy konkursu zaproponowali na kandydaturę Krzysztofa Bęgowskiego, zwanego również Anną Grodzką, na Polkę Stulecia. Chciałbym wykorzystując łamy tej rubryki, zwrócić się do wszystkich koleżanek i kolegów po fachu, szczególnie tych z prawej strony sceny dziennikarskiej, o masowe wzięcie udziału w głosowaniu i poparcie kandydatury Krzysztofa Bęgowskiego vel Anny Grodzkiej na Polkę Stulecia. Jeśli chodzi o uzasadnienie, to lepszego niż Dawid Wildstein nie podejmuję się wymyślić: „Pasuje do świata, w którym Schetyna to obrońca demokracji, Tusk walczy w UE o polskie interesy, świata, w którym Lis jest dziennikarzem, donoszenie na Polskę to patriotyzm, aborcja to życie, a pornogwiazdy z USA stają się autorytetami walki z PiS”.

Andrzej Rafał Potocki



Fot. Andrzej Wiktor

W interesie obywateli

I stycznia 2019 r. wejdą w życie przepisy ustawy o firmach inwestujących w najem nieruchomości (FINN). Podmioty te nawiązują do znanych w USA i w Europie od lat 60. REIT (ang. Real Estate Investment Trust), spółek specjalnego przeznaczenia lub funduszy inwestycyjnych powołanych do inwestowania na rynku nieruchomości na wynajem. Firmy te, jak i ich inwestorzy, korzystają z przyznawanych przez dane państwo preferencji podatkowych. Zasadniczym celem umożliwienia działania wskazanych spółek jest otwarcie rynku nieruchomości dla inwestorów indywidualnych. REIT na świecie dedykowane są zarówno nieruchomościom komercyjnym, jak i mieszkaniowym. Działają ich około 400 w 37 państwach, a ich wartość rynkowa wynosi 1,7 bln dolarów. W Europie funkcjonują w 16 państwach, gdzie przyczyniły się do wzrostu gospodarczego, rozwoju rynku kapitałowego i popularyzacji długoterminowego oszczędzania.

W Polsce za pośrednictwem FINN będzie można inwestować w nieruchomości mieszkaniowe. Aby spółka otrzymała status FINN, musi uzyskać wpis do rejestru prowadzonego przez Komisję Nadzoru Finansowego oraz spełnić kilka wymogów. Kapitał zakładowy spółki musi wynosić minimum 50 mln zł. Wydaje się, że wysokość wymienionej kwoty podyktowana jest wolą uniemożliwienia inicjowania przedsięwzięć biznesowych, które mogłyby być na starcie obciążone znacznym ryzykiem dla potencjalnych nabywców akcji. Jest to zatem niewątpliwie gest ustawodawcy w kierunku inwestorów indywidualnych. Siedziba i zarząd FINN muszą się mieścić w Polsce, a zatem idzie o to, by wzmacniać rodzimy kapitał. Spółka musi uzyskiwać przychody z minimum pięciu nieruchomości mieszkalnych, stanowiących jej własność lub spółki zależnej. Wszystkie akcje muszą być na okaziciela, nie można emitować papierów uprzywilejowanych. Dywidenda musi być wypłacana w stałych odstępach czasowych, a ich wysokość ma być dyktowana przychodami uzyskiwanymi z najmu lub zbycia nieruchomości – niezależnie od sytuacji na giełdzie. Warunki te zwiększają bezpieczeństwo inwestowanych środków i sprawiają, że inwestorzy mogą liczyć na regularną wypłatę zysku.

Wiadomość o wejściu w życie nowych przepisów przyjmowana jest przez większość komentatorów z rozczarowaniem. Krytykowany jest brak możliwości inwestowania w nieruchomości komercyjne i wysokie wymagania stawiane spółkom zamierzającym inwestować w nieruchomości mieszkaniowe. Jednoznacznie określone przez państwo reguły funkcjonowania firm inwestujących w najem nieruchomości, a w szczególności warunki zwiększające bezpieczeństwo środków angażowanych w te przedsięwzięcia, są narzędziami legislacyjnymi charakterystycznymi dla rządu PiS. Stoi on bowiem na straży interesów obywateli, czyniąc starania, by



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

uchronić ich przed choćby takimi przedsięwzięciami, jak funkcjonująca za czasów koalicji PO-PSL piramida finansowa Amber Gold. Prawdą jest, że znaczna część powierzchni komercyjnych pozostaje w rękach obcego kapitału i z punktu widzenia polskiej gospodarki wskazane byłoby to zmienić. Można jednak odnieść wrażenie, że ustawodawca zamierza ostrożnie wprowadzać inwestorów indywidualnych w rentierski rynek kapitałowy, czyniąc starania o bezpieczeństwo ich interesów. Z czasem, w miarę pozytywnej oceny warunków ekonomicznych, może poszerzy wachlarz możliwości o nieruchomości komercyjne.

Od 1 stycznia 2019 r. istotną perspektywą dla znacznej części Polaków nieposiadających własnych czterech ścian jest zaś prawdopodobne obniżenie czynszu najmu lokali mieszkalnych i zwiększenie popytu na nie, które wedle ekspertów może być bezpośrednią konsekwencją wejścia na rynek nowego typu spółek i funduszy inwestycyjnych. Młodzi ludzie zyskają więc dodatkową szansę na szybsze usamodzielnienie się i założenie rodziny.



Panu

JANUSZOWI ŚNIADKOWI

wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci

MATKI

składają

*Zarząd, Rada Nadzorcza i pracownicy
Krajowej Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej
oraz
Spółdzielczego Instytutu Naukowego*

64/0918/F

Tolerancyjni

W ubiegłym tygodniu ulicami Berlina przeszedł coroczny Marsz dla Życia, który promuje tradycyjny model rodziny, chrześcijańskie wartości oraz sprzeciwia się aborcji. Jednak jak informuje rp.pl, nie obyło się bez problemów. Pochód starali się zablokować działacze środowisk LGBT, którzy siadali na trasie marszu, aby nie przepuścić manifestacji. Musiała interweniować policja. I to ma być ta osławiona, postępową tolerancja? Szkoda, że działa tylko w jedną stronę.



500
tys.

– tylu seniorów skorzystało z projektów zwiększających ich aktywność społeczną oraz z miejsc aktywnego wypoczynku w 240 dziennych domach i klubach Senior+.

270
mln zł

– tyle łącznie od 2015 r. przeznaczył rząd na zwiększanie aktywności społecznej osób starszych.

141

– tyle nowych placówek – dziennych domów i klubów Senior+ – powstało w latach 2016–2017. Na koniec 2017 r. działało 240 placówek Senior+, oferujących ponad 6,2 tys. miejsc dla starszych osób.

A jednak geje!

Potwierdziły się wieloletnie przypuszczenia, że dwójka bohaterów z „Ulicy Sezamkowej” to para gejów. Idzie oczywiście o Bert’a i Erniego. W wywiadzie dla portalu Queerty scenarzysta wyznał, że inspiracją dla scen z sympatycznymi kukiełkami był jego osobisty związek. Skecze bohaterów, którymi od 1984 r. zajmował się Mark Saltzman, powstawały z myślą o jego własnych doświadczeniach. Jednak wyznaniom Saltzmana zaprzeczył twórca postaci Frank OZ, twierdząc, że Bert i Ernie to przyjaciele. Kto by pomyślał, że nadejdą czasy, w których problem z tożsamością seksualną będą miały pacynki.



Metoda na Annę

31-letni Tomasz z Polski znalazł się wśród 14 uczestników największego brytyjskiego show – „Big Brothera”, który odbędzie się po raz ostatni, jak podali organizatorzy. O sprawie informuje Polishexpress.co.uk. Pracujący na co dzień w Wielkiej Brytanii jako sprzątaczk Polak zadbał o to, aby wyróżnić się na tle innych uczestników. „W makijażu, oversize’owej błyszczącej czarnej sukience, butach w gwiazdki, z wachlarzem i imponującymi pazurami – w taki właśnie sposób Polak wkroczył do największego show w Wielkiej Brytanii” – czytamy na portalu. Sposób podbijania serc publiczności to znana z kraju metoda „na Annę”. Z tym że metodę warto rozważyć, bo po Annie Grodzkiej słuch zaginął.





Gangsta

W gangsterskiej stylizacji znalazł się Donald Tusk na okładce brytyjskiego brukowca „The Sun”. Przewodniczącemu Rady Europejskiej towarzyszy na tej samej okładce Emmanuel Macron. Obu panów nazwano „brudnymi szczurami unijnymi”. Na Wyspach wściekłość na Tuska wywołała jego wypowiedź, że Wielka Brytania opuści Unię Europejską bez porozumienia. I znów oszołomy miały rację. Przed całą Europą poznały się na Tusku.

„Przestrzegalem zawsze Schetynę, aby nie być tylko antypisem. Retoryka antypisowa dla części elektoratu jest fundamentalna, ale to nie jest elektorat, który wygrywa – powiedział Ryszard Petru na WP Tłit. Tajny plan Petru to wejście do PiS czy jak?

Must have?

Luksusowa marka obuwnicza Golden Goose wprowadziła na rynek nowość: buty wyglądające na zupełnie zniszczone. Koszt jednej pary to ok. 2 tys. zł. Włoskie trampki w jasnobieżowym kolorze wyglądają tak, jakby pochodziły prosto ze śmietnika. Buty wyglądają na brudne, a ich czubek jest sklejonny taśmą. Internauci krytykują luksusową markę za naśmiewanie się z biedry, ale można na sprawę spojrzeć inaczej: biecie modnym nigdy nie było łatwiejsze.



Fot. Andrzej Wiktor, YouTube (screen), mat. prasowe (4-)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wyborcza łapówka

To wyjątkowy skandal! Jedno z prorządowych czasopism przed kilkoma dniami zaproponowało najmłodszym wyborcom – tym, którzy zagłosują po raz pierwszy – że dostarczać im będzie przez dwa miesiące darmowe gazety.

Ta akcja wywołała powszechne protesty. Politycy Platformy mówili wprost: to przekupstwo, bo każdy z młodych ludzi, który zdecyduje się na taki układ, otrzyma za darmo



Dominik Zdort

warte 40 złotych egzemplarze pisma. Posłanki Nowoczesnej dodawały: a przy okazji prawica będzie sączyć do młodych umysłów swoje nienawistne poglądy. Lewica żądała: za pomocą wyroków należy zakazać takich praktyk, póki jeszcze sędziowie są niezależni!

Nawet przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej nie wahał się użyć mocnych słów. – To korupcja polityczna. PKW dziś nie jest w stanie tego zakazać, ale może po wyborach podważyć sprawozdanie wyborczego komitetu, który jest wspierany przez wymienione powyżej czasopismo. I ów komitet nie dostanie zwrotu kosztów kampanii – przestrzegał.

Ekonomiści związani z kołem sejmowym Liberalno-Społeczni przeprowadzili szybką symulację. W Polsce w każdym z czterech roczników, do których skierowana jest ta propagandowa akcja, jest po ok. 400 tys. młodych ludzi. A więc w sumie wyborcza łapówka może trafić do 1,6 mln młodych. Czyli jej wartość sięgnie być może nawet 64 mln zł. – Te pieniądze wspierają jedną z partii, a więc powinny być zarejestrowane jako wpłata na jej konto wyborcze – oburzali się.

Zaalarmowano Unię Europejską. Jej wiceprzewodniczący, zastrzegając, że lubi Polskę i Polaków, którym jego rodzina dużo zawdzięcza, stwierdził, że takie praktyki są drastycznie sprzeczne ze standardami UE. – My w europejskiej rodzinie nie możemy przymykać oczu na jawne kupczenie głosami w kraju położonym w samym centrum kontynentu. To łamanie wszelkich zasad liberalnej demokracji. W tej sytuacji będziemy zmuszeni rozważyć, czy Polska zasługuje na dofinansowanie dróg i mostów – ubolewał.

Podsumowując: po raz kolejny zrealizowano znany już scenariusz. A właściwie zrealizowano by go, gdyby któreś z prawicowych pism na taką akcję się zdecydowało. Jednak żadne tego nie uczyniło.

Darmowy dostęp do swoich treści na dwa miesiące zaofiarowało natomiast młodym wyborcom inne medium – zajadle zwalczające obecną władzę. Ale to rzecz jasna nikogo nie zainteresowało.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Polka Stulecia

Niektóre hollywoodzkie podręczniki pisania scenariuszy polecają w każdym projekcie odnaleźć miejsca, w których widz poczuje dystans autorów w stosunku do opowiadanej historii – żart czy zakrzywienie akcji dające wrażenie lekkości, nawet w ciężkiej gatunkowo i poważnej, jeśli chodzi o temat, story. Mam wrażenie, że w walce o „rząd dusz” w Polsce naszej ogólnie rozumianej „prawicy” często brakuje tej lekkości i dystansu, którymi można by celnie punktować przeciwnika. Większość ideologicznych sporów jest prowadzona ze zmarszczonym od złości czołem, co zawsze utrudnia dotarcie do odbiorcy, który zresztą – jak widzi zacietrzewionego polemistę – to już z gruntu mu nie ufa.

Jeśli tzw. opozycja zakłada koszulki na pomniki (a potrafi w T-shirt z napisem „Konstytucja” ubrać nawet katolickiego „ultrasa” Zygmunta III Wazę), to zwolennicy konserwatywnej części boju światopoglądowego mogliby zakładać takie same koszulki na przykład na pomniki stalinowskich sługusów czy „wyzwolicielei” z czerwoną gwiazdą na hełmie. Ot, taki Ber-



**Tomasz
Łysiak**

ling stojący na wiślanym brzegu, ubrany w wielką koszulkę z napisem „Konstytucja” mógłby stanowić zabawną przeciwwagę i wystawiać na próbę władze miasta: zdejmą tę koszulkę czy nie? A niby dlaczego na jednym pomniku ma wisieć, a na innym byłaby zakazana? Istotą takiej gry jest oczywiście sarkazm.

Weźmy konkurs organizowany przez redakcję „Wysokich Obcasów” na Polkę Stulecia. Redaktorzy ośmieszyli się sami – a to przez dobór postaci, a to przez ich opisy. Oto jedna z kandydatek, Maria Siemionow, jest opisana jako „chirurgka i naukowczyni”, a siostra Małgorzata Chmielewska to „dowód, że i w Kościele są dobrzy ludzie”. Nie ma Zofii Kossak-Szczuckiej, nie ma wśród nominowanych

Wandy Półtawskiej. Za to jest... Anna Grodzka. Zaapelowałem na Twitterze o oddawanie głosu na tę postać i sam to uczyniłem. Akcja głosowania stała się w międzyczasie powszechna na prawicy. Bo przecież byłoby wspaniale, gdyby w plebiscycie „Wyborczej” na Polkę Stulecia wygrał ktoś, kto wytyczył dla całej ludzkości nową, świetlaną przyszłość, w której każdy człowiek to kobieta.

Baśka miała fajny biust

Rozpoczynamy akcję mobilizacyjną! – huknęły liderki partii z dolnej strefy stanów niskich, bo jeśli oprzeć się na sondażach, Nowoczesna Kaśki Lubnauer ani Inicjatywa Polska Baśki Nowackiej nie weszłyby do Sejmu.

Ale weszły do tzw. Koalicji Obywatelskiej, więc huczą: „Te wybory wygrały kobiety! Ten rząd obalą kobiety!” – to Kaśka, która pobudza: „Bardzo ważne jest, żeby zmobilizować kobiety do tego, żeby poszły na wybory i zabrały swoje siostry, przyjaciółki, matki, ale również swoich mężów, braci i ojców!”. I Antka szwagra kobity brat też mógłby pójść, o sprawę chodzi, żeby „spowodować, że Polki wreszcie będą miały równe prawa, równe szanse, będą bezpieczne w domu, w miejscu pracy, będą bezpieczne społecznie i socjalnie”, wspomaga Kaśkę Baśka. I powstają wyklęte, których dręczy głód, Kryśka Janda na przykład powstała, też uważa, że „Polska się wali”. A Krysia walić się nie chce. Wprawdzie jest „tylko aktorką”, co sama przyznała, ale „postanowiła być bardziej elokwentna i zajrzała do Wikipedii”. I napisała: „Coraz częściej mam ochotę zamknąć się w domu i nie wychodzić na ten kraj, nie kontaktować się z krajanami”, z „ogółem”. Bo mierzi ją „zgoda powszechna na to ścierwo, w imię partykularnych interesów lub świadomego



**Piotr
Cywiński**

przemilczania i zaniechania prawdy”, choć „bardzo wielu wie, że to kłamstwo i udają głuchych, ślepych, obojętnych”. Kryśka po Wikipedii ubolewa, że „ludzie zawodzą”, nie demonstrują, dają się prowadzić „jak banda baranów na zatracenie”.

Maryśka Nurowska nie daje, sama wyklina i apeluje do generacji: „Przez obecnie rządzących łamana jest konstytucja, na którą przysięgaliście. Czas, aby wojsko stanęło na jej straży!”. I Dorota Stalińska wyteży pierś: „Wstyd będzie wszystkim, którzy nie mają odwagi odmówić haniebnych rozkazów”, przestrzega. „Znamy te miejsca, gdzie żołnierze wykonywali polecenia, wpuszczając gaz! Miejcie odwagę zdjąć te mundury i znaleźć uczciwą pracę!”. I Róża

Thun von und zu też wzywa, z Brukseli wzywa. Niepokoi ją, że straci pracę: „Nie śpijcie! PiS wyprowadzi nas z UE w ciągu jednej nocy!”. A gdy wyprowadzi to „Trójmorze na wschód”, wtedy „Europa ulegnie destrukcji”, drży Agnieszka Holland, ta od „Kobiety samotnej” i „Mężczyzny niepotrzebnego”, bo „trzecia wojna światowa jest czymś bardzo realnym”, takie będą skutki tej „haniebnej, bardzo niemądrej i bardzo szkodliwej” postawy rządu i prezydenta RP. Niestety, ludzie w Polsce głupie są, i jak Wilki, zamiast włączyć się w tę akcję mobilizacyjną, tylko by śpiewali: „Baśka miała fajny biust...”.



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECINSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN),
LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOLEK,
WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ
GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ,
STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS,
CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA LOSIEWICZ,
TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ
RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,

JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, PIOTR SKWIECINSKI,
WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, EWA WESOŁOWSKA,
MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ
ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN Oraz WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI Oraz RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL.
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENIA "RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKLAD: 101 920 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR

To mój główny cel: poprawić los ciężko pracujących ludzi, czy to na roli, czy w zakładach pracy, poprawić życie polskich rodzin.

To ci ludzie są w centrum mojego myślenia, mojej pracy, a nie beneficjenci fruktów rozdawanych rozmaitym elitom

*Jacek i Michał Karnowscy
rozmawiają z prezydentem RP
Andrzejem Dudą*

Zdjęcia Andrzej Wiktor



Sprawy Polski idą dobrze

Panie prezydencie, rozmawiamy kilka godzin po pana powrocie ze Stanów Zjednoczonych. Jakiej jest pana podsumowanie rozmów ze stroną amerykańską, w tym tej najważniejszej, z prezydentem Donaldem Trumpem?

Andrzej Duda: Rzeczywiście rozmawiamy na gorąco. Dopiero wróciłem z Nowego Jorku, z sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, kilka dni wcześniej odbyłem oficjalną wizytę w Waszyngtonie, pierwszą od lat wizytę polskiego prezydenta w USA, w zupełnie nowych politycznych okolicznościach. Poprzednią odbył prezydent Bronisław Komorowski, a spotykał się z prezydentem Barackiem Obamą.

Inna epoka.

W jakimś sensie tak. Ale też dlatego, że weszliśmy w relacjach polsko-amerykańskich na bardzo wysoki poziom konkretności. Chcieliśmy poważnie porozmawiać, chcieliśmy spotkania w Białym Domu, w Gabinetcie Ovalnym, i to osiągnęliśmy, chcieliśmy mocnej deklaracji – i ją mamy.

Właśnie, przywiózł pan prezydent odnowioną wspólną polsko-amerykańską deklarację o partnerstwie strategicznym, a tam m.in. zdania, iż „uznajemy, że nadszedł czas, by umocnić i utrwalić strategiczne partnerstwo między naszymi narodami”, że celem jest „przeciwdziałanie projektom energetycznym zagrażającym naszemu wspólnemu bezpieczeństwu, takim jak Nord Stream 2” oraz że „Polska i USA zobowiązują się do rozważenia wariantów wzmocnienia militarnej roli USA w Polsce”. Duża sprawa. Ale obietnica stałej bazy amerykańskiej w Polsce nie padła.

Wiedziałem, że w tym momencie jest za wcześnie, żeby padła. Jechałem tam po to, by wytyczyć wspólnie z prezydentem Stanów Zjednoczonych kierunki, które w efekcie dadzą amerykańskie inwestycje w Polsce, w tym także militarne. A także zacieśnianie relacji, które na wielu płaszczyznach będą budowały bezpieczeństwo Rzeczypospolitej. I tak się stało. Każdy mógł usłyszeć to choćby w trakcie wystąpienia prezydenta Trumpa przed Zgromadzeniem Ogólnym Narodów Zjednoczonych, gdzie Polska została wymieniona jako jeden z kluczowych partnerów strategicznych USA, w towarzystwie takich krajów jak Arabia Saudyjska i Izrael. Wygłoszony tam opis naszego kraju jest rewelacyjny: wia-

rygodny sojusznik, solidny partner, wzór dla innych. Jestem przekonany, że gdyby nie ostry spór polityczny w Polsce, zostałoby to bardziej docenione. Nie tylko jako mój rząd sukces, lecz także sukces Polski. Można mnie nie lubić, można nie lubić obozu Zjednoczonej Prawicy, ale nie rozumiem, jak można nie docenić znaczenia dla Polski wspomnianej już przez panów wspólnej deklaracji o partnerstwie strategicznym, z osobistym podpisem prezydenta Donalda Trumpa.

Część mediów dostrzegła wyłącznie to, że podpisując ją, stał pan przy biurku w Gabinetcie Ovalnym, a prezydent Trump siedział. Dlaczego tak to się odbyło?

Po kolei. Zależało nam, by nie był to pusty dokument, by był tam podpis i prezydenta Rzeczypospolitej, i prezydenta USA, by to miało tę moc osobistego stempla, osobistej decyzji, która dla Donalda Trumpa, w przeszłości dynamicznego biznesmena, jest bardzo ważna. Poprzednia deklaracja, z roku 2008, nie była podpisana przez prezydentów ani nawet przez ministrów. Była po prostu przyjęta. I zaraz potem się okazało, że jednak nie będziemy mieli tarczy antyrakietowej w Polsce. Fakt, że prezydent Obama nie gwarantował tego swoim podpisem, miał tu znaczenie, ułatwił szybkie wyjście z zapowiedzi. Takiego błędu popełnić nie chciałem. I nie popełniłem.

Dopytamy raz jeszcze: forma podpisania nie mogła być inna?

Donald Trump – jak może – unika niepotrzebnej celebry, dąży do pozytywnego domykania spraw. Ja też. I tak to zbudowaliśmy, tak miało być. Mocna, szczerza, konkretna rozmowa w Białym Domu, a potem puentująca to deklaracja. Każdy bierze po egzemplarzu i działamy dalej. Liczyła się dla nas siła tego dokumentu, potwierdzenie strategicznego sojuszu w nowych okolicznościach. Przecież świat po tych 10 latach jest inny. Rozmowa była tak dobra, że znacząco się przeciągnęła. Zrezygnowaliśmy z przechodzenia do innej sali. Cel osiągnąłem. Jak ktoś woli się skupiać na tym, że nie siedziałem na złotym tronie, to trudno. Obiecywałem Polakom prezydenturę skuteczną, a nie celebrującą. Słowa dotrzymuję.

Opozycja i przychylne jej media machały tym zdjęciem na prawo i lewo. Zabolalo pana?

Nie. Ułamek sekundy wystarczył, by w świat poszło podobne zdjęcie pokazujące w dziwnej relacji prezydenta Trumpa i prezydenta Macrona. Bo jeden odwrócił się do kamer wcześniej niż drugi. Dziś technika jest taka, że nawet z bardzo dobrej rozmowy można wybrać takie zdjęcia, które sugerują kłótnię albo, w zależności od zapotrzebowania, miłą pogawędkę. Trzeba to rozumieć.

Propozycję zbudowania w Polsce Fortu Trump, jak pan nazwał możliwą bazę amerykańską, złożył pan w czasie tej rozmowy?

Za tą żartobliwą, choć świetnie przyjętą w Stanach Zjednoczonych i przez prezydenta Trumpa, i przez media nazwą kryje się fundamentalny dla przyszłości Polski projekt. Bazy amerykańskie sprawdziły się jako gwarant bezpieczeństwa, wystarczy spojrzeć na lata zimnej wojny, gdzie wykazały swoją stabilizującą siłę. Tak było w Niemczech Zachodnich, które także dzięki nim oparły się presji ze Wschodu. Mają one także siłę odstraszającą, to one były czynnikiem, który niweczył sowieckie plany ekspansji militarnej, okazały się dobrym strażnikiem bezpieczeństwa Europy. Po 1999 r. granica NATO się przesunęła. Czas, by także przesunąć granicę bezpieczeństwa. A to daje sojusznica, głównie amerykańska, obecność w Polsce i innych krajach, jak w Rumunii. Ona już jest, co doceniamy, ale dla naszego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa Europy optymalne by było, żeby była większa i stała. To jest element umacniania naszej trwałej obecności w świecie wolnego Zachodu.

Można mnie nie lubić, ale nie rozumiem, jak można nie docenić znaczenia dla Polski wspólnej deklaracji o partnerstwie strategicznym, z osobistym podpisem prezydenta Trumpa

No dobrze, ale może pan obiecać, że Fort Trump powstanie? Baza taka jak Rammstein w Niemczech – to wielkie miasto i koszary amerykańskich żołnierzy?

Nie chodzi o to, żeby to była taka sama baza jak w Rammstein. Chcemy, by to była baza, która będzie miała pełną infrastrukturę. I jesteśmy gotowi ją przygotować. Rozumiem amerykańską politykę, że ci, którzy z amerykańskiego parasola korzystają, muszą się do jego utrzymania dołożyć. Amerykański podatnik ma prawo zapytać, dlaczego tylko on ma ponosić ciężary bezpieczeństwa w Europie. Dlatego powiedziałem prezydentowi Trumpowi, że jesteśmy gotowi przygotować odpowiednią infrastrukturę. I to jest tam traktowane jako mocny argument na rzecz tego projektu.

Może pan prezydent powiedzieć po tej wizycie, że łączą was z Donaldem Trumpem specjalne relacje, także w wymiarze osobistym? To w polityce też ma znaczenie, a w przypadku prezydenta z przeszłością biznesową, szczególnie.

Odpowiem tak: pierwsze poważne, dłuższe moje spotkanie z prezydentem Trumpem odbyło się tutaj, w Warszawie, w lipcu 2017 r. Prezydent rozmawiał wtedy ze mną w cztery oczy na Zamku Królewskim w Warszawie. Trzeba pamiętać, że on wyszedł z wielkiego biznesu, gdzie obraca się miliardami dolarów. Za tym idzie pewien styl zarządzania i poczucie osobistej wartości. To jest człowiek amerykańskiego sukcesu. Moje doświadczenie życiowe jest inne, ale jako prawnik, zanim zająłem się polityką, też stykałem się zawodowo z ludźmi biznesu, choć oczywiście nie tak wielkiego. I potrafię przyjąć, że prezydent Trump zabiegając o interesy swojego kraju, posługuje się właśnie językiem z tamtego świata. Twardo stawia sprawy, jak na standardy polityki nawet czasami zdumiewająco bezpośrednio i ostro, jednak nie czyni tego w sposób, który by kogokolwiek obrażał, który by łamał jakieś ogólne normy. Jest wyrazisty, ale kocha przede wszystkim swój kraj, walczy o niego, lubi konkret, a nie wodolejstwo, dotrzymuje słowa. To wszystko bardzo szanuję. Przypomina mi się spotkanie w kuluarach jednego ze szczytów NATO, kiedy mieliśmy niezaplanowaną kilkuminutową rozmowę, co jak na standardy takich spotkań jest rozmową długą. Powiedziałem wtedy: „Panie prezydencie, chcielibyśmy mieć stałą bazę amerykańską w Polsce”. Pokiwał głową, ale nie zareagował. Kiedy jednak dodałem: „Ale jesteśmy gotowi przeznaczyć 2 mld dolarów, żeby ją przygotować”, zobaczyłem błysk w oku. Już była inna rozmowa.

Na co poszłyby te 2 mld dolarów?

Chcę mocno podkreślić, że to inwestycja w nasze bezpieczeństwo. Pieniądze wydane na utworzenie stałej bazy wojsk amerykańskich to środki wydane tu na miejscu, w Polsce. Po to, żeby Polska i Polacy byli jeszcze bardziej bezpieczni. Jeśli chodzi o konkrety, to na takie przygotowanie terenu, infrastruktury, wszystkiego, co jest potrzebne, żeby ta baza mogła funkcjonować, żeby była profesjonalna, nie różniła się standardami od innych takich baz wojsk amerykańskich.

To jest przeciwko komuś? Przeciw rosyjskiej agresji?

To jest dla bezpieczeństwa. To jest szukanie możliwości obrony w przypadku, gdybyśmy zostali zaatakowani. A mamy sąsiadów, którzy zaatakowani zostali, i o tym musimy pamiętać.

Po spotkaniu z prezydentem Trumpem była sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ, a na niej pana pogawędka z Donaldem Tuskiem. I dużo spekulacji, co oznaczała. Eksperci czytający z ust twierdzą, że padło tam słowo „emerytura”. A naprawdę?

Nie ma tu żadnej tajemnicy. Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację: macie panowie reprezentować Polskę na sesji ONZ poświęconej misjom pokojowym. Dostajecie kartkę z porządkiem obrad, na której jest napisane, że naj-

pierw przedstawiciel Nepalu, potem Portugalii, a następnie Polski. Czekacie, aż podchodzi pani z obsługi i mówi, że za chwilę będzie wasza kolej wystąpienia. Przesiadacie się zatem. Tak zrobiłem. Obok siedział przedstawiciel Nepalu, przedstawiłem się, przywitałem. Wtedy wszedł pan przewodniczący Donald Tusk. Przywitałem się. Nie było dla niego krzesła, chwilę stał, a potem usiadł trochę dalej. Po czym przedstawiciel Nepalu poszedł wygłaszać przemówienie, a pani z obsługi poprosiła pana przewodniczącego Tuska, by usiadł na zwolnionym miejscu. Czyli obok mnie.

A kamery idą w ruch.

Dokładnie. A to nie była żadna demonstracja ani ze strony przewodniczącego Tuska, ani mojej. Mamy inne poglądy, różnimy się bardzo poważnie, ale jesteśmy z jednego kraju, na międzynarodowym gruncie. Mieliśmy udawać, że się nie znamy? Zamieniliśmy kilka zdań, rozmowa była grzecznościowa, całkowicie prywatna. I taką niech pozostanie.

I nic o wyborach prezydenckich?

Nic. Ale powtarzam – dla mnie rozmowy prywatne pozostają prywatnymi, nie mówię o ich treści publicznie.

To nas doprowadziło jednak do pytania, czy myśli pan już o reelekcji? O wyborach 2020 r.?

Media co chwila o to pytają, spekulują, taka jest wasza rola. Moja jest inna. Ja skupiam się na jak najlepszym, rzetelnym i odpowiedzialnym wypełnianiu obowiązków prezydenta RP. A kiedy przyjdzie czas podejmowania decyzji, to ją ogłoszę.

Pan przychyliła się do którejś z opcji?

Staram się realizować to, co zaplanowałem, co zapowiedziałem Polakom w czasie kampanii 2015 r. i cieszę się, że ta Polska rzeczywiście zmienia się na lepsze właśnie z perspektywy zwykłych obywateli. To był mój główny cel: poprawić los ciężko pracujących ludzi czy to na roli, czy w zakładach pracy, poprawić życie polskich rodzin. To ci ludzie są w centrum mojego myślenia, mojej pracy, a nie beneficjenci rozmaitych fruktów rozdawanych rozmaitym elitom. Walczę o sprawy zwykłych ludzi, którzy nie mają przywilejów i wielkich premii, którzy muszą ciężko pracować na pensję i niewielką potem emeryturę.

Te plany, które pan podejmuje, są jednak dwukadencyjne. Nie można planować Fortu Trump i poważnie rozważać rezygnacji z walki o drugą kadencję.

W tak sztywnych kategoriach to trzeba by planować dzień kadencji. Powtarzam: każdego dnia ciężko pracuję, by Polacy mogli powiedzieć, że prezydent dotrzymał słowa, by odczuli zmiany w swoim życiu. A jeśli pewne dobre sprawy podejmie kiedyś i poprowadzi ktoś inny, to będzie to naturalna kolej rzeczy i będą z tego szczęśliwy.

Nie czyta pan prezydent tych plotek o ewentualnym starcie premiera Morawieckiego w wyborach prezydenckich?

Rozmowa z prezydentem Trumpem była tak dobra, że znacząco się przeciągnęła. Zrezygnowaliśmy z przechodzenia do innej sali. Cel osiągnąłem. Jak ktoś woli się skupiać na tym, że nie siedziałem na złotym tronie, to trudno. Obiecywałem Polakom prezydenturę skuteczną, a nie celebrującą

Łagam, zatrzymajmy się w tych publicystycznych dywagacjach. Życzę premierowi Morawieckiemu, żeby jak najlepiej realizował swoje obowiązki, by się nam jak najlepiej współpracowało dla dobra Polski, i wierzę, że tak będzie dalej.

To inne pytanie: jak pan ocenia rząd premiera Morawieckiego? Czy ta zmiana, której intencją było, jak rozumiemy, przyspieszenie pewnych działań, zwiększenie skuteczności, okazała się dobrym rozwiązaniem?

Nie chcę w ten sposób oceniać. Każda zmiana ma to do siebie, że zawsze daje jakiś nowy impuls. I on był widoczny. Jest nowy szef rządu, jest zatem inny sposób działania, inaczej rozłożone są akcenty. Uważam, że pani premier Beata Szydło dobrze wykonywała swoje obowiązki, bardzo wysoko ją ceniłem i cenię. Zdecydowano jednak w kierownictwie Zjednoczonej Prawicy, że nastąpi zmiana, obserwowałem to jako prezydent. Skoro taka była wola większości parlamentarnej, przyjąłem ją z szacunkiem i zrozumieniem. Premier Morawiecki też sobie radzi bardzo dobrze. Wybrnął z wielu trudnych sytuacji, także tych międzynarodowych, i oświadczył wysoko cenię premierostwo.

Zmiana ministra obrony narodowej poprawiła współpracę z prezydenckim Biurem Bezpieczeństwa Narodowego i panem jako zwierzchnikiem sił zbrojnych?

Sprawy wojska są prowadzone dobrze, jestem zadowolony ze współpracy z Mariuszem Błaszczakiem, obecnym ministrem obrony.

Skoro jesteśmy przy wojsku, nie mogę nie zapytać o sprawę fregat, które mieliśmy kupić w Australii, ale ostatecznie transakcja nie doszła do skutku. Pan był zwolennikiem tej opcji?

Cała sprawa musi być rozpatrywana szerzej, jako element koncepcji rozwoju polskiej Marynarki Wojennej. To dla mnie ważny obszar. Powinniśmy mieć Marynarkę Wojenną. Oczywiście w realiach Morza Bałtyckiego nie będziemy

Jest dla mnie naturalne, ale i dla Polaków oczywiste, że ktoś, kto został wybrany na urząd prezydenta Rzeczypospolitej, nie może być nadal związany partyjnie





nigdy światowym, oceanicznym mocarstwem. Ale pytanie, czy nie przydałyby nam się dwie takie większe fregaty, choćby po to, byśmy mogli wykonywać misje w ramach współpracy sojuszniczej, nie wydaje mi się niezasadne. Podobnie jak to, czy przydałyby się nam taka fregata do zabezpieczenia innych operacji na Morzu Bałtyckim? Pytanie jest następujące: czy mamy czekać zapewne kilka lat na budowę takich okrętów w polskich stoczniach, czy kupić coś na okres przejściowy i w tym czasie budować w polskich stoczniach? Ta dyskusja toczy się wśród ekspertów, których ja też słucham, i koncepcja zakupu fregat z Australii była jej odbiciem. Podkreślam jednak, że ostateczne decyzje należą do rządu.

Wróćmy panie prezydencie do kwestii politycznych. Pan jeszcze o walce o reelekcję nie zdecydował, ale obóz Jarosława Kaczyńskiego będzie się bił o mandat na kolejne cztery lata. Jak pan ocenia szansę na jego kolejną kadencję?

Polacy oceniają. Ale chciałbym, żeby każdy zadał sobie pytanie, ile razy zdarzyło nam się w ciągu ostatnich już prawie 30 lat, że jakiś obóz polityczny w takim stopniu wykonał swoje zobowiązania wyborcze? Jeśli ocena będzie obiektywna, dokonana z tej perspektywy, to odpowiedź na panów pytanie jest taka, że szansa jest duża. Było w Polsce wiele rzeczy, które wymagały dużych zmian, reform, trzeba też było podnieść poziom życia, wzmocnić rodzinę, wesprzeć tych, którzy dźwigają ciężar wychowania dzieci, zrobić coś w sprawie kryzysu demograficznego. W mojej ocenie z całego tego dorobku program 500+ bez wątplenia jest najważniejszy, miał wielkie pozytywne skutki.

Pan prezydent dużo jeździ po Polsce i choć nie daje to obrazu naukowego, to pewne ogólne odczucia pozwala złapać. Polacy to doceniają? Nie w rozumieniu wdzięczności, bo to byłby absurd, ale dostrzeżenia złamania zasady III RP, że się nie da?

Tak. Ze wszystkich zmian po 2015 r. ta oraz powrót do poprzedniego wieku emerytalnego są najbardziej doceniane. Wielokrotnie, do dzisiaj, ludzie podchodzą, głównie matki, i mówią, jak wiele zmieniło to w ich życiu. Często powtarza się uznanie, że zrobiono rzeczy, o których poprzednicy dziś rządzących mówili, iż są absolutnie niemożliwe.

Jednocześnie mamy w establishmencie medialnym, ale i w wielu innych, potworny, stały atak na tę ekipę. Latają w powietrzu najstraszliwsze oskarżenia. Jesteśmy skazani na aż taki rozdźwięk?

To jest efekt tego, że w mojej opinii następuje dzisiaj w Polsce taka prawdziwa dekomunizacja. A może precyzyjniej – depostkomunizacja. Bo tu nie chodzi tylko o ludzi, którzy byli w strukturach komunistycznych, lecz też o tych, którzy stali się beneficjentami porozumienia, do którego doszło w okolicach 1989 r.

Ale też nie jest tak, że tych wprost z komuny już nie ma. Nagle nam się na przykład objawił, jako wzorcowy se-

dzia Sądu Najwyższego, pan Jerzy Iwulski z całą swoją czerwoną biografią.

Tak został ustawiony cały ten system. Jak może ktoś spojrzeć na listę i biografie sędziów, którzy właśnie odeszli z Sądu Najwyższego, to zrozumie, dlaczego nie udało się w Polsce przez tyle lat rozliczyć zbrodni komunistycznych. Dlaczego procesy trwały latami i nie udało się wyegzekwować sprawiedliwości, a komunistyczni mordercy pozostali bezkarni. Jak ktoś posłucha tych rozmów telefonicznych, które były prowadzone przez jednego z sędziów Sądu Najwyższego z innym sędzią, to pojmie, dlaczego zapadało w Polsce tyle dziwnych wyroków na najwyższych szczeblach. Ale to są właśnie wszystko te stare chore układy, które przeszły z tamtych czasów. Ale żeby naprawdę Polska była nowa, muszą one zostać przerwane.

I to się w pana opinii dzieje?

Tak, w sposób zgodny z konstytucją, która wiek przejścia sędziów w stan spoczynku ceduje na ustawę, a więc w sposób najbardziej cywilizowany z możliwych. Uważam, że cały ten proces naprawy Polski prowadzimy w sposób cywilizowany. Oczywiście, ktoś zaraz powie: „O rany, obniżono emerytury ubekom i esbekom”. Przepraszam bardzo, ale nie zabrano, tylko obniżono do poziomu przeciętnej emerytury, za którą niestety muszą żyć ciężko pracujący w PRL zwykli ludzie. Nie widzę też powodu, byśmy aparatowi represji komunistycznego państwa płacili horrendalne pieniądze w wolnej Polsce.

Ustawę degradacyjną jednak pan zawetował.

Spokojnie, wyjaśnijmy sprawę. Żeby było jasne, każdy wie, że nie jestem obrońcą WRON i jednoznacznie negatywnie oceniam jej działalność. Jednak nie mogłem nie zauważyć, że ustawa miała swoje poważne wady prawne i do tego odnosiła się moja argumentacja. Te wady mogłyby powodować przegrane dla Polski przed ETPC w Strasburgu. Czy można się zgodzić z tym, że członkowie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego mają być potraktowani gorzej niż stalinowscy oprawcy. Nie sądzę. Tamci zabijali często własnoręcznie, wydawali masowo wyroki śmierci.

To tamtym też zabrać gwiazdki generalskie.

Zgoda. Ale ustawa była tak napisana, że tamci czy ich rodziny mieli mieć możliwość odwołania się od decyzji ministra, mogli pójść do sądu. A członkowie WRON – nie. Decyzja prezydenta i koniec, żadnego środka odwoławczego. Nawet ten przysłowiowy generał Mirosław Hermaszewski, który był w tej WRON jako element propagandowy. Zgoda, że to była zła rola. Ale czy można go nazwać komunistycznym zbrodniarzem? Nie sądzę.

Możliwa jest zatem jakaś inicjatywa całościowo regulująca tę sprawę?

Wolałbym, by rozwiązano to inaczej. Nazwijmy rzeczy po imieniu. Niech generałowie Ludowego Wojska Polskiego pozostaną generałami tegoż wojska, przyjmijmy takie określenia. I każdy będzie mógł sprawdzić, że Ludowe Wojsko Polskie to nie to samo, co Wojsko Polskie, bo przyszło tutaj

z Armią Czerwoną i takie pozostało. Ale też oddajmy hołd generałom Wojska Polskiego na Zachodzie i tak ich nazwijmy, bo to powód do dumy.

Innym problemem jest Order Virtuti Militari. Dziś wisi często na piersiach czy już tylko grobach niegodnych tego ludzi z okresu PRL. To można zmienić?

Nie jest to łatwe, zdania są podzielone, ale na pewno należy się nad tym pochylić, bo jest tam bardzo wiele niegodziwości. Jeżeli ktoś dostał Virtuti Militari za to, że mordował Żołnierzy Niezłomnych, to jednak bardzo to razi.

To dobry moment, by zapytać, czy z dzisiejszej perspektywy uważa pan weta do części ustaw sądowych z lipca 2017 r. za słuszne?

Tamte decyzje były absolutnie słuszne. Proponowane wówczas relegowanie jednym w zasadzie aktem sędziów i pracowników Sądu Najwyższego nie mieściło się w standardach. Podobnie jak za daleko idący wpływ ministra sprawiedliwości – prokuratora generalnego na funkcjonowanie Sądu Najwyższego.

Często słychać narzekania, że gdyby nie one, reforma byłaby dużo dalej.

Bardzo dyskusyjne. Jeżeli dzisiaj mamy tyle protestów i tyle nieprawd przekazywanych na ten temat, to w tamtej sytuacji byłoby to dużo ostrzejsze. Dziś to jednak spokojnie postępuje, jest kontrola sądowa zmian, dzieje się to na rozsądnych zasadach. Choć oczywiście trwa ostry spór, bo pewne grupy zostają odsunięte od władzy, tracą te ogromne wpływy, które przez dekady dawały moc decydowania o zawodowym życiu i śmierci wielu ludzi. To był przecież system kooptacji. Jak byłeś posłuszny, robiłeś karierę. Jak nie, przepadałeś.

Eventualny wyrok TSUE powinniśmy uznać?

Najpierw powinniśmy przeczytać, jaki będzie.

To dobry moment, by zapytać, czy pan się dzisiaj nadal czuje elementem obozu dobrej zmiany?

W sensie programowym – oczywiście.

A kadrowym?

Kadrowym – jednak już nie. Jest dla mnie naturalne, ale i dla Polaków oczywiste, że ktoś, kto został wybrany na urząd prezydenta Rzeczypospolitej, nie może być nadal związany partyjnie. Mówi o tym też konstytucja. Prezydent musi przyjąć rolę arbitra, musi wypełniać swoje obowiązki konstytucyjne. Rozumiem, że niektórym moim byłym kolegom z Prawa i Sprawiedliwości była na rękę ustawa, która zmieniała ordynację do Parlamentu Europejskiego. Ale ja uważałem, z punktu widzenia dobra państwa, że nie mogę zaakceptować propozycji, by realny próg wyborczy wynosił w niektórych okręgach 12 proc., a nawet, jak wskazywały niektóre symulacje, 16 proc. To byłoby niepotrzebne, szkodliwe, w poważny sposób ograniczałoby swobodę wyboru Polaków. Mam więc obowiązki wynikające z konstytucji, ale mam też swoje poglądy, sumienie, które się na moje decyzje



też przekładają. Przecież Polacy także dlatego powierzyli mi ten urząd, bo znali moje poglądy. Nie mogę ich teraz porzucić.

Często można usłyszeć: starcie polityczne w Polsce jest tak mocne, a obóz III RP tak brutalny, że nie ma miejsca na bycie pośrodku. I coś w tym jest, wszystkie próby kompromisu są odrzucane. Mówią wprost: chcemy odzyskania władzy, za wszelką cenę, każdym sposobem, a nie współpracy z rządem.

Starcie jest mocne, ale przez ostatnie dni oglądałem wieczorami amerykańskie telewizje informacyjne. I proszę mi wierzyć: u nas poziom sporu politycznego jest na szczęście mniejszy. Ale też nie mam złudzeń, że będę atakowany za wszystko, że będzie się manipulować, wyrywać z kontekstu moje słowa, zachowania i czyny, czy też, co jest szczególnie żalosne, mojej żony. Tak jak w tym fake newsie, że nie podała ręki prezydentowi Trumpowi, co jest nieprawdą. Agata najpierw podała rękę Melanii Trump, a następnie prezydentowi. A jaką historię z tego ukręcono, sami panowie widzieli.

To nie była żadna demonstracja ani ze strony przewodniczącego Tuska, ani mojej. Mieliśmy udawać, że się nie znamy? Zamieniliśmy kilka zdań, rozmowa była grzecznościowa, całkowicie prywatna. I taką niech pozostanie

Jeśli już pan zaczął temat plotek, to jedną z najczęściej kolportowanych jest ta, że jest ona główną przeciwniczką pana ponownego kandydowania. Czy jest w tym cokolwiek z prawdy?

Plotki były, są i będą. Niektóre są zabawne, inne po prostu są zwykłymi kalumniami, jak ta o rzekomym kryzysie w moim małżeństwie, że źle się dzieje. Jesteśmy małżeństwem od 20 lat, a parą jesteśmy już od czasów licealnych. Kochamy się, lubimy, nigdy na szczęście nie było w naszym związku poważniejszego kryzysu i nadal, za co Bogu dziękuję, nie ma.

A w tym, że pierwsza dama źle się czuje w Pałacu Prezydenckim, w tym politycznym świecie, coś jest?

Agata jest nie tylko fantastyczną żoną, lecz także świetną pierwszą damą. Bardzo rzetelnie, godnie i z ogromną klasą pełni swoją funkcję, za co jestem jej ogromnie wdzięczny. Ale to nie tylko towarzyszenie mi przy uroczystościach oficjalnych, wymaganych protokołem. Jest także bardzo aktywna w działalności dobroczynnej, bierze udział w akcjach

charytatywnych. Odwiedza szpitale, hospicja, spotyka się z dziećmi i młodzieżą, stara się pomagać w wielu obszarach. Wykonuje bardzo dużo pożytecznej i dobrej pracy. Jej kalendarz jest nie mniej wypełniony spotkaniami, wizytami, wyjazdami niż mój. A przy tym robi to skromnie, bez fleszy aparatów i kamer. Na dodatek znajduje czas na swoje życie, swoje pasje, swoje ambicje. Ja to szanuję. To ja jestem politykiem, a nie ona. Agata jest z zamiłowania i powołania nauczycielem. Uwielbia pracę z młodzieżą i nigdy się polityką nie zajmowała. Wiele rzeczy jest dla niej nowych, których wcześniej nie doświadczała.

Na przykład?

Choćby z manipulacjami medialnymi. Moja żona nie może się pogodzić z tymi manipulacjami, które często widzi, to jej się nie mieści w głowie. Wątpliwym pocieszeniem jest to, że kiedy porozmawia z pierwszą damą Stanów Zjednoczonych, to widzi, że może być gorzej.

Można to, co dzieje się w tym obszarze, porównać z prze-mysłem pogardy wobec śp. Lecha Kaczyńskiego?

Nie. Dziś są jednak niezależne media, choćby te reprezentowane przez panów, które stanowią jakąś przeciwwagę. Wtedy one dopiero startowały, a siła kłamstwa była nieporównanie większa. Skala ataku, jaka spotkała śp. prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego, była nieporównanie silniejsza. Pamiętam z tamtego czasu swoją rozmowę, a byłem wówczas ministrem w Kancelarii Prezydenta, z jednym z fotografów pracujących w mainstreamowej prasie. I pamiętam jego stwierdzenia: „Nie liczcie, że pojawią się jakieś normalne, niezłośliwe, zdjęcia prezydenta i jego małżonki. Chyba że sami je zrobicie i dacie na stronie internetowej mediom za darmo. To może ktoś się skusi”. Tak też zrobiliśmy. A dzisiaj każdy może zrobić zdjęcie telefonem komórkowym, są media społecznościowe, które też pluralizują przekaz.

Pan prezydent przejmując się krytyką prasową? Uważa, że bywa słuszna?

Jestem politykiem, więc do krytyki jestem przyzwyczajony. To w demokracji naturalne. Przykład z ostatnich tygodni, choćby w sprawie zakładu w Pięksku, kiedy mogło to wyglądać, że nie przejmuję się losiem zwalnianych pracowników. Tak nie było, ale tak to mogło wyglądać. Rzeczywiście powiedziałem, będąc w tłumie ludzi, odpowiadając na kolejne z setki pytań, że proszę się nie przejmować, że otworzą następny zakład. W tamtym rejonie jest dużo inwestycji, powstają nowe miejsca pracy. Kiedy jednak dowiedziałem się, że chodzi o dobrze prosperujący zakład, który jest tak po prostu zamykany przez zagranicznego właściciela po to, by przenieść produkcję gdzie indziej, natychmiast podjąłem interwencję. Rozmawiałem z samorządowcami, wojewodą, poprosiłem, tu w Pałacu, minister Elżbietę Rafalską o zajęcie się sprawą, tak by ludzie nie zostali bez żadnej pomocy.

Mówimy o rynku pracy, a z tym wiąże się kwestia imigracji. Narasta poczucie, że Polska może powielić błęd państw zachodnich, które bezrefleksyjnie, w obliczu

braku rąk do pracy, otworzyły się na imigrację z Afryki, Azji, kręgów dalekich kulturowo. Może warto wypracować jakąś spójną politykę migracyjną, a nie puszczać sprawy na żywioł?

Nie do końca się z panami zgodzę. Pewne zjawiska są nieuchronne, ale nie jest tak, że państwo polskie prowadzi politykę zachęcającą do przyjazdu ludzi z całego świata. Oczywiście, przyjeżdżają do nas Ukraińcy, oni ciężko pracują na utrzymanie rodzin, są szanowani. I w tym nie ma nic złego. Ale najważniejsze jest oczywiście to, by ludzie z Polski nie wyjeżdżali, by tu były atrakcyjne miejsca pracy, dobrze opłacane. I tu mamy ogromny postęp, dziś często słyszę, że praca szuka człowieka. Płace rosną, ale wciąż pensje są relatywnie niskie w porównaniu z Zachodem. I tu jest klucz do sprawy: musi nastąpić wzrost płac. Na tyle duży, by zatrzymać pracowników w Polsce, ale na tyle rozsądny, by nie osłabić polskich przedsiębiorstw. Taka jest polityka polskiego rządu, wspierana przeze mnie. Wspierałem rząd w sprzeciwie wobec przymusowej imigracji. Powtarzam: żadnej zgody rządu na masową imigrację z dalekich rejonów nie widzę.

Oby pan prezydent miał rację. Kibicuje pan komuś w wyborach samorządowych? Patrykowi Jakiemu w Warszawie? Małgorzacie Wassermann w Krakowie?

Kibicuję wszystkim dobrym kandydatom. Patryk Jaki na pewno jest utalentowanym młodym człowiekiem, który zrobił ogromny postęp. Małgosię Wassermann znam od lat, to moja koleżanka z Krakowa, z podziwem patrzę, jak podjęła dziedzictwo śp. ministra Zbigniewa Wassermanna, jak wspaniale się w polityce buduje. Ale w kampanię się oczywiście nie angażuję.

Panie prezydencie, a możliwy jest powrót do tematu referendum konstytucyjnego?

Od uchwalenia obecnej konstytucji minęło ponad 20 lat, w tym czasie świat się bardzo zmienił, zmieniła się Polska, jesteśmy członkiem NATO i Unii Europejskiej. Nadal uważam, że potrzebna jest nam nowa ustawa zasadnicza dla przyszłych pokoleń. Potrzebna jest nam poważna debata o nowej konstytucji. Częścią tej debaty była moja inicjatywa. Bardzo się cieszę, że w tę dyskusję obok ekspertów, polityków, wielu organizacji włączyli się także Polacy. W najbliższych kilkunastu miesiącach, ze względu na gęsty kalendarz wyborczy, powrót do idei referendum nie będzie możliwy. W dalszej przyszłości to nie jest wykluczone, to ważny temat, wszystko, co o potrzebie takiej konsultacji mówiłem, podtrzymuję.

W tle politycznych sporów trwa walka o wyjaśnienie tragedii smoleńskiej. Za nami wizyta prokuratorów w Smoleńsku, oględziny wraku, bardzo jednak ograniczone przez Rosjan. Jak pan ocenia proces szukania prawdy? Zbliżamy się do niej?

Jestem przekonany, że te wysiłki dadzą pewne efekty, że wiele rzeczy zostanie wyjaśnionych. Problem podstawowy polega na tym, że wciąż nie zwrócono nam naszej własności, wraku samolotu. To nie jest już kwestia prawa, ale polityki,

to dawno powinno być zrobione. Dopóki wraku nie mamy, na pewne pytania trudno będzie odpowiedzieć. Mimo to wiąże duże nadzieje z pracą prokuratury, która zmierza do wyjaśnienia tej wielkiej narodowej tragedii.

Jestem zwolennikiem UE, która jest związkiem suwerennych, niepodległych państw narodowych. Zawsze to podkreślałem. W tym sensie jestem bardzo proeuropejski. Ale nie mogę nie widzieć tego, co się wokół nas dzieje

Panie prezydencie zaczęliśmy od zagranicy, na niej skończmy, ale tym razem tej unijnej. Gdy podkreślił pan, że nasze narodowe nadzieje musimy łączyć przede wszystkim z państwem polskim, a ta unijna wspólnota jest umowna, powiedział pan „wyimaginowana”, rozpetala się burza. Jaki jest pana stosunek do UE?

Jestem zwolennikiem Unii Europejskiej, która jest związkiem suwerennych, niepodległych państw narodowych. Zawsze to podkreślałem, to nie jest nic nowego. W tym sensie jestem bardzo proeuropejski. Ale nie mogę nie widzieć tego, co się wokół nas dzieje. Czy kiedy nasi sąsiedzi wbrew nam i wielu państwom członkowskim budują Nord Stream 2, to jest to wspólnota realna, czy jakoś jednak niepełna? A jak rozumieć pomysł stworzenia Unii dwóch prędkości, co ma nas zepchnąć do kąta? A jak nazwać dyktowanie nam, jak ma wyglądać polski system prawny i kto ma w nim rządzić? I tylko nam, bo zachodnie państwa mają prawo to ułożyć wedle własnych reguł. To jest właśnie rozwalanie europejskiej wspólnoty. No i sprawa zasadnicza: ja jestem prezydentem Rzeczypospolitej, troska o los naszego państwa, mojej ojczyzny, jest moim podstawowym obowiązkiem.

Nie martwi pana ten krzyk na świecie wokół zmian w Polsce?

Martwią mnie te kłamstwa o Polsce, ale też rozumiem powody tych akcji: sprawy idą dobrze, zarówno wewnątrz kraju, jak i w obszarze budowy pozycji Polski w relacjach międzynarodowych. Krótko mówiąc, Polska zyskuje moc. Proszę wszystkich Polaków, w tym czytelników „Sieci”: pamiętajmy, że w przestrzeni międzynarodowej nie ma wolnych miejsc. Jeżeli rozszerzamy swoją strefę wpływów, to gdzieś uginają się ściany, gdzieś ktoś inny ma mniej miejsca. Musimy to wszyscy rozumieć, widzieć we właściwych porządkach. Powtarzam: sprawy Polski idą dobrze.



Gdy nauka sięga DNA



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

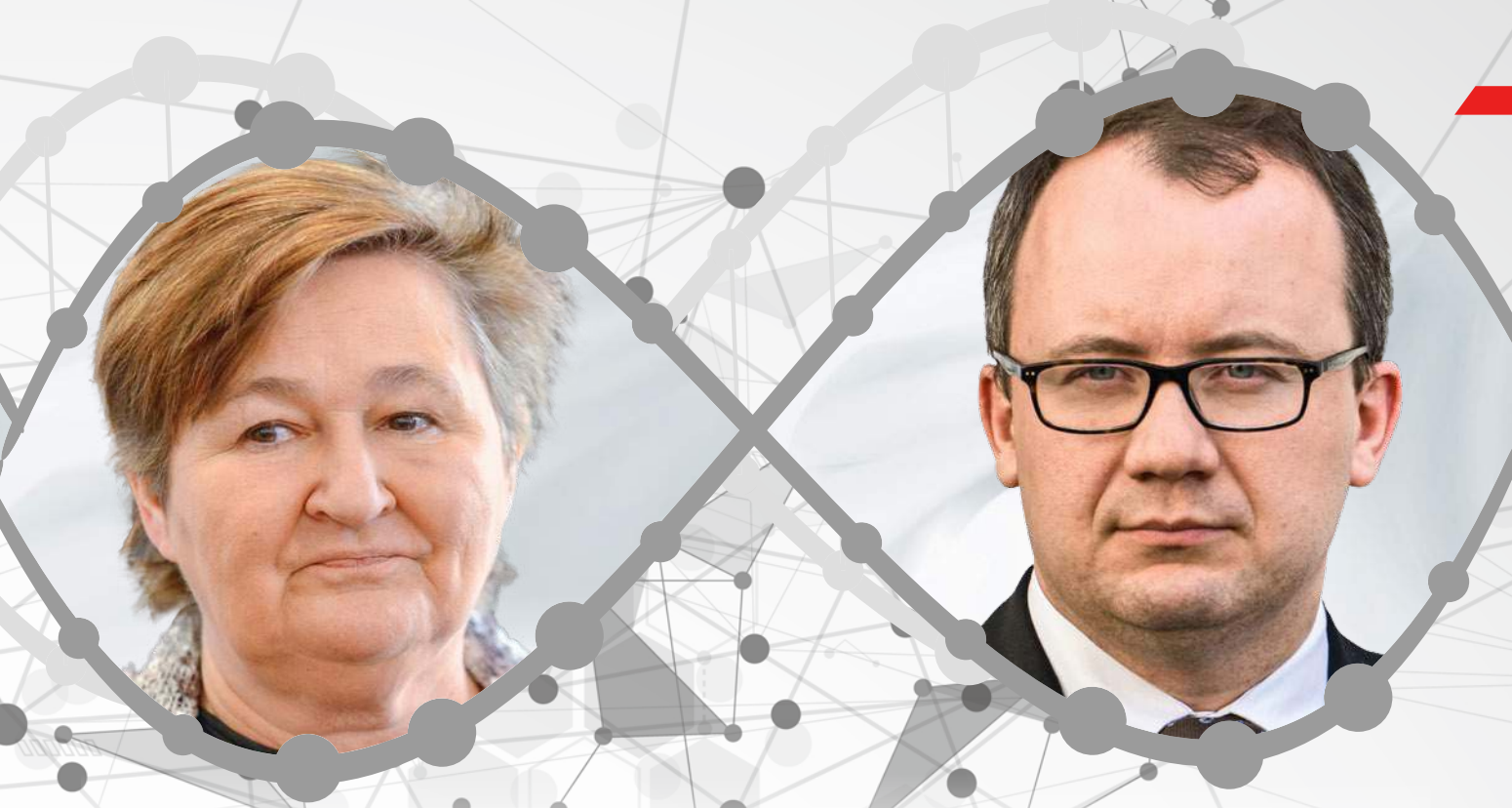
Prof. Monika Płatek mówi o „fikcyjnej demokracji”, Adam Bodnar straszy „przykładem węgierskim”, prof. Ewa Łętowska opowiada o „wygaszaniu państwa prawa”. Agnieszka Holland zastanawia się nad „zmierzchem merytokracji”, Adam Michnik rozprawia o relacjach między prawicą a Kościołem, a ks. Adam Boniecki pyta o „sojusz ołtarza z tronem”. Nie może w tym gronie zabraknąć także prof. Andrzeja Rzeplińskiego – to z kolei wykład „Naród w Konstytucji RP”, który jakiś czas później poszerza prof. Magdalena Środa mówiąca o „etyce

Instytut Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk stał się oazą „obrońców demokracji”. Dyżurne autorytety opozycji dają tam wykład za wykładem. Nie mają one żadnego związku z biologią molekularną. Są czysto antyrządową histerią. W tle mamy potężne nieprawidłowości finansowe odkryte w tej jednostce przez Najwyższą Izbę Kontroli oraz historię klasycznego resortowego dziecka, jakim jest dyrektor placówki

i polityce”. Któż jak nie prof. Barbara Engelking może opowiadać o „stosunkach polsko-żydowskich podczas wojny”, a prof. Marcin Matczak o „duchu prawa”? Mało? To jeszcze wykład o „politycznym micie Żołnierzy Wyklętych”, którzy w dyskusji nazwani są „osobnikami penisoujemnymi”. Przywołujemy ledwie kilka z 42 spotkań, które zorganizowane zostały w Instytucie Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk. Od ponad dwóch lat

to miejsce jest zagłębiem swoistej rebelii przeciwko rządowi, choć oznacza to polamanie wszelkich reguł naukowej debaty.

Nawet pracownicy instytutu są załamani, ale mało kto decyduje się głośno zaprotestować. Zapraszane na „wykłady” autorytety otwarcie biją w rząd, wspierają uliczne protesty i indoktrynują uczestników spotkań, które nie mają nic wspólnego z przedmiotem badań IBB.



PENISOUJEMNI ŻOŁNIERZE

Gdy Dariusz (w trosce o kariery naukowe imiona naszych rozmówców, na ich prośbę, zmieniamy – przyp. red.) trafił do Instytutu Biochemii i Biofizyki, ucieszył się, że poza codzienną pracą jest tutaj miejsce na dyskusję o uniwersalnych ideach. – Oczy mi się zaświeciły, gdy usłyszałem, że są wykłady, bo to zawsze poszerza horyzonty, nawet jeśli nie zgadzasz się z prelegentem – opowiada. Czar szybko jednak prysł.

– To, co jest proponowane w ramach cyklu „Ochota na demokrację. Co się dzieje w naszym kraju”, nie ma w sobie nawet cienia naukowej dyskusji. To tępa propaganda pod z góry założoną tezę. Zwróćcie uwagę, że nawet tytuły tych „wykładów” od razu zamykają spór, który jest podstawą nauki – mówi zde gustowany.

– Wszystko to przypomina sektę. Wykłady są niby otwarte, ale nie można ich rejestrować. Choć temu akurat trudno się dziwić, bo gdyby któreś z tych spotkań trafiło do sieci, mielibyśmy na YouTube hit roku – opowiada nam Dorota, jedna z doktorantek. Jest zażenowana: – Z początku myślałam, że to będzie fajna odskocznia od branżowych dyskusji, ale szybko zrozumiałam, że zapraszani są przedstawiciele

Jedni z licznych prelegentów cyklu „Ochota na demokrację. Co się dzieje w naszym kraju” w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN. Prof. Andrzej Rzepliński wystąpił z wykładem „Naród w Konstytucji RP”, Adam Michnik „Kościół – prawica – dialog”, prof. Magdalena Środa „Etyka i polityka”, dr Adam Bodnar „Polak, Węgier, dwa bratanki – wróżenie z przykładu węgierskiego”

tylko jednej strony sporu politycznego. Wstyd, że coś takiego firmuje instytut naukowy.

– Poszliśmy tam z zamiarem zabrania głosu w dyskusji, ale to nie miało żadnego sensu – mówią nam dziennikarze

To, co jest proponowane w ramach cyklu „Ochota na demokrację”, nie ma w sobie nawet cienia naukowej dyskusji. To tępa propaganda pod z góry założoną tezę – mówi jeden z doktorantów

kanalu Wyklęci TV. 6 grudnia 2017 r. wybrali się na 31. spotkanie „Od podziemia antykomunistycznego do »żołnierzy wyklętych« – badania historyczne a mit polityczny”, które prowadzili prof. Rafał

Wnuk (KUL) i prof. Mariusz Mazur (UMCS). Na plakatach widniało hasło: „Zapraszamy wszystkich zainteresowanych tematem i otwartą dyskusją!”. Od progu dowiedzieli się, że rejestrować wykładu nie można. Mimo to zostali.

– I to był chyba błąd, bo nasłuchaliśmy się głupot, które nie mieszczą się w głowie. To było przeideologizowane przemówienie pełne frazesów i najgorszych przekleństw. Że wyklęci to byli przypadkowi chłopcy ze wsi, że nie chcieli tak naprawdę walczyć, że ruszyli do lasu dopiero, gdy rozprawili się ze wszystkimi Żydami w okolicy. Że ich agresja brała się z tego, że nie było z nimi kobiet, a jak popili bimbru, to się bili nawet między sobą. Podawano też jakieś wyrwane z kontekstu przykłady, nieudokumentowane, byle pasowały pod tezę, że to bohaterowie kiboli i prostych, nie-douczonej ludzi – opowiadają.

– Spotkanie zakończyło się pozdrowieniami dla wszystkich tych, którzy na ulicy walczą o demokrację w Polsce. To był grudzień 2017 r., szczyt antyrządowych protestów.

Na tym samym wykładzie była Małgorzata, młoda blondynka pracująca w instytucie: – Liczyłam choć na skrawek debaty. Zamiast tego zetknęłam się z intelektualnym dziadostwem. Myślę, że średnio inteligentny człowiek po dwóch miesiącach siedzenia w bibliotece mógłby tych dwóch profesorów faktograficznie rozłożyć na łopatki. Poziom tego spotkania urągał miejscu – czyli Akademii.

Gdy po „wykładzie” zaczęła się dyskusja, było jeszcze gorzej. – Jakaś pani uchwyciła się wątku seksistowskiego, mówiła o feminizmie. Paneliści wraz z „kollektywem naukowym” sięgnęli szczytu, gdy rozważali żołnierzy wyklętych jako „osobników penisoujemnych”. Z takimi tezami nie próbowaliśmy nawet dyskutować – słyszymy. Blogerzy z Wyklęci TV wspominają, że szczególnie aktywny był dosyć charakterystyczny mężczyzna – łysy, z okazałym zarostem. Chodzi o dr. Rafała Suszka, którego policja zatrzymała później za rzucanie jajami w rządowe limuzyny. To szokujące, bo mówimy przecież o wykładowcy akademickim, adiunkcie na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Mężczyzna nazwał swoją akcję w rozmowie z portalem naTemat.pl „radykalnym, ale kontrolowanym happeningiem, bo niczym więcej nie jest rzucanie miękkim jajkiem w pancerną rządową czy prezydencką limuzynę”. Trzy miesiące później brał czynny udział w akcji blokowania marszu 1 marca, w Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych, to on współorganizował prowokacyjny „Pamięci ofiar żołnierzy wyklętych żałobny marsz” na warszawskim Mokotowie. Skarżył się także mediom, że został rzekomo pobity przez policję w radiowozie.

AWANTURA U MICHNIKA

Wykłady w Instytucie Biochemii i Biofizyki odbywają się od stycznia 2016 r., mniej więcej dwa razy w miesiącu w czasie roku akademickiego.



Prof. Wojciech Zielenkiewicz to najbardziej zaufany naukowiec w PZPR po Marcu '68. „Jest oficerem politycznym rzuconym na trudny odcinek. Zajmuje się tropieniem »syjonistów«, wyrzucaniem ich z pracy, awansowaniem ludzi z zaufaniem partii, odpowiada za całą stronę administracyjną, organizacyjną i polityczną Akademii”

– Dyrekcji IBB bardzo zależy, by każdy wykład był dobrze rozreklamowany. Plakaty są rozklejone w widocznych miejscach, zaproszenia wysyłane są też w ramach listy mailingowej IBB, ale też współpracujących z nami jednostek: Wydziału Biologii UW, Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej i innych – mówi nam jeden z doktorantów. Prosi o anonimowość, bo niby nikt na siłę tam nikogo nie zapędza, ale w instytucie wyraźna jest przewaga wspierających KOD i Obywateli RP. – To się dało odczuć, gdy był najgorętszy czas sporu wokół Trybunału Konstytucyjnego. Niektórzy profesorowie dumnie nosili oporniki w klapie i głośno rozmawiali o łamaniu konstytucji. To się samo przenosi na młodszych pracowników. Na co dzień

dużo rozmawia się o polityce i to jest nawet OK, ale żarty dotyczą zazwyczaj tylko ekipy sprawującej władzę. Widać też, w których pracowniach są ci najbardziej zaangażowani – tam na szafkach znajdziemy naklejki z symbolami KOD albo wydrukowane z internetu memy. Oczywiście ośmieszające tylko rząd i prezydenta – słyszymy.

Według naszych rozmówców „nieformalnym impresario tych spotkań” jest prof. Michał Dadlez, kierujący Środowiskowym Laboratorium Spektrometrii Mas, oraz jego współpracownicy, którzy dbają o rozreklamowanie wykładów. Dadlez stał się szerzej znany poza światem nauki dzięki zaangażowaniu w Obywateli RP. Kieruje ObyPomocą – grupą wewnątrz tej organizacji zajmującą się m.in. wsparciem prawnym dla zatrzymywanych w czasie antyrządowych demonstracji, koordynuje tworzenie raportów o „represjach” wobec rządzących. W grudniowej rozmowie ze wspierającą Obywateli RP „Polityką” powoływał się na eseje Michnika i snuł wizję o rozwijającej się w Polsce dyktaturze.

– Ludzie chcą być aktywni, mają różne poglądy, manifestują je. Nie mam nic do tego – dodaje Dariusz. – Ale dlaczego firmuje to cała instytucja? Wiecie, jak to

działa – nikt do niczego nie jest zmuszany, ale presja otoczenia jest wyraźnie wyczuwalna i komuś myślącemu inaczej zaczyna po prostu brakować tlenu. Nie bez powodu niektóre zakłady nazywane są przez „krynabnych” ideowo „gniazdem os” czy „szerszeniowem”.

Frekwencja na wykładach nie jest oszałamiająca, tym bardziej zastanawia konsekwencja, z jaką są one organizowane, i to w placówce, która ma się zajmować – przypomnijmy – biochemią i biofizyką. – Jak to jest możliwe? – pytamy pracowników. Dlaczego takie rzeczy dzieją się właśnie w tym instytucie? Dlaczego dyrekcja na to pozwala?

Odpowiedź dostajemy znów z zastrzeżeniem anonimowości: – Ci ludzie są produktami poprzedniego systemu.

Myślą tak, jak mają myśleć. To skazanie pokolenia '68, trajkoczącego hipisowskie frazesy, tańczącego Kumbaya, opowiadającego o pięknym świecie, a niezauważającego, że za ich retoryką kryje się Marks w czystej postaci. Warto obejrzeć film „Pokot”, oni są w nim pokazani, z ich postmarksistowską pychą, skupianiem się na człowieku i przekonaniem, że skoro są specjalistami w wąskiej dziedzinie, to mają patent na mądrość w sprawach ogólnych. A to, że nie rozróżniają – powiem metaforycznie – Monteskiusza od Kartezjusza – to już im nie przeszkadza. Gdy będą potrzebować wiedzy, wspomogą się Wikipedią. Na poziomie werbalnym układa się to w miękkie, górnolotne haselka o konstytucji i praworządności, ale to wszystko są kopie tego, co słyszą w kochanych przez siebie mediach. Mają założony filtr informacyjny, który wypycha ich w pułapkę strategiczną. Korzystają tylko z jednego, autorytatywnego źródła informacji. Co pan Michnik każe myśleć, to oni będą myśleć.

Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” został tu przywołany nieprzypadkowo, był gościem IBB 8 maja 2017 r. na 25. wykładzie „Kościół – prawica – dialog”. To było jedno z najbardziej emocjonujących spotkań. Pełna sala, przyszli zwolennicy redaktora i Młodzież Wszechpolska. Słyszymy, że doszło do starcia fizycznego, miały być nawet wyłamane drzwi do auli. – Od ochroniarzy usłyszałem, że Adam Michnik przyszedł w kamizelce kuloodpornej. To oczywiście może być tylko plotka, w której jest tyle samo prawdy, co w tej, że „Franz strzelał do papieża” – opowiada nam młody doktorant, przytaczając cytaty z „Psów” Pasikowskiego.

NARUSZONY STATUT

Wysłaliśmy wiele pytań do Instytutu Biochemii i Biofizyki. Placówka próbowała uniknąć odpowiedzi na nie, udając, że nie rozumie zapisów ustawy o dostępie do informacji publicznej oraz prawa prasowego. W końcu jednak doczekaliśmy się odpowiedzi. Podpisał się pod nimi sam dyrektor, prof. Piotr Zielenkiewicz. Przyznaje, że to on jest or-

ganizatorem spotkań w imieniu instytutu. Jak twierdzi, organizacją spotkań zajmują się pracownicy IBB nieodpłatnie, a z budżetu jednostki nie są opłacane żadne świadczenia. Prelegenci, a jakże, występują za darmo. Pozostaje nam przyjąć, że tak jest w rzeczywistości, choć wątek finansowy w tej historii jeszcze powróci.

Najciekawiej wygląda odpowiedź na pytanie o związek spotkań „Co się dzieje w naszym kraju” z zadaniami statutowymi IBB. Profesor przekonuje, że formalną podstawą tych wykładów jest par. 7 pkt 6 statutu instytutu. Jednak nie znajdujemy w tych przepisach niczego, pod co można podciągnąć antyrządowe występy niezwiązane z przedmiotem badań placówki – są one po prostu nie-

Paneliści wraz z „kolektywem naukowym” sięgnęli szczytu, gdy rozważali żołnierzy wyklętych jako „osobników penisoujemnych”

zgodne ze statutem IBB. Zielenkiewicz przywołuje również par. 7 ust. 1 pkt c) regulaminu studiów doktoranckich. Jak rozumiemy, chodzi mu o uzyskiwanie przez doktorów „kompetencji społecznych odnoszących się do działalności naukowo-badawczej i społecznej w roli uczonnego, m.in. przyczyniania się do postępu społecznego i kulturalnego w społeczeństwie opartym na wiedzy”. Świetny wytrych, by poza biologią molekularną zajmować się wszystkim, czego kodowska dusza zapragnie.

O opinię na temat tego, co się dzieje w Instytucie Biochemii i Biofizyki, chcieliśmy poprosić prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. Jerzego Duszyńskiego. Niestety, mimo obietnicy, jaką otrzymaliśmy w jego sekretariacie, nie odniósł się do pozanaukowej działalności podległej mu jednostki. Nie chcemy wyciągać wniosków o jego pełnej akceptacji dla poczyniń zatrudnianych

przez niego naukowców. Milczenie tłumaczymy sobie raczej napiętym kalendarzem profesora, a nie np. jego zasiadaniem przez trzy kadencje w radzie naukowej IBB...

Rozmowy nie odmówił za to jego poprzednik. Były prezes PAN prof. Michał Kleiber był zaskoczony tematyką oraz przebiegiem wykładów „Co się dzieje w naszym kraju”: – To, o czym panowie mówią, jest poruszające! Zawsze byłem zwolennikiem zajmowania przez naukowców stanowiska w sprawach publicznych. Uważam, że uczciwej debaty w tym środowisku brakuje. Ale oczywiście warunkiem jest dyskusja wyważona, która musi dopuszczać do głosu różne strony. Jak rozumiem, w tym przypadku tak się nie dzieje i to oceniam bardzo krytycznie. Do każdego wystąpienia albo przy części z nich powinny być prezentowane poglądy alternatywne. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jeśli te wykłady byłyby kontynuowane w takiej formie, byłyby to bardzo zła wiadomość.

Na razie nie wiadomo, czy będą kontynuowane. Według organizatorów demokracja się w Polsce coraz bardziej sypie, ale na razie, jak twierdzi prof. Zielenkiewicz, decyzje jeszcze nie zapadły. Jeśli cykl powróci, przyjrzy mu się minister nauki i szkolnictwa wyższego (formalnie nienadzorujący PAN, akademia podlega premierowi). Wicepremier Jarosław Gowin mówi nam: – Środowisko akademickie słusznie od 1989 r. zabiega o zachowanie autonomii w stosunku do polityki i myślę, że nikt uczciwy nie może twierdzić, że pod rządami zjednoczonej prawicy w jakikolwiek sposób ta autonomia została naruszona. Ale autonomia oznacza także wstrzymywanie się samego środowiska naukowego przed upolitycznianiem uczelni czy instytutów naukowych. Pod tym względem niestety jest dużo gorzej, a przypadek, o którym mówimy, jest zupełnie skrajny.

SYN OFICERA POLITYCZNEGO

Naszych rozmówców dopytujemy, dlaczego nie chcą zmienić tego stanu rzeczy, przecież to też ich miejsce pracy

i badań naukowych. Klaudia: – Ludzie się ukrywają, stosują metodę mimi-kry. Wiemy swoje, ale skoro dyskusja na poziomie argumentów, logosu, nie ma najmniejszego sensu, to wolimy w ogóle nie rozmawiać. Co charakterystyczne, ci „odszczepieńcy” – tacy jak ja – to zazwyczaj osoby wierzące, jakkolwiek tę wiarę rozumiemy. Jesteśmy w mniejszości i nie widzimy możliwości prowadzenia równorzędnej rozmowy, nawiązania do idei średniowiecznego uniwersytetu sensu stricto, czyli spierania się o to, co jest prawdą, a co nie. Tutaj działa tolerancja represyjna – jeśli się nie zgadzasz, to milcz albo wypad! Jesteśmy na tyle fajni, że pozwalamy ci mieć własne opinie, ale zachowuj je dla siebie. To my wiemy, co jest lepsze dla nas i dla innych.

Przypomina to czasy słusznie minione, które według Obywateli RP tak niebezpiecznie powracają. Owszem, ale – jak widać – tam, gdzie oni się organizują. Czy tylko zbiegiem okoliczności jest fakt, że Instytutem Biochemii i Biofizyki kieruje dziś syn prof. Wojciecha Zielenkiewicza (rocznik 1933)? Ten naukowiec związał swoje życie z Instytutem Chemii Fizycznej PAN oraz Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą. Z jego peere-lowskich akt zachowało się niewiele. Ale znajdujemy w nich m.in. taki cytat: „Dobry organizator, wprowadzający działania dyscyplinujące kadrę w podległym mu instytucie. Prezentuje postawę zgodną z obecnym kierunkiem politycznym władz partyjno-rządowych”.

W Polsce Ludowej otrzymał niemal wszystkie możliwe odznaczenia, m.in. Złoty Krzyż Zasługi (już w 1966 r.), Krzyż Komandorski OOP (1969), Order Sztandaru Pracy II kl. (1979), Medal 30-lecia PRL (1974), Medal 40-lecia PRL (1984), Brązowy, Srebrny i Złoty Order Przyjaźni Narodów ZSRR (1987), Medal za Zasługi dla Obronności Kraju (1969, 1971, 1986) i wiele innych. Tylko za działalność naukową? Skądże! W jego teczce (sygn. CK XX/22508) znajdujemy informację, że od 1963 r. był instruktorem w Wydziale Nauki i Oświaty KC. Dwa lata później awansował na starszego instruktora (wiązało się to z podwyżką wynagrodzenia partyjnego

z 2100 do 2600 zł). Cieszył się wybitnym zaufaniem towarzyszy.

O opinię o Zielenkiewiczu seniorze poprosiliśmy prof. Tadeusza Rutkowskiego, historyka z Uniwersytetu Warszawskiego, współautora dwutomowego dzieła „Spętana Akademia. Polska Akademia Nauk w dokumentach władz PRL”: – To klasyczna partyjno-naukowa kariera człowieka chyba nie-specjalnie inteligentnego pochodzenia. Jest promowany przez władze na młodego naukowca, a jednocześnie jest zaangażowanym partyjniakiem. To, co robił w Marcu i po Marcu ’68 trzeba nazwać klasyczną pacyfikacją Akademii. PAN powstała w latach 50. i zaczęła się komunistom trochę „rozlać” – każdy

Jeśli te wykłady kontynuowano by w takiej formie, byłaby to bardzo zła wiadomość – mówi prof. Michał Kleiber, były prezes PAN

partyjny uczony uprawiał swój własny ogródek. Od lat 60. PZPR próbuje coś z tym zrobić, ale nie za bardzo się to udaje. Jednocześnie narastają nastroje rewizjonistyczne wśród niektórych pracowników naukowych. Marzec ’68 jest tego katalizatorem. Nagle okazuje się m.in., że sekretarz naukowy Wydziału I Nauk Społecznych PAN Stefan Żółkiewski, zresztą członek KC, zaczyna kontestować politykę władz, bierze udział w strajku na uniwersytecie. Podobnie zachowuje się prof. Adam Schaff, guru marksistowskich nauk filozoficznych. Zachodzi więc potrzeba wzięcia tego towarzystwa za twarz, podporządkowania kontroli politycznej.

Partia nie miała problemu, komu powierzyć to zadanie. Specjalnie dla Wojciecha Zielenkiewicza po marcu 1968 r. utworzono stanowisko sekretarza generalnego PAN. – Jest do tego idealnym kandydatem. Jako pracownik Wydziału Nauki KC odpowiada za sferę

konceptyjno-wykonawczą polityki władz wobec nauki. Wydział Nauki był takim superministerstwem, organem nadzorującym Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, w którym zbiegały się wszystkie nici decyzji personalnych i prawnych. Zielenkiewicz ma już do-centurę, jest człowiekiem, który świetnie wie, czego partia od niego oczekuje, a z drugiej strony jest naukowcem. Może więc sprawować różne funkcje i być partnerem dla środowiska akademickiego. Zostaje więc mianowany sekretarzem generalnym po to, żeby zmienić strukturę PAN, pozwalniać osoby nieprawomysłne i wprowadzić ścisłą kontrolę polityczną. Jest oficerem politycznym rzuconym na trudny odcinek.

Zajmuje się tropieniem „syjonistów”, wyrzucaniem ich z pracy, awansowaniem ludzi z zaufaniem partii, odpowiada za całą stronę administracyjną, organizacyjną i polityczną Akademii – puentuje prof. Rutkowski.

Linie komunistycznej partii wśród naukowców wykuwał przez ponad trzy dekady. Zmarł w 2010 r., gdy jego syn Piotr był już dyrektorem Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN. Zielenkiewicz junior mocno angażuje się w życie polityczne. Nie tylko na uczelni.

Fakt pezetpeerowskiej kariery ojca pozwala nie się dziwić, że profesor w lutym 2016 r. podpisał się pod listem naukowców do ministra nauki Jarosława Gowina. Jego sygnatariusze piszą m.in.: „Wskazywał Pan na »ciągłość ze środowiskami, które instalowały w Polsce komunizm«, przywołał Pan koncepcję »resortowych dzieci i wnuków«. [...] Jako członkowie społeczności akademickiej wyrażamy swój kategoryczny sprzeciw wobec wykorzystywania w debacie publicznej, a zwłaszcza politycznej, odniesień do pochodzenia rodzinnego osób biorących w niej udział. [...] Jesteśmy przekonani, że to właśnie ze środowiska akademickiego, do którego Pan także należy, powinien płynąć przykład prowadzenia debaty o sprawach państwowych i obywatelskich w sposób rzeczowy, kulturalny i przede wszystkim przyzwoity, bez naruszania godności osób o odmiennych poglądach”.

Wobec przywołanych tu faktów historycznych oraz wydarzeń w IBB list ten nabiera zupełnie nowego sensu.

O korzeniach swojego dyrektora nasi rozmówcy z instytutu dowiadują się od nas. – Nie chcę deprecjonować jego i całej tej „trzędki”, bo w swoich wąskich dziedzinach oni są świetnymi specjalistami. Lecz cała nauka na świecie ma pewien problem – pychy i uzależnienia od systemu grantowego. Inny byłby dobór kadr, gdyby każdy pracował w nauce dla przyjemności, a środki umożliwiające swobodne życie czerpały z jakiegos własnego biznesu. Ale większość naukowców w Polsce – choć oczywiście nie tylko – to ludzie, którzy życiowo zależą od tego, czy mają w danym momencie pracę i czy projekt, który napiszą, spodoba się recenzentom. To jest zamknięte koło współzależności. Problem jest więc szerszy. A przy okazji ludzie ci stają się łatwym celem dla komuny, nie tej bolszewickiej, lecz mentalnej, zwanej dziś pięknie np. zachodnim liberalizmem – mówi Dariusz.

Małgorzata dodaje: – Nie szukałabym źródeł toczącej IBB choroby tylko w peerelowskiej nomenklaturze, bo sporo z tych ludzi (np. prof. Dadlez) działało w opozycji demokratycznej. Byli zaangażowani, wierzyli, że walczą z systemem komunistycznym, ale bezwiednie wybrali Spinellego i Gramsciego. Jeśli będzie trzeba, to nieświadomie, ale z głębi serca powtórzą esej zięcia Marksa „Prawo do lenistwa”. Są de facto produktami poprzedniego systemu i nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Obiema rękami, nogami, a zwłaszcza głową tkwią w „Marności komunistycznym”.

DESZCZ NAGRÓD DYREKTORA

Opowieść o Instytucie Biochemii i Biofizyki domyka raport Najwyższej Izby Kontroli z lipca br. NIK skontrolowała pięć instytutów PAN pod kątem naruszeń w latach 2014–2017 tzw. ustawy kominowej, ograniczającej zarobki osób kierujących placówkami państwowymi. Największe nieprawidłowości wykryto właśnie w IBB. Ich lista liczy kilkanaście pozycji, a kwota nienależnych wynagrodzeń sięga 1,4 mln zł.

To, co bulwersuje najbardziej, to fakt, że dyrektor instytutu otrzymał z tej puli niemal połowę. NIK wylicza: premie kwartalne w wysokości 425 tys. zł, nagrody za publikacje (przyznane ze złamaniem ustawy) – blisko 41 tys. zł, nagroda jubileuszowa – 57 tys. zł, blisko 17 tys. zł ryczałtu samochodowego, plus kolejne dziesiątki tysięcy dodatkowego wynagrodzenia rocznego z zakładowego funduszu nagród. Nienależne świadczenia Zielenkiewicza jako dyrektora IBB w kontrolowanym okresie opiewały w sumie na 616 tys. zł. Dla porównania dodajmy, że w tym samym czasie podstawowe wynagrodzenie pro-

Według raportu NIK nienależne świadczenia prof. Piotra Zielenkiewicza jako dyrektora IBB opiewają w sumie na 616 tys. zł. Izba domaga się od profesora zwrócenia tych pieniędzy

fesora (wraz z dodatkiem funkcyjnym i stażowym) wyniosło mniej więcej tyle samo – 622 tys. zł. A zatem poza niemałą pensją (średnio ok. 15 tys. zł) profesor brał drugą – w nienależnych bonusach.

Dodatkowo NIK ma też zastrzeżenia do zawierania przez prof. Zielenkiewicza umów z samym sobą (jako dyrektorem IBB z jednej strony i zleceńbiorcą z drugiej). Chodzi o 13 umów cywilnoprawnych na koordynację przeróżnych projektów (np. budowy portali internetowych, ale też sporządzenie opinii czy opracowanie materiałów dydaktycznych etc.) na łączną kwotę 256 tys. zł.

Nieprawidłowości dotyczą również niezgodnych z prawem nagród dla reszty kierownictwa instytutu (w mniejszych wysokościach) oraz głównej księgowej.

We wnioskach pokontrolnych NIK domaga się m.in. zwrócenia przez Zielenkiewicza instytutowi nienależnych

świadczeń w wysokości ponad 616 tys. zł (a także spowodowania zwrotu pieniędzy przez jego zastępców i księgową oraz zwiększenia nadzoru nad działem księgowości).

Pismo NIK do IBB nosi datę 16 października 2017 r. Zapytaliśmy więc dyrektora, czy blisko rok wystarczył mu na zastosowanie się do wniosków Izby. W odpowiedzi czytamy, że „zalecenie zwrotu nie mogło zostać wykonane bez uprzedniego uzyskania orzeczeń sądowych nakazujących zwrot pobranych świadczeń”.

Procedura wiodąca do takowego orzeczenia trwa. NIK skierowała bowiem w lipcu zawiadomienie do prokuratury dotyczące „podejrzenia popełnienia przestępstwa wyrządzenia szkody majątkowej w wielkich rozmiarach w wysokości prawie 1,4 mln zł w mieniu instytutu, tj. czynu z art. 296 § 2 i 3 kk”. To przestępstwa zagrożone karą nawet 10 lat więzienia. Jak dowiedzieliśmy się w warszawskiej prokuraturze, sprawa jest na razie na etapie czynności sprawdzających. Trwa kompletowanie dokumentacji związanej z nieprawidłowościami.

Prelegenci spotkań „Ochota na demokrację” mogą być zaskoczeni, że profesor wykorzystywał każdą możliwą furtkę, by pobierać dodatkowe pieniądze z kierowanego przez siebie instytutu, a im nie płacił za wykłady, które przecież rzekomo miały się odbywać w zgodzie ze statutem jego placówki...

Praktyki w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN stanowią pewną analogię do wymiaru sprawiedliwości – i tu mamy bowiem zamknięte środowisko opierające się na wewnętrznych układach, wielkie kariery robione przez spadkobierców peerelowskich aparatczyków i duchową komunę, zaangażowaną w cyniczną walkę polityczną, wypełnioną frazesami o psuciu państwa. Najgłośniej wykrzykują je ci, którzy w patologiczny sposób sami na tym państwie żerują, przy okazji łamiąc akademicki elementarz. Ten przypadek pokazuje, że także świat nauki pilnie wymaga reformy. Spóźnionej o blisko 30 lat.



Fot. Andrzej Wiktor

Dwa scenariusze

Wtydzień po ogłoszeniu, że Komisja Europejska występuje z sądowym aktem oskarżenia przeciw Polsce, taktyka polskiego rządu robi wrażenie chaotycznej i niejasnej. Sam premier dość bezradnie przyznaje, że ów akt oskarżenia go nie dziwi, gdyż (jak mówi): „Wszyscy wiedzą, że od dłuższego czasu Polska jest w pewnym sporze co do zakresu reform wymiaru sprawiedliwości”. To oczywiście prawda, że o tym fakcie „wszyscy wiedzą”, ale w tak trudnej dla Polski sytuacji, jaką stwarza brukselski akt oskarżenia, od szefa rządu należałoby oczekiwać bardziej jasnego określenia stanowiska Polski wobec przyszłego procesu. Tymczasem można odnieść wrażenie, że aż do ostatniej chwili premier próbował czynić zakulisowe wysiłki, aby zniechęcić komisarzy do formalnego wniesienia oskarżenia do sądu, czemu służyły m.in. intensywne ostatnio kontakty z szefem Komisji Europejskiej Jeanem-Claudem Junckerem oraz wizyta złożona na placu Książńskich sędzi Małgorzacie Gersdorf. Ale te zabiegi poniosły fiasko, obecnie zaś nie widać (przynajmniej



JAN ROKITA

jak dotąd) żadnej nowej taktyki postępowania Warszawy w narastającym kryzysie.

Niepokojący jest także rozróżnienie ocen głoszonych przez czołowych polityków obozu rządowego. Po głośniejszej zapowiedzi wicepremiera Jarosława Gowina, iż Polska może nie stosować się do wyroków unijnego trybunału, mamy teraz deklarację marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego, iż „jeste-

śmy liderem w respektowaniu tych orzeczeń”. A także ponurą w tonie przepowiednię europosła Ryszarda Legutki, wedle której unijny sąd „uważa nas za wrogów”, więc nieuchronnie zrobi wszystko, co tylko możliwe, na polską szkodę.

ISTOTA SPORU

Tymczasem warto precyzyjnie sobie uzmysłowić, o co idzie obecny bój. Wbrew powszechnemu mniemaniu jego stawka nie jest na razie wcale nazbyt wysoka, choć z czasem, zwłaszcza gdy przyjdzie do politycznych i finansowych skutków egzekucji przyszłego orzeczenia, może zacząć gwałtownie



*Dla ochrony istoty reformy
sądownictwa warto się cofnąć w sporze
o personalia. I uprzedzając wszelkie
kroki unijnego trybunału, ustawowo
przywrócić Gersdorf i jej kolegom
prawo orzekania. Jest i drugie
rozwiązanie, politycznie twardsze,
ale także szanujące reguły legalności*

rosnąć. Dziś idzie ciągle jeszcze tylko o to, czy kilkoro sędziów (zdaje się, że ich liczba nie przekracza jak dotąd sześciu) spośród tych, którzy ukończyli 65 lat, będzie nadal orzekać w Sądzie Najwyższym. Tak przynajmniej istotę sporu zdefiniowała rzeczniczka Komisji Europejskiej – Bułgarka Mina Andriejewa. „Chcemy, by sędziowie, których objęła nowa ustawa o Sądzie Najwyższym, nadal sprawowali swoje funkcje, nawet jeśli przeszli na emeryturę” – mówiła w oświadczeniu z 24 września, informującym o wniesieniu oskarżenia przeciw Polsce.

Zostawiając na boku raczej nonsensowną warstwę logiczną tego komunikatu (wedle KE sędziowie mogą jednocześnie orzekać i być na emeryturze), jest on wszakże całkiem jasny, gdy idzie o polityczne intencje oskarżenia. Ma ono doprowadzić do zmuszenia Polski, aby przywróciła prawo orzekania sędzi Gersdorf i kilkorgu jej kolegom aż do upływu ich kadencji. Już na pierwszy rzut oka widać, że sama w sobie jest to kwestia dość błaha nie tylko dla przyszłości państwa, lecz nawet dla powodzenia pisowskiej reformy systemu sprawiedliwości. I to tym bardziej, że w mocno przemodelowanym obecnie Sądzie Najwyższym ta niezbyt liczna grupa jawnych

politycznych opozycjonistów i tak stopniowo musiałaby odgrywać coraz mniejszą rolę.

Cała sytuacja radykalnie się jednak zmienia, jeśli ów spór o rzecz w istocie małą przekształci się w problem stosunku Polski do hipotetycznego niekorzystnego dla niej orzeczenia sądu unijnego. Zewnętrzny atak na Polskę zostanie bowiem wówczas zwielokrotniony, a z kolei w kraju nieuchronnie umocni się zbiorowy patriotyczny odruch obrony państwowej suwerenności. Być może PiS wygrałoby na tym zwiększoną popularnością sondażową, ale ilość i skala kłopotów, w jakie popadłoby państwo, byłaby nie do pozazdroszczenia. A w każdym razie polityczna stawka sporu wzrosłaby geometrycznie.

NIE WYLAĆ DZIECKA Z KĄPIELĄ

Kluczowy jest tu fakt, iż istotna ustrojowa część pisowskiej reformy systemu sprawiedliwości jest możliwa do utrzymania także wtedy, gdyby w kwestii powrotu do Sądu Najwyższego kilkorga sędziów został zrobiony krok w tył. To bowiem, co naprawdę przesądza o doniosłości reform autorstwa Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry, to systemowe przełamanie korporacyjnej natury sądownictwa, jaką nieopatrznie zafundowano Polsce na mocy konstytucji z 1997 r. Prawnicza ekipa Ziobry zręcznie wykorzystała lukę w tekście konstytucyjnego rozdziału ósmego, napisanego dość bezmyślnie i wchodzącego w nadmierne szczegóły.



Pani

ALEKSANDRZE RYBIŃSKIEJ

wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy po stracie

MAMY

przekazuje

Zarząd Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej

KM/09/2018

W owych konstytucyjnych detalach zapomniano wówczas napisać, iż sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa wybierają sędziowie, a luka ta otworzyła drogę do wyrwania tego kluczowego ciała spod panowania i kontroli sędziowskiej korporacji. Wielkość tej reformy polega na tym, że radykalnie i raz na zawsze przekształca ona KRS z ciała korporacyjnego w obywatelskie, czyli reprezentujące interesy obywateli wobec sądów, a nie roszczenia grupowe sędziów wobec całego społeczeństwa. Na tych łamach pisałem swego czasu, iż wraz ze świetną poprawką prezydencką, wymagającą dla wyłonienia reprezentacji sędziowskiej w KRS szerokiego konsensu parlamentarnego (większości 3/5, której PiS nie ma nawet wraz z akolitami), rozwiązanie to daje nadzieję na stopniowe wykształcenie na przyszłość mechanizmu społecznej kontroli nad wymiarem sprawiedliwości. Czyli w praktyce pilnowania tego, aby sędziowie nie obrastali w nowe przywileje ani nie stali ponad prawem, a jakość ich pracy i sprawiedliwość wydawanych wyroków mogły być poddawane swobodnej i publicznie znanej ocenie.

To, co naprawdę przesądza o doniosłości reform autorstwa Kaczyńskiego i Ziobry, to systemowe przełamanie korporacyjnej natury sądownictwa

Taki właśnie był zasadniczy cel stawiany sobie od lat przez wszystkich potencjalnych reformatorów polskiego systemu sprawiedliwości. Jakkolwiek to dziś przewrotnie brzmi, do takiego właśnie celu zmierzały propozycje prof. Andrzeja Rzeplińskiego, sformułowane w 2004 r. w toku prac tzw. Zespołu Granata, pracującego wtedy nad nowelą konstytucyjną. Tylko utrzymanie tej systemowej części obecnej reformy sprawi, że Kaczyński i Ziobro, po opadnięciu dzisiejszego kurzu bitewnego, zostaną nieuchronnie uznani za istotnych i zasłużonych dla państwa reformatorów. Dlatego jest tak ważne, aby doraźne konflikty o pozycję poszczególnych osób (w tym szczególnie sędzi Gersdorf, która stała się niemal faktyczną przywódczynią antypisowskiej opozycji) nie doprowadziły do załamania się całości reform pod wpływem potężniejszej presji zewnętrznej albo w rezultacie oczywistej przecieć w warunkach demokracji – przyszłej zmiany władzy.

Reforma powinna bowiem przetrwać czas rządów PiS, niezależnie od tego, co na jej temat mówią dzisiaj liderzy opozycji. Jej wielką zaletą dla państwa jest bowiem także to, iż pozwoli ona na przyszłość dobierać nowych sędziów tak, aby nie byli oni wyłącznie kooptowanymi nominatami obecnej „kasty sędziowskiej” (jak lubią mówić działacze PiS). W każdej bo-

wiem grupie zawodowej obdarzenie jej dotychczasowych członków przywilejem kooptacji następców musi prowadzić do władzy ukrytych koterii, dominacji grupowych interesów i niszczenia zawodowego etosu. Dlatego docelowo reforma powinna nawet zostać posunięta w przyszłości krok dalej, tak by w procesie selekcji nowych sędziów uczestniczyli (a więc i zasiadali w KRS) szanowani obywatele niebędący w ogóle prawnikami. Tak właśnie zakładał powstały kilkanaście lat temu projekt Rzeplińskiego. Niestety, ówczesne krytyczne przemyślenia ustrojowe do dziś pozostają aktualne, nawet jeśli ich autorzy obecnie zmienili zdanie.

MOŻLIWE ROZWIĄZANIA

Wobec dzisiejszego sporu o kilkoro sędziów odesłanych przez PiS w stan spoczynku rząd ma dwa racjonalne scenariusze postępowania. Pierwszy – to uznanie, że dla ochrony istoty reform warto się cofnąć w – prestiżowym co prawda dla PiS – sporze o personalia. I uprzedzając wszelkie kroki unijnego trybunału, ustawowo przywrócić Gersdorf i jej kolegom prawo orzekania. Zrobienie tego dziś wymagałoby zapłacenia przez obóz rządowy znacznie niższej politycznej ceny niż zrobienie tego w przyszłości, po całym cyklu wrogich Polsce wyroków sądowych, połączonych z groźbami kar. Tym bardziej że (jak można było nieoficjalnie usłyszeć po spotkaniu Morawieckiego z Gersdorf) premier polknął już tę zabę, jaką musiała być oferta zgody na dalsze przesuwanie Gersdorf w Sądzie Najwyższym. Owszem, dla najtwardszych wyborców PiS byłoby to jakieś upokorzenie. Ale o ileż będzie ono mocniejsze, jeśli nastąpi za rok, po wszystkich procesach, i to jeszcze tuż, tuż przed nadchodzącymi wyborami powszechnymi.

Jest też oczywiście możliwy scenariusz alternatywny, politycznie twardszy, ale także szanujący reguły legalności. O ile bowiem ostentacyjne nieuznawanie wyroku przyniosłoby Polsce wielkie szkody, a z prawniczej perspektywy nie byłoby w ogóle możliwe do obrony, to odmowa uznania prawa unijnego sądu do orzekania w tej sprawie byłaby krokiem prawniczo uzasadnionym, choć wymagającym pewnej politycznej odwagi. A jest po temu, jak wiadomo, bardzo przekonujące uzasadnienie – tzw. protokół polsko-brytyjski, który Donald Tusk, jako premier, dołączył do polskiego aktu ratyfikacji traktatu lizbońskiego. Jak głosi cytowana już kiedyś na tych łamach uchwała Rady Legislacyjnej z 17 marca 2008 r., treść owego protokołu „uniemożliwia wnoszenie przez Komisję Europejską lub inne państwo członkowskie skarg przeciwko Polsce o naruszenie Karty Praw Podstawowych do Trybunału Sprawiedliwości”. Tymczasem, jak wynika z komunikatu Andriejewej, Komisja Europejska chciałaby właśnie, aby sąd skazał Polskę za rzekome łamanie „prawa do niezawisłego i bezstronnego sądu”, gwarantowanego w art. 47 europejskiej Karty Praw Podstawowych. Jest jasne, że tę oczywistą przeszkodę prawną próbuje zignorować KE. Trudniej zgadnąć, dlaczego ignoruje ją także Morawiecki, jeśli istotnie zamierza wejść ostro w spór w luksemburskim sądzie i próbować prawnymi argumentami wygrać proces. A to, jeśli tylko do rzeczy wzięłyby się najlepsze europejskie kancelarie prawne, nie jest przecież niemożliwe.

Emocje opozycjonistów spowodują, że zapewne podniosą oni zarzuty wobec uczciwości wyborów.

Władza już dziś powinna działać tak, żeby były one w oczywisty sposób niewiarygodne

Przed wstrząsem

Fot. Shutterstock

Czy za kilka tygodni, a może za rok Polskę czeka kryzys demokracji na niespotykaną dotąd skalę?

Czy, jak sugeruje co najmniej część opozycji, rządzący próbują sfałszować wybory samorządowe albo – zwłaszcza – parlamentarne? Albo, jak z kolei obawia się część intelektualnego zaplecza władzy, opozycja, cynicznie i świadomie, nieszczercze oskarży PiS o fałszerstwo, by rozhuścić nastroje i wyprowadzić ludzi na ulice w nadziei na jakiś rodzaj polskiego Majdanu, a w razie niespełnienia się tych maksymalnych nadziei zyskać pretekst, by odmawiać władzy demokratycznej legitymacji?

Po stronie pisowskiej w najbardziej hardcorowej i spiskowej formie tego rodzaju emocje prowadzą do wizji, w której myśl elementem demonicznego planu miałyby być uznanie za nieważne wyborów przez Sąd Najwyższy – i właśnie świadomość tego zagrożenia oraz konieczność jego neutralizacji miałyby leć u podstaw podjętej przez Ośrodek Dyspozycji Politycznej decyzji o przejściu SN. To przekonanie ma skądinąd bliźniacze odbicie po stronie opozycji – PiS przejmując Sąd Najwyższy rzekomo właśnie po to, żeby zalegalizować przygotowywane przez tę partię fałszerstwo.

Zanim odniesiemy się do tych wizji, skonstatujmy najpierw, że – niezależnie od tego, co o nich sądzimy – można zrozumieć tych, którzy po obu stronach je snują. A to dlatego, że rozpoczynający się maraton wyborczy będzie miał znaczenie historyczne, a jego stawka będzie rzeczywiście strategiczna.



PIOTR SKWIECIŃSKI

OSIEM LAT ZMIENI POLSKĘ

Oczywiście wszystko może się zdarzyć, historia to dama kapryśna i nieprzewidywalna, znamy przypadki liderów i całych obozów politycznych, które na skutek nieprzewidywalnych przedtem czynników załamywały się widowiskowo właśnie szybko po osiągnięciu największych sukcesów. Poczyniwszy to

zastrzeżenie, trzeba jednak stwierdzić, że wyraźne wygranie przez Prawo i Sprawiedliwość zaczynającego się wyborczego maratonu prawdopodobnie oznaczałoby dość trwale przekształcenie Polski. W kilku nachodzących na siebie wymiarach.

Po pierwsze, oznaczałoby to konieczność uznania przez wszystkich, nawet najbardziej antypisowskich, lecz racjonalnie myślących obywateli oczywistego faktu – oto będącej w kontrze wobec elit III RP prawicy, czy to w wersji pisowskiej, czy jakiejś innej, nie sposób uznawać za epizod, za przypadkową anomalie, którą kiedyś da się czy to wyeks-terminować, czy to zagnać do rezerwatu (a takie nadzieje były żywe w okresie władzy Tuska). Jeśli prawica zdoła wygrać wybory dwa razy z rzędu, to dla wszystkich już stanie się jasne, że wprawdzie potem może przegrać i władzę oddać, ale będzie dalej istnieć jako jeden z najistotniejszych aktorów sceny publicznej, i prawdopodobnie w historycznie bliskiej perspektywie znów do rządów powróci.

A powszechne uznanie takiego stanu rzeczy będzie miało poważne efekty. Będzie się przekładać na osłabienie, niebędące polską specyfiką, ale w Polsce bez wątpienia

intensywniejszego niż gdzie indziej, stanu permanentnego oporu korpusu urzędniczego i szerzej – wszelkiego rodzaju elit, wobec nieakceptowanej przez te elity władzy.

Po drugie, ośmioletnie zmienianie kształtu – instytucjonalnego i kadrowego – aparatu państwa i wszystkiego, na co owo państwo ma wpływ, odmieni ten kształt trwale. Trwale osłabi pozycję przeciwników PiS, do niedawna traktowanych – i traktujących się samemu – jako naturalnych władców Polski, i na płaszczyźnie stricte politycznej, i tej związanej, jak to kiedyś określił Jarosław Kaczyński, z dystrybucją prestiżu i godności. W efekcie, o ile dziś co radykalniejsi, a zarazem mniej wyrafinowani intelektualnie opozycjoniści mogą snuć marzenia o tym, że po wyborczym zwycięstwie możliwe będzie po prostu przywrócenie dobrego stanu sprzed 2015 r., o tyle jeśli PiS wygra ciąg wyborczy 2018–2020 nawet naj-silniej przywiązani do dziedzictwa III RP będą po prostu musieli się pożegnać z tego rodzaju złudzeniami.

A jest z tym związane coś jeszcze. Otóż takie zwycięstwo, nawet jeśli nie da PiS konstytucyjnej większości i nawet jeśli na skutek innego rozłożenia się głosów zmusi partię rządzącą do koalicji z ruchem Kukiza, będzie odebrane przez nią (i nie tylko przez nią) jako udzielenie jej mandatu do dalszego zmieniania Polski właśnie w tym kierunku i w ten sposób, który ona obrała. Co dla liberalnej opozycji byłoby spektakularnym zaprzeczeniem jej wizji świata; dowodem na jej trwale odrzucenie przez większość Polaków.

Rządzący powinni dolożyć wszelkich starań, aby ewentualne zarzuty dotyczące wyborczych fałszerstw były w ewidentny sposób absurdalne. Czyli bardzo dbać o przejrzystość wyborów

Nie dziwi, że intuicyjnie opozycja czuje, iż nie tylko nie może dopuścić do realizacji tego scenariusza, lecz też musi zbudować sobie jakąś interpretację sytuacji pozwalającą jej w wypadku jego ziszczenia na zachowanie wiary w sens świata, we własną mądrość („ulegliśmy w nieczystej grze, sfalszowano wybory”) i niezmuszającą do zbyt daleko idącej refleksji nad własnymi błędami i w ogóle nad sobą. Zauważmy, że znamy ten mechanizm; część prawicy już od lat 90. snuła narastające z biegiem czasu fantasmagorie o stałym fałszowaniu wyborów na jej niekorzyść, co pozwalało jej zachować wiarę w wizję, w myśl której reprezentowała ona całą w zasadzie Polskę czy przynajmniej całą „prawdziwą Polskę”. Dziś liberalne elity wchodzą na podobną ścieżkę.

W efekcie zwycięstwa w maratonie wzrośnie pewność siebie PiS, a także skłonność do lekceważenia różnego rodzaju zagrożeń i inteligenckich Kassandr, które wieszczą rozma-

ite porażki. No bo po co ich słuchać, skoro zawsze się mylą? Może to mieć różne skutki; można wyobrazić sobie wariant, w którym poczwórne (samorządowo-europarlamentarno-sejmowo-prezydenckie) zwycięstwo skłania rządzących do docięnięcia gazu do dechy.

Ten krótki przegląd prowadzi do stwierdzenia, że rozemocjonowani głosiciele apokaliptycznych, wyborczych wizji po obu stronach mogą popadać w histerię i spiskowe widzenie rzeczywistości, ale intuicyjnie wyczuwają coś prawdziwego. To, że zaczynający się wyborczy maraton będzie grą nieledwie o wszystko.

TECHNICZNIE NIEMOŻLIWE

Z tego prawdziwego założenia wyciągają jednak niekoniecznie słuszny wniosek. Taki mianowicie, że skoro tak, to znie-nawidzona przez nich druga strona, również zdając sobie z tego sprawę, z pewnością zrobi wszystko i pójdzie na każdą niegodziwość (przecież składa się ze złych ludzi), żeby nie dopuścić do zwycięstwa Sił Jasności. I tu dochodzimy do pytań, od których zaczęliśmy ten tekst. Na ile naszkicowane we wstępnej części artykułu, żywe w głowach najtwardszych zwolenników obu stron zagrożenia mogą być realne?

Możliwości sfalszowania wyborów przez partię rządzącą jako realnej nie traktuję. Z kilku powodów.

Po pierwsze, z powodu, o którym mówiłem kilkakrotnie w latach ubiegłych, gdy polemizowałem ze zwolennikami tezy o rządach sił antyprawicowych jako efekcie wyborczych oszustw. Tak jak wtedy, tak i teraz uważam, że w Polsce sfalszowanie wyborów – na liczącą się w skali kraju skalę i na niekorzyść jednej z wielkich partii – jest technicznie niemożliwe. A takimi posiadającymi niemal wszędzie struktury mające ustawową i faktyczną możliwość kontrolowania procesu wyborczego ugrupowaniami były (i są) PiS i Platforma. W Polsce można efektywnie sfalszować wybory na niekorzyść ugrupowań małych, słabych liczebnie, a więc niemających takich możliwości. Ale, powtórzmy – nie przeciw i kosztem PiS ani PO (ani PSL czy, kiedyś, SLD). Jeśli ludzie którejś z wymienionych partii sugerują coś innego, to raczej świadomie uprawiają propagandę – ze świadomością jej nieprawdziwości.

Dotyczy to rzecz jasna również polityków obecnej opozycji. Ci dobrze wiedzą, że wyrażając zaniepokojenie możliwością „poprawienia” wyniku wyborów przez PiS, żeglują w dziedzinie fantastyki. Inaczej jest natomiast z wieloma osobami formacji kodowskiej, a także postaciami z intelektualnego zaplecza liberałów. Ci, nie będąc (jak politycy) twardo osadzeni w życiu realnym, nie mając wiedzy o mechanizmach funkcjonowania państwa, w możliwość czy wręcz istniejący plan sfalszowania wyborów wierzą szczerze. Ich histeria na tym tle nie jest udawana.

„Ależ to niemożliwe, żeby oni w to wierzyli!” – zakrzyknie w tym miejscu niejeden zwolennik PiS. „Przecież my jesteśmy szczerze przywiązani do prawa i uczciwi; sama myśl o tym, żebyśmy mogli sfalszować wybory, jest absurdem”.

Odpowiem na to tak: przeciwnicy PiS kwestię jego przywiązania do prawa postrzegają – szczerze – diametralnie odmiennie. A ponadto wyczuwają intuicyjnie pewien panujący

w wielu okolopisowskich środowiskach intelektualno-emo-
cjonalny klimat. Klimat polegający na utożsamianiu swojej
formacji z Polską, a jej przeciwników – z anty-Polską. I uzna-
waniu, że to, co się dzieje, to nie jest zwykła walka polityczna,
tylko wojna o wartości najwyższe, które zginą w wypadku
naszej porażki. Jeśli tak postrzega się rzeczywistość, jeśli
rozumienie polskiej wspólnoty politycznej zawęża się, na-
wet tego nie werbalizując, tylko do myślących podobnie, to
może wyłonić się pokusa, aby wyciągnąć z tego konsekwen-
cje. Bo dlaczego głos anty-Polaków, jeśli idzie o urządzenie
Polski, miałby liczyć się tak samo, jak głos Polaków...?

Jeśli tak się widzi sprawujących władzę, to jest logiczne, że
podejrzewa się, że mogą oni wybory sfałszować. I dla zrozu-
mienia, po co opozycjoniści przygotowują własne struktury
do pilnowania liczenia głosów, doprawdy nie trzeba założyć,
że mają one posłużyć do realizacji planu demonicznego puczu.

SPECYFICZNY BEZPIECZNIK

Mimo to wizja PiS fałszującego wybory wydaje mi się ab-
surdalna. I nie tylko ze względów opisanych powyżej – tzn.
technicznej niemożliwości sfałszowania wyborów przeciw
tak silnej partii, jak PO z przyległościami.

Także dlatego, że – mimo iż charakterystyczne dla części
PiS myślenie teoretycznie mogłoby prowadzić do niebez-
piecznych konsekwencji – to bardzo polską cechą jest właś-
nie skłonność do niewyciągania ostatecznych konsekwencji
z nawet szczerze wyznawanych filozoficznych i ideologicz-
nych założeń. Świadczy o tym cała nasza historia, od czasów
Rzeczypospolitej szlacheckiej.

A także dlatego, że w etosie Prawa i Sprawiedliwości ist-
nieje pewien bezpiecznik chroniący ją przed wejściem na
taką drogę.

Bezpiecznik ten jest związany właśnie z faktem, że podej-
rzenia o fałszowanie wyborów przez partię III RP były przez
ludzi formacji IV RP przeżywane bardzo silnie. Apogeum
tych nastrojów przypadło na rok 2014. Niezależnie od tego,
że – jak już napisałem – uważam, że te niepokoje były bardzo
przesadne, jest faktem, że ukształtowały one myślenie, w któ-
rym fałszowanie wyborów jest czymś bardzo złym. Każdy,
kto zada sobie trud, by zapoznać się z pracą i dorobkiem
Ruchu Kontroli Wyborów, dostrzeże, jak bardzo były one
i są ukierunkowane właśnie na uniemożliwienie fałszerstw.
Nakierowane aż do przesady, do granicy utrudnienia procesu
wyborczego.

Uważam więc, że ewentualne próby sfałszowania wyborów
napotykałyby na opór również wewnątrz samej formacji IV RP.
Cokolwiek o niej mówić, cynizm nie jest jej cechą

Co nie zmienia faktu, że zarzuty tego rodzaju mogą oczy-
wiście być podnoszone. I scenariusz, w którego myśl po wy-
granych przez PiS wyborach 2019 r. ogłasza się je jako sfałszo-
wane (a władzę w ślad za tym jako nieprawomocną), może się
stać niestety realny. Nie dlatego, aby taki był uświadomiony,
polityczny pomysł czy wręcz plan. Nie widzę tego planu, po
stronie opozycji nie dostrzegam wręcz objawów istnienia ja-
kiegokolwiek kierowniczego ośrodka zdolnego taki scenariusz
wymyślić, narzucić i realizować, zauważam natomiast objawy

chaosu. Ale sam poziom emocji, pomnożonych przez opisane
wyżej zapotrzebowanie polityczno-psychologiczne (wyjaśnić
sobie samemu, jak to się stało, że po raz kolejny przegraliśmy?),
może automatycznie doprowadzić do takiego efektu.

MINIMALIZOWAĆ SZKODY

Czy rządzący mogą uniknąć takiego efektu? Nie ma niestety
takiej pewności, stopień złej woli i złych emocji jest wielki.

Można jednak zminimalizować taką możliwość. A w tym
celu trzeba dołożyć wszelkich starań, aby ewentualnie pod-
niesione zarzuty były w ewidentny sposób absurdalne. In-
nymi słowy, w maksymalnym stopniu dbać o przejrzystość
wyborów. Wystrzegać się zwłaszcza wszystkiego, co mogłoby
być uznane za utrudnianie opozycji (rozumiem przez to za-
równo partię polityczną, jak i powoływane przez antypisow-
skie środowiska specjalne, przeznaczone do tego celu struk-
tury) udziału w komisjach, liczeniu głosów lub nadzorowaniu
tegoż liczenia.

Nie da się uniknąć krzyków i protestów. Ale można uczynić
je niewiarygodnymi dla wszystkich, poza najbardziej fana-
tycznymi antykapcystami.

Trzeba podjąć ten wysiłek. Bo ewentualne pojawienie się
(zarówno w kraju, jak i we wspólnocie międzynarodowej)
opinii, jakoby uczciwość wyborów nad Wisłą była kwestio-
nowalna, przyniosłoby Polsce szkody ogromne. I skrajnie
trudne do odrobienia.



*Wyraży głębokiego żalu i współczucia
oraz szczerze słowa otuchy z powodu śmierci*

MAMY

Posłowi na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej

PANU JANUSZOWI ŚNIADKOWI

składa

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy Kasy Stefczyka

49/08/19/F

„Kler” Wojciecha Smarzowskiego został potraktowany jako manifest programowy nowego antyklerykalizmu

Antyklerykalizm



STANISŁAW JANICKI

Film „Kler” Wojciecha Smarzowskiego wywołał falę antyklerykalizmu, zanim jeszcze został obejrzany przez masową widownię. Tę falę wywołał już sam tytuł, a tym bardziej oficjalny zwiastun. I co ciekawe, ta rzeka antyklerykalizmu wylała się głównie w środowiskach inteligenckich i twórczych. Do tego stopnia, że dla części aktorów, różnych specjalistów z filmowego planu

i okolic oraz komentatorów udział w „Klerze”, a potem w jego promocji oraz w podtrzymywaniu publicznej debaty o nim stały się ważną demonstracją: ideową, światopoglądową, kulturową, polityczną.

Szczególnie taką demonstracją była warszawska premiera filmu (25 września 2018 r.). Wielu z nich popłynęłoby na pełny gaz na antyklerykalnej fali już po premierze w warszawskim Teatrze Powszechnym „Kłatwy” (na motywach Wyspiańskiego) w reżyserii Olivera Frłjcia, ale tamto przedstawienie było zbyt prymitywne, żeby wziąć je na sztandary, no i zrobił je cudzoziemiec (Chorwat). Z filmem Smarzowskiego jest zupełnie inaczej, gdyż to uznany twórca, laureat wielu nagród, a przede wszystkim autor „Wołynia”. Popłynię-

cie na Smarzowskim nie wymagało więc już szczególnej odwagi.

PIĘĆ WIEKÓW ANTYKLERYKALIZMU

Z punktu widzenia procesów i zjawisk społecznych dziejących się w Polsce znacznie ważniejsza jest funkcja „Kleru” jako detonatora nowej fali antyklerykalizmu niż jako dzieło filmowe. Chodzi o nową falę, gdyż antyklerykalizm jest mocno w Polsce zadomowiony. Także antyklerykalizm ludowy, znacznie silniejszy przez wieki niż antyklerykalizm oświeceniowy, którego patronem uczyniono biskupa, poetę i pisarza Ignacego Krasickiego.

Pierwsze pisane świadectwa antyklerykalizmu pochodzą z XVI w. i są

2018

to pisma Biernata z Lublina i Mikołaja Reja. Ale już w wieku XVII powstały „Lamenty chłopskie” („Lament chłopski”, „Lament chłopski na złe lata”, „Lament chłopski na pany”), gdzie narzekania na księdza czy plebana dotyczą nie tylko ich chciwości i upodobania do dóbr materialnych, lecz także wykorzystywania swej przewagi wynikającej z pozycji społecznej do uwodzenia i sprowadzania na moralne manowce chłopskich córek i żon. Gdyby uwspółcześnić język niektórych fragmentów chłopskich lamentacji, mogłyby one zaistnieć jako dialogi w filmie Wojciecha Smarzowskiego. Poczynając od końca XVI w., ludowy antyklerykalizm budował się na uprzywilejowanej pozycji kleru, także pozycji społecznej, nie tylko budzącej zawiść, lecz i demora-

lizującej: zarówno sam kler, jak i wiernych – jako pokrzywdzonych, którzy nie byli w stanie dość zadośćuczynienia, oraz jako obserwatorów niemoralnego prowadzenia się. Antyklerykalizm ludowy był w jakimś sensie klasowy, ale też obyczajowy. W różnych formach ten zadawniony ludowy antyklerykalizm przetrwał aż do II Rzeczypospolitej, gdy wymieszał się z antyklerykalizmem szlacheckim, bardzo silnym w XVII i XVIII w., a wynikającym z postrzegania kleru jako rywala w dostępie do własności ziemskiej oraz do przywilejów przynależnych „narodowi szlacheckiemu”. W wersji mocno eklektycznej różne formy historycznego antyklerykalizmu odrodziły się w III RP, szczególnie w latach 90. XX w.

W XIX i XX w. dominował antyklerykalizm oświeceniowy, najczęściej inteligencki, szeroko obecny w ówczesnych gazetach. Często miał on postać ruchów na rzecz świeckości państwa. Kulminacją tego oświeceniowego antyklerykalizmu było powołanie w 1907 r., m.in. przez Aleksandra Świętochowskiego i Ludwika Krzywickiego Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich, nawiązującego do działającej na emigracji we Francji Polskiej Ligi Wolnej Myśli. SWP domagało się wprowadzenia świeckiego ślubu i pogrzebu, świeckiej metryki, dobrowolności nauczania religii w szkołach, a generalnie walczyło o świeckie standardy życia publicznego. Rozwiązane po dwóch latach SWP odrodziło się w II RP, a ton nadawali mu Jan Baudouin de Courtenay, Jan Hempel, Romuald Minkiewicz i Józef Landau. W międzywojniu SWP postuluowało przede wszystkim oddzielenie Kościoła od państwa we wszystkich sferach działalności publicznej oraz prawnego uznania bezwyznaniowości.

W 1925 r. SWP się radykalizowało, gdyż nad oświeceniowymi liberałami zaczęli w nim dominować marksiści. Stowarzyszenie stało się wtedy otwarcie ateistyczne i antyklerykalne. W debacie publicznej w II RP ton antyklerykalom nadawali pisarze Tadeusz Boy-Żeleński oraz Irena Krzywicka (przez jakiś czas związani prywatnie). Nieprzypadkowo Boy-Żeleński, z wykształcenia lekarz praktykujący do 1919 r., założył w 1931 r. w Warszawie (potem także w kilku in-

nych miastach) Poradnię Świadomego Macierzyństwa, domagał się legalizacji aborcji i propagował antykoncepcję. Oświeceniowy antyklerykalizm inteligencki miał sporo zwolenników w elitach władzy II RP, z marszałkiem Piłsudskim i pierwszym prezydentem Gabrielem Narutowiczem na czele.

Antyklerykalizm w III RP, szczególnie w pierwszej połowie lat 90. oraz po roku 2010, chciał do tego międzywojennego nawiązywać, ale to się nie udało, gdyż w tym pierwszym okresie zdominował go Jerzy Urban ze swoim „Nie”, a w drugim Janusz Palikot ze swoim ruchem, czyli antyklerykalowie brutalni, prostacy i intelektualnie niewyrafinowani. I może dlatego ten ich antyklerykalizm (skupiony na seksie i pieniądzu) miał największe wzięcie na polskiej prowincji, a nie w wielkich miastach, czego dowodzi m.in. pochodzenie tych, którzy w 2011 r. głosowali na Ruch Palikota (najliczniejszą grupę, ok. 1/3, stanowili mieszkańcy wsi).

ANTYKLERYKALIZM MARKETINGOWY

Nowa fala antyklerykalizmu, związana z filmem „Kler”, tym się różni od poprzednich, że jest generowana tak jak kampanie marketingowe. Może dlatego zbiegła się z promocją filmu Wojciecha Smarzowskiego. Ten antyklerykalizm jest lansowany tak jak nowe produkty, czyli ma być lepszy, skuteczniejszy, nowocześniejszy i bardziej techniczny niż ideologiczny. I przez część uczestników jest postrzegany także jako skuteczne narzędzie walki z rządzącą zjednoczoną prawicą. Takie samo jak „ulica”, „zagranica” i liberalno-lewicowe media.

„Techniczny” antyklerykalizm ma wskazywać na jego obiektywizm, na związek z takimi wartościami, jak wolność, demokracja, rządy prawa czy członkostwo w Unii Europejskiej. Sugeruje, że obecnie trzeba być antyklerykałem tak samo, jak trzeba być człowiekiem nowoczesnym. Kleryzm obecnej władzy ma być jedną z jej złych cech, należących do anty-oświeceniowej przeszłości, mających negatywny wpływ na życie obywateli, nie tylko antyklerykałów. Tym razem mamy do czynienia z antyklerykalizmem

sterowanym, inspirowanym i podsycanym przez liberalne elity, a częściowo także przez liberalnych duchownych. Taki antyklerykalizm ma być narzędziem modernizacji państwa i liberalizacji społeczeństwa prowadzącej do powstania nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego i w pełni europejskiego, co kłóci się z klerykalizmem władzy i wpływami samego kleru.

Dlatego film Smarzowskiego został potraktowany jako swoisty manifest programowy, z podtekstem moralnym. Klerykalizm to zło i zepsucie, antyklerykalizm to dobro i wyzwolenie. A skoro obecna władza jest klerykalna, to antyklerykalizm jest też opowiedzeniem się przeciwko tej władzy, co zdaje się szczególnie podniecać lewicowo-liberalnych intelektualistów i artystów. „Kler” stał się więc swego rodzaju plebiscytem: za władzą PiS lub przeciw niej.

Antyklerykalizm roku 2018 (także „Kler”) jest o kilkanaście, a może nawet 20 lat spóźniony w stosunku do procesów społecznych, które mogłyby go wywołać, dziejących się przede wszystkim w latach 90. To wtedy media, a głównie „Nie” Urbana, rozchodzące się wówczas w ponad pół miliona egzemplarzy, opisywały rzeczywiste i wydumane grzechy kleru, skupiając się na pieniądzach i seksie: nowe kościoły pokazywane były jako piramidy próżności, pałace i limuzyny hierarchów jako dowód oderwania od wiernych i ich problemów, proboszczowie w roli nowej szlachty (albo nowych kacyków) jako przykład komercjalizacji funkcji duchownego, łamanie celibatu i owoc tych związków w postaci dzieci jako dowód hipokryzji i zakłamania, homoseksualizm księży pokazywany głównie jako pedofilia (oczywiście tolerowana przez hierarchów i Watykan) jako potwierdzenie moralnego zepsucia i jednocześnie bezkarności, a wręcz istnienia ochronnego parasola.

W latach 90. takie tematy napędzały ludowy antyklerykalizm, zaś ten oświeceniowy był powszechnie, gdyż świeża była jeszcze pamięć o wielkich zasługach Kościoła dla odzyskania niepodległości, dla ruchu „Solidarność”, dla antykomunistycznej opozycji. Potem Kościół sam

zaczął z patologicznymi zjawiskami walczyć, zaczął je krytykować od wewnątrz, stał się przedmiotem otwartej debaty publicznej, patologie przestały być tematem tabu. Polski Kościół się wtedy znacznie zdemokratyzował, a kult mamonny został mocno ograniczony. To dlatego antyklerykalizm po 2000 r. był znacznie mniej powszechny, napastliwy i głośny niż w latach 90. To się zaczęło zmieniać wraz z rządami PiS w latach 2005–2007, a potem po przejęciu władzy w 2015 r. Ale dopiero „Kler” Smarzowskiego wywołał antyklerykalny przełom, stając się dogodnym pretekstem, wykorzystując to, że najpewniej film będzie miał masową widownię, i to nie tylko w dużych miastach.

Nowa fala antyklerykalizmu, związana z filmem „Kler”, tym się różni od poprzednich, że jest generowana tak jak kampanie marketingowe

ANTYKLERYKALNA EMANCYPACJA

Antyklerykalizm 2018 bazuje na całkowicie fałszywym obrazie polskiej prowincji, która obyczajowo wcale nie odstaje od wielkich miast, a czasem jest nawet bardziej „postępowa”. I wcale nie jest bezkrytyczna, skoro to wiejskie wspólnoty parafialne częściej niż te w miastach doprowadzają do pozbycia się proboszczów uważanych za zbyt pазernych czy mających kłopoty z celibatem. Ale współczesny oświeceniowy antyklerykalizm próbuje oczywiście grać antyklerykalizmem ludowym, zbudowanym wokół pozycji materialnej duchownych (dziś już mocno zmitologizowanej), wykorzystuje zawiść i rozpowszechniony w liberalnych mediach obraz duchowieństwa jako grupy przeżartej materializmem i wręcz obsesyjnie skupionej na seksie.

Przed wszystkim jednak liberalni antyklerykałowie wykorzystują anty-

klerykalne nastroje do osłabienia Kościoła jako ważnego czynnika polskiej rzeczywistości, jako ostoji postaw konserwatywnych, ośrodka tradycyjnych wartości. Taki Kościół sprzyja bowiem utrzymywaniu wysokiego poparcia przez PiS, sprzyja sceptycznej postawie wobec obyczajowej rewolucji dokonującej się na Zachodzie i utrwalanej w postaci konkretnych praw, np. uznania homoseksualnych małżeństw czy adopcji dzieci przez jednopłciowe pary. Wedle nowych antyklerykałów Kościół powinien zostać zagoniony do kruchty albo mógłby się zajmować chorymi i potrzebującymi pomocy, a wtedy łatwiej będzie odsunąć PiS od władzy i włączyć się w główny, europejski nurt. Dlatego

„Kler” Wojciecha Smarzowskiego postanowiono wykorzystać dla osłabienia Kościoła i zepchnięcia go do defensywy.

Ten nowy antyklerykalizm jest tłumaczony troską o moralność Kościoła i kleru, zaangażowaniem w walkę z patologiami, np. pedofilią, które są bezwzględny złem. Dlatego może, a wręcz powinien z nimi walczyć nawet film aistej Smarzowskiego. A nawet tym bardziej dzieło takiego twórcy, gdyż jako ktoś z zewnątrz lepiej widzi te patologie. I przedstawia je w formie przystępnej dla milionów.

Zaangażowanie w nowy antyklerykalizm wielu przedstawicieli liberalno-lewicowych elit, w tym aktorów i innych twórców, szczególnie tych zaangażowanych przy produkcji „Kleru”, przez część z nich jest postrzegane jako misja. Zmierzająca do przechylenia szali i ostatecznego wydobycia Polski z mroków średniowiecza ku współczesnej wersji oświecenia. Częścią tego oświecenia jest odsunięcie PiS od władzy, najlepiej na zawsze. Nic dziwnego, że nowi antyklerykałowie chcą się znaleźć po stronie światła i liberalnej Polski. Nie zauważają tylko, że wpadli w sidła klasycznego, mocno zakorzenionego w naszym kraju (i nie tylko u nas) antyklerykalizmu, którego największymi osiągnięciami historycznymi były totalitarne reżimy. Antyklerykalizm nie emancypuje, lecz dyskryminuje, nawet bardzo współczesny i bardzo oświecony. I nawet podany w atrakcyjnej, filmowej formie. ▀

Artyści zaangażowani

Kultura – pomimo toczonych wewnątrz sporów, różnych prądów, wrażliwości – jest jednym z najważniejszych ogniw budujących tożsamość i wspólnotę narodową. Nieustanne zaprzęganie jej do politycznej wojny osłabia i tak już wątłe nici łączące wrogie obozy



Od lewej: Krystyna Janda, Wojciech Smarzowski, Zbigniew Preisner

Fot. Zuzanna Krushevska, Karol Polikiewicz/East News, Beata Zatrzel/Reporter



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nie oglądałem filmu „Kler” i raczej nie wybieram się do kina. Nie dlatego, że uważam ten film za kiepski czy źle zagrany – tego

i tak nie jestem w stanie ocenić, nie idąc do kina – ale dlatego, że nie jest to film skierowany do mnie. Nie będę więc odnosił się do samego filmu, ale do powszechnie znanych faktów na jego temat i reakcji, które już wywołał.

Jak napisał Łukasz Adamski na portalu wPolityce.pl, Kościół – w ujęciu Wojciecha Smarzowskiego – jest zły. Na każdej płaszczyźnie i w każdym wymiarze. Wynika z tego, że tak płytki i jednostronny obraz może być strawny wyłącznie dla tych, którzy są przepojeni

atawistyczną nienawiścią do Kościoła i religii. Domyślna widownia „Kleru” – którą symbolicznie reprezentował na premierze Jerzy Urban – po projekcji zapewne jeszcze bardziej utwierdzi się w swoich obsesjach. Z kolei ci, którzy trafią na seans zwabieni hałaśliwą promocją filmu, odświeżą sobie w głowach dość silne w polskim społeczeństwie klisze ludowego antyklerykalizmu sprowadzające Kościół do prostackiej wizji spasionych klechów pijących wódkę i liczących forszę w zakrystii.

I na nic się zda dobra – jak przekonuje Łukasz Adamski – gra wielu aktorów. Tu nie o grę chodzi, nie o sztukę, ale o ideologię i politykę, o zwieranie szysku wśród przekonanych i agitację wśród pozostałych. Przy czym pozostawiam tu na marginesie pytanie, czy „Kler” jest początkiem szerszej akcji wymierzonej w polski Kościół – to temat na inny artykuł – w tym momencie chodzi mi bowiem wyłącznie o zjawisko wykorzystywania sztuki do bieżących sporów politycznych.

POGŁĘBIANIE PODZIAŁÓW

Nie przypadkiem „Kler” jest tak promowany. W jednym z krakowskich multiplexów należących do sieci Multikino film Smarzowskiego wyświetlany jest 21 (słownie: dwadzieścia jeden) razy dziennie, co daje częstotliwość kolejnych seansów dochodzącą wieczorami do 15 minut. Nie przypominam sobie żadnego innego filmu, nawet największego hollywoodzkiego blockbustera, który osiągnąłby w Polsce porównywalny wynik.

Tylko naiwniak może sądzić, że chodzi tutaj o walory artystyczne filmu albo o ważną społecznie fabułę. Znacznie bardziej ambitne obrazy utytułowanych reżyserów przechodziły bez większego echa. „Kler” jest promowany, bo świetnie wpisuje się w ideologiczną wojnę w Polsce. Uderza w Kościół nie po to, aby nim ozdrowieńczo potrząsnąć, ale po to, aby go osłabić. Zresztą celem nie jest nawet Kościół sam w sobie, lecz religia. Smarzowskiemu, zachwycającemu się ateistycznymi Czechami, marzy się Polska pogańska, w której katolicy zepchnięci są do prywatnego getta. W takiej Polsce nie będzie już miejsca dla konserwatywnej prawicy, nic zatem dziwnego, że „Klerem” zachwyca się liberalna publika. I również nic dziwnego, że prawica ten film odrzuca.

Tutaj dochodzimy do sedna. Smarzowski zrobił film, który nie tylko jest odbiciem jego osobistych poglądów, lecz również idealnie realizuje interes polityczny jednej ze stron konfliktu w Polsce. I sądzę, że zrobił to świadomie, z pełną premedytacją, mając pewność, że dzięki temu jego film uzyska odpowiednią promocję, a on sam dożgonne uznanie jako wybitny twórca.

W mniej gorącym politycznie okresie taki film jak „Kler” byłby zapewne znacznie słabiej fetowany, dziś w samym środku politycznej wojny staje się kolejną bombą, która zrzucona na prawą stronę barykady powoduje głębokie urazy domagające się odwetu. Widać „Kłatwa” Frłjicia niczego obsesyjnych antypisowców nie nauczyła.

PODWÓJNE STANDARDY

Nachalna promocja „Kleru” wpisuje się w dążenie liberalnej lewicy do całkowitego zdominowania przestrzeni kulturowej w Polsce. W tym kontekście szczególnie jest przypadek Wojciecha Cejrowskiego, który rozpoczyna własnie kolejne tournée po Polsce. Osobiście nie jestem entuzjastą Cejrowskiego, razi mnie jego obcesowy styl, język i dość płytkie wywody. Niemniej jednak ma on rzeszę fanów w Polsce. Problem Cejrowskiego nie polega jednak na ostrości sądów, które wyrzuca z siebie z dość dużą łatwością, ale na ich politycznej niepoprawności. Dlatego też środowiska liberalnej lewicy rozpoczęły akcję blokowania występów Cejrowskiego. W liście do dyrektorki warszawskiego kina Wisła, gdzie ma się odbyć jeden z występów podróżnika, zażądano „niezwłocznego usunięcia spektaklu” z jego udziałem oraz „odstąpienia od współpracy artystycznej z Wojciechem Cejrowskim w przyszłości. Wolność słowa kończy się tam, gdzie narusza ono dobra chronione innych, poza tą granicą słowo staje się przestępstwem, ściganym na mocy prawa” – piszą sygnatariusze listu, wśród nich Agnieszka Holland, Piotr Pacewicz, Magdalena Środa, Ireneusz Krzemiński, a nawet Andrzej Blikle.

Trudno nie dostrzec w liście ostentacyjnej wręcz obłudy jego sygnatariuszy, którzy używają wolności słowa jako instrumentu w walce z oponentami. Nie sposób też sobie przypomnieć podobnych listów tego środowiska apelujących do dyrektorki Teatru Powszechnego o zdjęcie „Kłatwy” jako spektaklu, który „głosi apologię przestępstw z nienawiści i barbarzyństwa”. Przeciwnie, w przypadku „Kłatwy” ordynarnie obrażającej uczucia religijne części społeczeństwa zasłaniano się prawem twórcy do swobodnej ekspresji. Tym-

czasem w przypadku Cejrowskiego sygnatariusze ostrzegają dyrektorkę kina Wisła, że „przysługujące artyście prawo do swobodnej ekspresji nie implikuje obowiązku udostępniania mu platformy dla takiej ekspresji”.

Niezależnie od zastrzeżeń, jakie można mieć do Cejrowskiego, jest on zupełnie inaczej traktowany niż Frłjić. Tego rodzaju podwójne standardy zmierzają do uprzywilejowania w przestrzeni publicznej tylko jednej – liberalnej – ideologii. A wraz z nią do próby ustanowienia podobnego monopolu w polityce i kulturze, co oznacza pogardę dla jakiejkolwiek innej wrażliwości.

SAMOBÓJSTWO JANDY

Przez cały okres III RP większość środowisk artystycznych przekształciła się – podobnie jak kilka innych grup zawodowych – w uprzywilejowaną i homogeniczną ideowo kastę. Zmiana sytuacji politycznej w 2015 r. została odebrana przez te środowiska jako naruszenie istniejącej dotąd hierarchii i – co za tym idzie – zagrożenie dla ich pozycji. Tym należy tłumaczyć stadne zgłaszanie się wielu artystów do antypisowskiego zaciągu. Nie bez znaczenia jest też przekonanie tego środowiska o własnym elitarnym statusie i strach przed rządami „prymitywnej tłuszczy”, co objawia się niekiedy w groteskowy i wulgarny sposób, jak w przypadku Krystyny Jandy narzekającej, że czuje się, jakby ktoś na nią „cały czas srał”.

Jest to działanie zgoła samobójcze z punktu widzenia ludzi kultury. Gdy znana i powszechnie ceniona aktorka mówi swojej widowni, że czuje się, jakby ta widownia na nią „srała”, to ustawia się wobec części publiczności już nie jako artystka, lecz jako oponentka ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Janusz Gajos na plakacie reklamującym „Kler”, Jerzy Stuhr pomstujący na „niedouczone i niewychowane społeczeństwo”, Stanisław Tym zalewający się zółcią na łamach „Polityki” oraz Krystyna Janda, która ma ochotę „zamknąć się w domu i nie wychodzić na ten kraj, nie kontaktować się z krajami i nie identyfikować z ich ogółem” tworzą dość oplakany obraz artystów,

k którzy zbyt intensywnie zaangażowali się w polityczną wojnę i nie potrafią pojąć, dlaczego nie są już powszechnie kochani ani akceptowani.

DYSKOMFORT PREISNERA

Pal jednak lichy dobre samopoczucie aktorów, literatów czy muzyków, którzy demonstrują pogardę wobec części swoich odbiorców. Gorzej, że ten demonstracyjnie okazywany absmak staje się zagrożeniem dla kondycji całego społeczeństwa. Nie tak dawno Zbigniew Preisner, kompozytor i uznany twórca muzyki filmowej, został laureatem nagrody przyznawanej na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Tel Awiwie. Organizatorzy festiwalu poprosili ambasadora RP w Izraelu Marka Magierowskiego o laudację na cześć laureata. Na wieść o tym laureat odpowiedział, że nie życzy sobie laudacji ani w ogóle żadnych spotkań z przedstawicielami państwa polskiego do czasu, gdy władzę sprawuje PiS.

Można powiedzieć nic nadzwyczajnego. To przecież nie pierwszy przypadek bojkotowania własnego państwa przez antypisowskie w swojej większości środowiska artystyczne. Czy to wynika z presji towarzyskiej, mody czy też może realnie istniejących obsesji – to właściwie sprawa drugorzędna. Ważne są potencjalne konsekwencje.

Kultura – pomimo toczonych wewnętrznych sporów, różnych prądów, wrażliwości – jest jednym z najważniejszych ogniw budujących tożsamość i wspólnotę narodową. Nieustanne zaprzęganie jej do politycznej wojny osłabia i tak już wątłe nici łączące wrogie obozy. Staje się potężnym paliwem dla tych, którzy uznają, że „tamci” nie są Polakami (wszystko jedno o których „tamtych” chodzi), ilustracją szalonych wizji Marii Nurowskiej o podziale Polski na dwa państwa. Bo jeśli uznamy, że państwo polskie jest „pisowskie”, to musimy też – całkiem logicznie – uznać, że Zbigniew Preisner nie jest twórcą polskim, lecz „antypisowskim”. Dlatego wolabym, żeby Preisner w geście protestu wyemigrował na Księżyc lub obwołał się królem Papuasów. Też spektakularne, ale za to mniej szkodliwe. A przy okazji z większą fantazją.

Tym bardziej należy docenić odpowiedź Marka Magierowskiego, który nie dał się – jak to niestety często bywa – sprowokować do klótni, lecz elegancko odpowiedział Preisnerowi, że zrezygnował z laudacji oraz z finansowania koncertu na cześć artysty, aby „nie powiększać dyskomfortu”, jaki kompozytor odczuwa na widok przedstawiciela ambasady własnego (?) państwa. Chciałbym wierzyć, że po takiej odpowiedzi Zbigniew Preisner zacerwienił się choć trochę ze wstydu, ale – mając na uwadze, to co napisałem powyżej – nie wierzę. Jeśli się zacerwienił, to chyba tylko ze złości. Niestety.

Oczywiście kultura narodowa może istnieć bez państwa, czego dowodzi choćby historia Polski w okresie zaborów. Ale państwo polskie szczęśliwie istnieje i odrzucanie go w imię politycznej wojny prowadzi w praktyce do rozdzielenia kultury, a wraz z tym rozdzieleniem do powstania dwóch odrębnych i wrogich sobie tożsamości. W gorączce obsesyjnej walki o władzę nikt nie zwraca sobie głowy konsekwencjami tego zjawiska. Przekonanie, że jak już wyrzucimy PiS, to wszystko wróci do normy, jest błędne. Nic nie wróci do normy. Cynicznie pogłębiane podziały zemszczą się w przyszłości.

REKLAMA

RMF FM

Numer 1
wśród mediów
opiniotwórczych
wg Instytutu Monitorowania Mediów

Rano...

Robert Mazurek
zapraszam o 8:02

Program	Sluchacze
Poranna Rozmowa RMF	2 625 000
Gosć Radio Zet	1 337 000
Salon Polityczny Trójki	541 000
Gosć Poranka (tak RMF 745)	241 000

... i po południu

Marcin Zaborski
zapraszam o 18:02

Program	Sluchacze
Popołudniowa Rozmowa RMF	1 291 000
Polska Trójka	326 000
Debiuta Jedynek	286 000
Wywiad Polityczny Tak FM	96 000

Źródła:
– Raport IMM – najbardziej opiniotwórcze media pierwszej połowy 2018 roku
– Radio Track, Kantar MillwardBrown, 04-06.2018, audytorium średniego kwadransu (kwadrans z audycją), dni powszednie

29/08/18/F

Trudna przeszłość obrońcy demokracji

Profesor prawa Jerzy Zajadło z Gdańska słowem i czynem walczy z reformą polskich sądów. Zawsze gotowy, by z odpowiednim namaszczeniem potępić PiS, stał się jedną z czołowych postaci rodzimego frontu „obrońców demokracji”. Tylko nieliczni wiedzą, że w przeszłości Zajadło prowadził biznesy, w które zaangażowani byli także przestępca skazany za handel narkotykami i człowiek, który był przyjacielem i świadkiem śmierci mafijnego bossa „Nikosia”

Lipiec 2018 r. W programie Moniki Olejnik „Kropka nad i” gości prof. Jerzy Zajadło, specjalista w zakresie teorii i filozofii prawa z Gdańska. Komentuje wchodzącą właśnie w życie reformę Sądu Najwyższego.

– W całej tej reformie chodzi o to, żeby podporządkować wymiar sprawiedliwości nawet nie władzy wykonawczej, ustawodawczej, ale centralnemu ośrodkowi dyspozycji politycznej – grzmi Zajadło. Ton i treść wypowiedzi nikogo nie dziwi – profesor jest zajadłym krytykiem obozu dobrej zmiany od momentu, kiedy przejął on władzę w Polsce. Publikuje potępiające PiS artykuły, występuje na spotkaniach organizowanych przez KOD, uczestniczy w nagłaśnianej przez liberalne media kampanii „Wolne sądy”. Jest tak zwanym dyżurnym autorytetem.

POŻYCZKA DLA PIECHOTY

Sierpień 2002 r. Premierem jest Leszek Miller, a ważną funkcję ministra gospodarki w jego rządzie sprawuje Jacek Piechota. Bulwarówka „Super Express” ujawnia, że tuż przed wyborami minister pożyczył pieniądze od pewnego prawnika, zdaniem dziennikarzy powiązanego z przestępczym półświatkiem Trójmiasta. Prawnikiem tym był Jerzy Zajadło, a pożyczka w wysokości 200 tys. zł została przez Piechotę

spożytkowana na budowę luksusowego domu.

– To już kolejna afery z pożyczką, jaką zaciągnął członek rządu Leszka Millera. To niedopuszczalne, że politycy pożyczają pieniądze od osób fizycznych zamiast w bankach, gdzie wszystko może być udokumentowane – komentował ówczesny rzecznik PiS Adam Bielan, domagając się dymisji Piechoty.

– Pożyczkę, udzieloną mi przez pana Zajadłę, zarejestrowałem w urzędzie skarbowym, zapłaciłem od niej podatek, spłaciłem ją w terminie, a także ujawniłem ją w poselskim oświadczeniu majątkowym – odpierał zarzuty Jacek Piechota.

Przepytany przez dziennikarzy Jerzy Zajadło rozstrzygał zaś opowieść o swojej długiej przyjaźni z ministrem. – Znamy się już ponad 15 lat. Kiedyś Jacek zwrócił się o taką pożyczkę i ją dostał ode mnie. Mam do niego pełne zaufanie i nie obawiam się, że mógłbym pieniędzy nie otrzymać z powrotem. Mogłem pozwolić sobie na taki gest. Przyjaźnimy się. Często spędzamy razem wakacje, czasami na Kaszubach, czasami w górach – mówił.

W specjalnym oświadczeniu Jacek Piechota zapowiadał kroki prawne wobec „Super Expressu”. Prezentował najlepsze strony przyjaciela-pożyczkodawcy. Tłumaczył, że Zajadło jest osobą powszechnie szanowaną, o czym świadczą liczne pełnione przez niego funk-

cje i zajmowane stanowiska: eksperta Komisji Konstytucyjnej Sejmu, kierownika Zakładu Praw Człowieka Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, dziekana Wydziału Studiów Politycznych Wyższej Szkoły Stosunków Gospodarczych i Politycznych, a nawet... konsula honorowego Bangladeszu w Polsce. Piechota zaznaczał też, że „wbrew opiniom zawartym w artykułach prasowych z informacji Centralnego Biura Śledczego [...] wynika, iż CBS nie posiada informacji na temat kontaktów przestępczych pana Zajadły ani jego działalności wskazującej na działania pozaprawne”.

„Super Express” odpowiedział Piechocie. – Nigdy nie pisaliśmy, że przeciwko panu mecenasowi Jerzemu Zajadłemu toczą się jakiegokolwiek postępowania sądowe. Napisaaliśmy jedynie – i to podtrzymujemy – że pan mecenas prowadził interesy z gangsterami. To, że współudziałowcami firmy Beaver byli – obok mecenasu Zajadły – skazany później za handel narkotykami Andrzej J. ps. Holland oraz Wojciech K., blisko związany z „królem” trójmiejskiego półświatka Nikodemem S. „Nikosiem”, jest faktem – brzmiał komunikat wydany przez redakcję.

„HOLLAND”, MYJNIA I KOKAINA

„Holland”, „Nikoś”, zwany „Kurą” Wojciech K. – czas cofnąć się do szalonych lat 90., kiedy w Trójmieście rosły for-



Prof. Jerzy Zajadło

tuny, a tamtejsi gangsterzy jednego dnia strzelali do siebie na ulicach z kalasznikowców, by następnie występować w gazetach jako „biznesmeni”.

Firma Beaver, o której napisał „Super Express”, zajmowała się prowadzeniem... myjni samochodowej na gdańskim Przymorzu. To był pierwszy nowoczesny obiekt tego typu w Trójmieście. Przed założeniem w 1993 r. zakładem długo ustawiały się tasiemcowe kolejki spragnionych nowoczesności i odrobiny luksusu właścicieli aut.

W lata 90. Jerzy Zajadło (rocznik 1954) wszedł ze sporym bagażem doświadczeń. Był absolwentem prawa i filozofii ze stosunkowo szybko zrobionym doktoratem (tytuł otrzymał w 1983 r.), miał za sobą odbyty w 1981 r. staż w Radzie Europy, a także pobyt w Kolonii na stypendium Fundacji Alexandra von Humboldta. W 1986 r. zdał egzamin sędziowski. Skąd więc wziął się w biznesie polegającym na myciu samochodów?

– Miał pieniądze i z innych biznesów dobrze znał Wojciecha K., wówczas nazywanego jeszcze często „Kurą”. Skoro były do zrobienia pieniądze na myjni, to

czemu nie, niech będzie myjnia – śmieje się jeden z prokuratorów zwalczających w latach 90. zorganizowaną przestępczość na Wybrzeżu. – Tak się wtedy robiło. Wielkie interesy szły w parze z tymi z pozoru drobnymi. Myjnia nie myjnia, ważne, że się kręciło.

O Wojciechu K. więcej za chwilę. Twarzą Beavera był bowiem Andrzej J. zwany „Hollandem”. „Holland” sławę zdobył jako rugbysta. Trójmiasto jest kolebką tego sportu, który w latach 90. był w mediach często łączony z gangsterką.

– Niektórzy się dziwili, że ryzykują nazwisko – mówił w 2003 r. Jerzy Kozłowski, prominentny polityk Platformy Obywatelskiej z Pomorza, wyjaśniając, dlaczego objął funkcję prezesa Polskiego Związku Rugby. – Ale warto było zaryzykować, żeby nie oddawać tego sportu w przypadkowe ręce.

Jego poprzednikiem na tym stanowisku był Jerzy Zajadło. Prezesował rugbystom w 1999 r. Złośliwi mówili, że prawdziwym prezesem był za jego kadencji Andrzej J. ps. Holland, który po zakończeniu kariery zawodniczej został

działaczem i sponsorem rugby. Co ciekawe, „Holland” przebywał już wówczas w areszcie. Trafił tam w związku ze sprawą przemytu do Polski 111 kg kolumbijskiej kokainy.

Zapytany przez nas o myjnię Beaver mecenas Zajadło, wbrew dziesiątkom doniesień prasowych na ten temat, wyjaśnia, że nie był tam współnikiem Andrzeja J. Podkreśla, że wygrał proces z „Super Expressem”, który o tym napisał w kontekście pożyczki dla ministra Piechoty, ale mimo tego gazeta go nie przeprosiła. Warto dodać, że lokalne media na długo przed publikacją „SE” i wiele razy po niej nazywały Zajadłę „wspólnikiem Hollanda”.

– 10 proc. udziałów w spółce Beaver kupiłem od pana Jana J. [ojca Andrzeja J. – red.], pozostałe 90 proc. udziałów kupił pan Wojciech K. [Zajadło używa pełnego nazwiska – red.] od pozostałych współników. Tak więc pan Andrzej J. nie był moim współnikiem i wbrew doniesieniom prasowym nigdy nie prowadziłem z nim żadnych interesów. Nic też nie wiedziałem o jego działalności przestępczej. Po jego zatrzymaniu natychmiast zaproponowaliśmy panu Janowi J. zwrotne odkupienie udziałów – twierdzi Zajadło.

Według Zajadły poznał on Andrzeja J. „w związku z tą transakcją”, a ostatni raz miał z nim kontakt „kilkanaście lat temu”. Ale, co ciekawe, profesor pisze do nas, że „niezależnie od tego znałem go [„Hollanda” – red.] jako sportowca, ponieważ krótko w 1998 r. pełniłem funkcję Prezesa Polskiego Związku Rugby – rezygnację złożyłem natychmiast po zatrzymaniu pana Andrzeja J.”. Tu też coś nie gra: według oficjalnych informacji PZR Zajadło był przecież prezesem tego związku w 1999 r. i był nim przez kilka miesięcy po zatrzymaniu „Hollanda”.

Media ogłosiły, że zatrzymanie Andrzeja J. to „szok”, ale więcej było w tym chęci przyciągnięcia uwagi czytelników niż rzeczywistego zdziwienia. Dobrze zorientowani wiedzieli bowiem o kontaktach „Hollanda” z półświatkiem. Wiedzieli, że jeszcze w latach 80. jeździł on – podobnie jak „Nikoś” czy późniejsi członkowie gangu pruszkowskiego – na Węgry, gdzie handlowali walutami. Andrzej J. miał też na koncie sprawę

za paserstwo kradzionych samochodów. Przemysł kolumbijskiej kokainy zorganizowano w 1992 r., a więc krótko przed powstaniem myjni Beaver. Grupę szmuglerów mieli według śledczych tworzyć m.in. przestępcy z Kolumbii i Niemiec, a także gdańszczanie: „Holland”, Wojciech U. ps. Telewizorek (bo prowadził sklep ze sprzętem RTV) i jego kuzyn Adam U. ps. Buhaj. Potężna partia kokainy trafiła do Polski drogą morską, ukryta w kontenerze z trampkami. Prawie rok przeleżała ukryta pod Gdańskiem, a potem miała zostać przewieziona do Niemiec. Kurierzy wiozący towar wpadli jednak w Szczecinie w ręce policyjnych antyterrorystów. Przez wiele lat nie chcieli mówić o organizatorach kontrabandy. W końcu jeden z nich, Grek o pseudonimie Eduardo, wydał „Hollanda”.

– Miał mi płacić za milczenie, ale nie wywiązał się z umowy – stwierdził z rozbrajającą szczerością „Eduardo”.

ŚMIERĆ NA IMIENINACH

Andrzej J. poszedł na współpracę z prokuraturą. Dokładnie opisał przestępczy proceder, twierdząc, że głównym winowajcą i mózgiem kokainowej operacji był „Telewizorek”. Andrzej J. został skazany na najniższy możliwy w jego sytuacji wyrok – 3,5 roku więzienia.

Drugim ze współpracowników mecenasa Zajadły w Beaverze był Wojciech K. Cała Polska usłyszała o nim 24 kwietnia 1998 r. Tego dnia, niemal równo w południe, zginął Nikodem S. ps. Nikoś. W kierunku bossa trójmiejskiej mafii zamaskowany zamachowiec wystrzelił sześć kul. Zabiła go już pierwsza – ta, która trafiła w głowę. Krwawe sceny rozegrały się w agencji towarzyskiej Las Vegas w Gdyni. „Nikoś” i jego przyjaciel „Kura” świętowali tam imieniny tego drugiego. Biznesmen również został postrzelony. Cudem uszedł z życiem – pocisk, który utkwiał w jego nodze, minął tętnicę udową o milimetry.

Wojciech K. był wtedy już bardzo zamożnym człowiekiem. Wydaje się jednak, że głównej części majątku nie dorobił się na myjni Beaver. Jego największym życiowym sukcesem było współtworzenie towarzystwa ubezpieczeń Hestia z siedzibą w Sopocie. Pierw-

szą polisę Hestia sprzedała w 1991 r. Jak czytamy w jednym z artykułów na temat firmy, wystartowała ona dość nietypowo, rozpoczynając działalność od „ubezpieczania majątku wielkich przedsiębiorstw”. Hestia rozwijała się tak szybko, że konieczne było wsparcie kapitałowe. Pomocną dłoń wyciągnęła niemiecka firma ubezpieczeniowa Alte Leipziger (potem przejęta przez Munich Re, będącą z kolei częścią grupy kapitałowej Ergo). Wojciech K. sprzedał swoje udziały. Dziś Ergo Hestia jest jednym z liderów rynku, a o zamierzchłej przeszłości firmy niewielu pamięta. Bardzo istotną zaś częścią tej przeszłości jest nie kto inny jak Jerzy Zajadło. Z oficjalnych dokumentów wynika, że od 1991 (a więc od początku istnienia firmy) do 1997 r. był on przewodniczącym rady nadzorczej S.T.U. Hestia Insurance SA. Nieoficjalnie ludzie dobrze pamiętający tamte czasy mówią, że Zajadło był mózgiem całego przedsięwzięcia, odpowiedzialnym – rzecz jasna – przede wszystkim za sferę związaną z regulacjami prawnymi.

Na nasze pytanie o związki z Wojciechem K. Jerzy Zajadło podaje, że poznał go w 1989 r., a stosunki z biznesmenem może „śmiało określić jako trwającą po dziś dzień przyjaźń”. O znajomości „Kury” z „Nikosiem” Zajadło dowiedział się „parę lat później”.

– Nie wiem, jakiego rodzaju była to znajomość – tylko koleżeństwo czy coś więcej – dodaje.

Pytamy profesora o jego znajomość z „Nikosiem”. – Pana Nikodema S. rzeczywiście poznałem, ale trudno określić to bliższą znajomością – raczej coś przypadkowego i incydentalnego – twierdzi Jerzy Zajadło.

REKIN Z ZATOKI GDAŃSKIEJ?

W kontekście nie do końca jasnych interesów i powiązań nazwisko Jerzego Zajadły po raz ostatni padło w 2012 r. W miesięczniku „Forbes” opublikowano tekst „Rekiny z Zatoki Gdańskiej”. Sensacyjny reportaż traktował o pewnej grupie przestępczej trudniącej się wyłudzeniem nieruchomości i pieniędzy na masową skalę. Jej historia miała stanowić element specyficznego, trójmiejskiego krajobrazu biznesowo-polityczno-kryminalnego.

„W Trójmieście patologie typu Amber Gold kwitną, bo zaspokajają wspólne potrzeby biznesmenów, służb i przestępców, którzy te przedsięwzięcia realizują. Wszyscy od lat się lubią, znają i wzajemnie sobie pomagają” – pisał Wojciech Surmacz, autor artykułu.

W skomplikowanej siatce powiązań, wzajemnych relacji i biznesów umieszczono związanego, podobnie jak Zajadło, z postkomunistyczną lewicą właściciela jednej z dużych firm deweloperskich, który w 2004 r. dostał zarzuty w głośnej aferze Stella Maris.

„Współpracuje z najtęższymi umysłami od inżynierii finansowej. W jego otoczeniu można odnaleźć m.in. prof. Jerzego Zajadłę i Wojciecha K., twórców znanej sopockiej firmy ubezpieczeniowej Hestia” – czytamy w artykule „Forbesa”. Opisana przez Surmacza sprawa nie została szerzej podchwycona przez inne media. Temat przygaś.

Pytamy Zajadłę o komentarz do tekstu Surmacza. Odpowiada, że nie zna tego tekstu. Odnosząc się do cytatów z artykułu, profesor podkreśla: – Nie tylko nie czuję się związany z tak scharakteryzowanym środowiskiem trójmiejskim, lecz wręcz nie mam z nim żadnych związków. Zajmuję się pracą naukową i dydaktyczną na Uniwersytecie Gdańskim i to jest moje środowisko – twierdzi.

BIZNES, BIZNES, DEMOKRACJA

Co dzisiaj robią bohaterowie naszego tekstu? Andrzej J. po wyjściu z więzienia nadal działa w biznesie. Według danych z KRS prowadzi firmę produkującą i instalującą automatyczne systemy mycia pojazdów.

Wojciech K. był przez pewien czas właścicielem jednego z najbardziej prestiżowych sopockich hoteli. Dziś prężnie działa na rynku deweloperskim. Inwestuje w Trójmieście i okolicach, bywa na imprezach, gdzie spotyka się miejscowa elita.

A profesor Jerzy Zajadło? Kieruje Katedrą Teorii i Filozofii Państwa i Prawa na Uniwersytecie Gdańskim, odbiera kolejne nagrody i wyróżnienia, publikuje. No i przede wszystkim broni demokracji.

Piotr Filipczyk

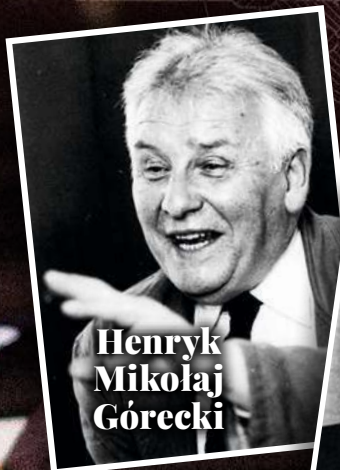
SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM
- ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNAŁAZCOM, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI

niepodległa

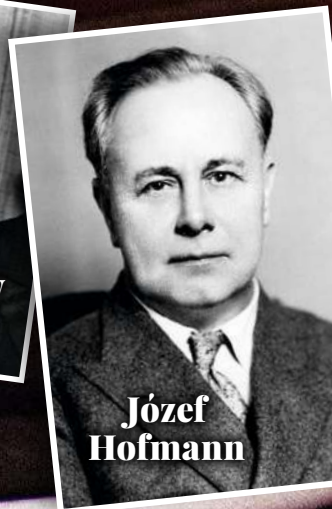
POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



Henryk
Mikołaj
Górecki



Bronisław
Kaper



Józef
Hofmann

odc. 8

Na muzycznym szczycie

PARTNER DODATKU



ORLEN

Od Chopina do Hollywood

Jeśli pominąć Jana Pawła II, co bardziej znanych piłkarzy i największych geniuszy nauki pokroju Mikołaja Kopernika czy Marii Skłodowskiej-Curie, okaże się, że grupą Polaków najbardziej znanych na całym praktycznie świecie byli i są muzycy. O Fryderyku Chopinie nie ma nawet co wspominać – geniusz absolutny i doskonały, którego nazwisko jest na stałe wpisane do kanonu największych kompozytorów wszech czasów. Ale przecież nie był jedyny

Kilkadziesiąt lat później jego dzieło kontynuował Karol Szymanowski. I to zarówno pod względem samych kompozycji – inspiracje Chopinem były oczywiste, choć znacznie rozszerzył ich zakres, choćby o harmonie bliskowschodnie – ale też popularności. W podręcznikach historii muzyki powszechnie uznawany jest za drugiego największego polskiego kompozytora.

Ale jego czasy generalnie obfitowały w muzyczne osobowości. Jeśli Chopin i Szymanowski genialną muzykę tworzyli, to po względem jej wykonania co najmniej dorównywali im tacy pianiści, jak choćby Artur Schnabel czy Ignacy Paderewski. Ten ostatni potrafił przecież swoją grą tak oczarować świat, że choć nieformalnie, stał się rzeczywistym największym ambasadorem sprawy polskiej u schyłku zaborów. W dodatku skutecznym.

Pod względem talentu i popularności śmiało konkurował z nim wówczas Józef Hofmann. On co prawda nie miał ambicji politycznych, rekompensował je za to niezwykłym wprost talentem do wynalazków. Jeśli w przypadku Paderewskiego można powiedzieć, że muzyka wpłynęła na polityczny bieg dziejów, to w odniesieniu do Hofmanna nie będzie przesadą stwierdzenie, że zmieniła go w kwestii codziennych drobiazków. Dla przykładu – zainspirowany równomiernym ruchem metronomu to on właśnie wymyślił wycieraczki samochodowe. Drobiazg, ale czy ktoś wyobraża sobie świat bez wycieraczek? A podobnych rzeczy wymyślił Hofmann coś koło setki.



Wojciech Lada

Do innej już epoki należał Bolesław Kaper. W dorosłość wszedł w niepodległej Polsce i inspiracji szukał już nie w tradycji, lecz przeciwnie – w przyszłości. Jego fascynacja muzyką kabaretową i młodym wówczas jazzem doprowadziła go do Hollywood, gdzie stworzył muzykę do 150 filmów – trudno to precyzyjnie policzyć, ale być może był najpowszechniej słuchanym polskim twórcą w dziejach, a jego piosenki interpretowali najwięksi, choćby Miles Davies.

Wszystko to jednak dość odległe dzieje, a przecież i dziś nie brakuje nam twórców należących do grona światowych geniuszy. W latach 60. XX w. Polacy stworzyli najzupełniej oryginalny nurt w muzyce współczesnej, tzw. sonoryzm.

Wojciech Kilar, Krzysztof Penderecki,

Henryk Mikołaj Górecki – to najwybitniejsze komponujące w jego ramach gwiazdy. Tak się złożyło, że pod koniec lat 70. ubiegłego wieku wszyscy oni dokonali radykalnej wolty i, odwołując się do tradycyjnej muzyki religijnej i polskiego folkloru, zaczęli tworzyć piękne, minimalistyczne kompozycje. Zupełnie niezwykła rzecz spotkała w tym kontekście Góreckiego – na początku lat 90. XX w. nagle odkrył go świat, jego utwory trafiły do ścisłej czołówki bestsellerów, były tak popularne jak przeboje gwiazd muzyki pop, a uniwersytety Europy, Azji i Ameryki prześcigały się w przyznawaniu mu doktoratów honoris causa. Górecki zmarł zaledwie osiem lat temu. Kto wie, czy właśnie w tej chwili gdzieś w Sochaczewie, Małkini lub Karpaczu nie powstaje jakaś nowa polska muzyka, która równie silnie wpłynie na świat.

Szok III Symfonii

WOJCIECH ŁADA

**Henryk
Mikołaj
Górecki**



Żaden polski kompozytor nie zdobył w XX w. takiej popularności na świecie jak Henryk Mikołaj Górecki. Rzecz ciekawa, zdobył ją nie twórczością awangardową, z jakiej pierwotnie słynął, lecz minimalistycznymi kompozycjami odwołującymi się bezpośrednio do polskiej muzyki religijnej i ludowej

Nie do końca wiadomo, jak to się stało, ale na początku lat 90. XX w. Henryk Mikołaj Górecki stał się gwiazdą globalnego formatu. Samo w sobie nie było to oczywiście aż tak dziwne – był już wówczas kompozytorem o ustalonej marce, jednym z twórców sonoryzmu, ale jednocześnie człowiekiem pod sześćdziesiątkę, którego najbardziej twórczy okres minął jakieś trzy dekady wcześniej. Mało tego. Kompozycja, dzięki której świat odkrył Góreckiego – III Symfonia (Symfonia Pieśni Żałobnych) – swoje pierwsze wykonanie miała w kwietniu 1977 r., a więc dobre ćwierć wieku wcześniej.

A jednak to właśnie początek lat 90. wykreował Góreckiego na muzyczne zjawisko. Tylko w jednym roku na samym szczycie prestiżowej listy przebojów muzycznego pisma „Billboard” znalazły się trzy kompozycje Polaka. Były to nagrania jego kwartetów dokonane przez grupę Kronos Quartet, „Beatus Vir” i wreszcie III Symfonia w wykonaniu London Sinfonietta z wokalistką Dawn Upshaw. Szokująca była popularność zwłaszcza tej ostatniej. Na pierwszym miejscu listy bestsellerów brylowała ona przez blisko rok, co rzadko zdarza się nawet gwiazdom muzyki popularnej.

Nie wiadomo więc do końca, jak to się stało, ale faktem jest, że Polak przełamał wtedy granicę dzielącą minimalistyczną muzykę współczesną od popkultury.

fol. Piotr Liszkiewicz / SE / EAST NEWS

MUZYKA RADOŚCI I RYTMU

Podobno był człowiekiem bardzo energicznym, pozbawionym choćby śladu gwiazdorskich fanaberii, sam określał siebie jako choleryka, a wyglądem nie przykuwał uwagi, jeśli pominąć drobne utykanie na jedną nogę. To ostatnie było zresztą pamiątką po dość trudnym dzieciństwie. Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej zachorował mianowicie na gruźlicę kości, której leczenie w tamtym czasie było długie i kosztowne. Miesiące spędzone w szpitalu miały wpływ na charakter przyszłego kompozytora, podobnie jak wojna, która zastała go w wieku sześciu zaledwie lat.

Choć jego ojciec był kolejarzem, rodzina przejawiała podobno zdolności muzyczne i muzykę ceniła. Matka Henryka grywała nawet na fortepianie, który to instrument zawsze znajdował się w ich domu. Być może właśnie śmierć matki, a może chęć skłonienia chłopca do wyboru bardziej praktycznego zawodu spowodowały, że ojciec nie zgadzał się na edukację muzyczną syna. Podjął ją dopiero po wojnie. Jak wspominał: „Odziedziczyłem wrażliwość muzyczną po rodzicach. Będąc dzieckiem, gdy leżałem w szpitalu, słuchałem, jak orkiestry dęte w niedzielę grały na podwórkach. Do dziś pamiętam, mimo że minęło ponad 60 lat. Nie miałem jednak możliwości regularnego kształcenia. Śmierć matki, nowa rodzina, choroba, wojna. Koniec. Nadszedł 1945 r. i byłem starym koniem. A mimo wszystko ciągnęło wilka do lasu. I wyciągnęło. Nie narzekam. Formowałem się, patrząc na poprzedników i tych, którzy byli wokół mnie. Uczyłem się na nich. Później dopiero moją pracę ukierunkowała szkoła średnia”.

Mowa tu o szkole, do której uczęszczał w Rybniku. Urodzony w 1933 r. w podrybnickiej Czernicy, a wychowujący się w pobliskich Rydułtach w pierwszych powojennych latach nie miał wielkiego wyboru, jeśli chodzi o miejsce edukacji. Maturę zrobił w Rydułtach, początkowo zarabiał na życie jako nauczyciel, jednocześnie ucząc się muzyki w Rybniku właśnie. Musiała być to naprawdę niezła szkoła, albo Górecki już wówczas wykazywał się nieprzeciętnym talentem, bo wkrótce zaczęły powstawać jego pierwsze, od razu wybitne kompozycje. Kiedy trafił do Rybnika, był rok 1952, a on miał 19 lat. Kiedy miał 25, utwory te dały mu rozgłos w środowiskach współczesnych awangardzistów, także poza Polską.

W 1955 r. Górecki rozpoczął studia w prestiżowej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach. Już na trzecim roku doznał pierwszego w dziejach tej uczelni autorskiego koncertu. Wykonano wówczas, skomponowane dwa lata wcześniej (na pierwszym roku!) „Pieśni o radości i rytmie” oraz „Koncert na pięć instrumentów i kwartet smyczkowy”. Kiedy w tym samym 1958 r. podczas festiwalu Warszawska Jesień wykonano jego „Epitafium” do słów Juliana Tuwima, z miejsca zyskał sobie opinię najbardziej radykalnego polskiego kompozytora. A był to czas, kiedy radykalna awangarda zapewniała największe uznanie.

Jeszcze podczas studiów – które ukończył w 1960 r. – nawiązał kontakt ze środowiskiem muzycznym Paryża. Tam już w 1959 r. zdobył I nagrodę na Biennale Młodych za I symfonię „1959” op. 14, ale przede wszystkim spotkał Pierre’a Bouleza – genialnego kompozytora, jednego z pionierów muzyki elektronicznej, ale też organizatora życia muzycznego. Prawdopodobnie za jego pośrednictwem zetknął się też z jednym z filarów XX-wiecznej awangardy Karlheinzem Stockhausenem. Uznanie ich obu dla młodego Polaka otworzyło mu drzwi do europejskich sal koncertowych. Jeszcze przed ukończeniem studiów – a skończył je z wyróżnieniem – był osobowością światowej muzyki współczesnej.

UCIECZKA OD SONORYZMU

Mimo to Górecki był człowiekiem skromnym. „Jestem niedouczonej. Zaczęłem profesjonalnie zajmować się muzyką, kiedy miałem 18, 19 lat. Dziś osiemnastolatek robi muzyczną maturę. A ja nic, dudlałem coś na skrzypcach i stukalem na fortepianie” – twierdził po latach. Nie przeszkodziło mu to tuż po studiach rozpocząć kariery akademickiej. Od 1968 r. pracował na swojej uczelni jako docent, zaś już dziewięć lat później, po rocznym stażu w Niemczech, otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego. Nie oznaczało to jednak, by osiadł na laurach. Nieustannie komponował, a praktycznie każdy z jego utworów



zbierał laury na międzynarodowych festiwalach muzyki współczesnej.

Zazwyczaj szokował. Jego utwory były trudne. Górecki przesuwiał granice sonoryzmu – charakterystycznego głównie dla Polski awangardowego nurtu, skupiającego się przede wszystkim na brzmieniu, przy czym wydobywano je co prawda z tradycyjnych instrumentów, ale w bardzo nietradycyjny sposób. Skrobienie w pudła rezonansowe, uderzanie w struny – dla bardziej leniwego słuchacza oznaczało to kilkadziesiąt minut trzeszczenia, piszczenia i walenia, w rzeczywistości jednak sonoryzm przetarł wiele tropów, z których dziś korzysta muzyka zarówno współczesna, jak i elektroniczna czy nawet rockowa.

Górecki nie był pierwszy. W tym właśnie gatunku zaczęli najwięksi: Krzysztof Penderecki czy Wojciech Kilar. Rzecz ciekawa, wszyscy oni przeszli podobną ewolucję i gdzieś w drugiej połowie lat 70. XX w. zaszokowali po raz kolejny – radykalnym odejściem od sonoryzmu, w stronę melodii. Zazwyczaj zakorzenionej w tradycji muzyki sakralnej bądź ludowej, zawsze jednak przynoszącej delikatną, subtelną i po prostu ładną harmonię.

„Piękno, które teraz jest tak negowane, wręcz wyśmiewane, przyszło później.



Wręczenie Mikołajowi Henrykowi Góreckiemu Orderu św. Grzegorza Wielkiego przez kardynałów Stanisława Dziwisza i Franciszka Macharskiego

„Co to jest awangarda? Ja piszę muzykę – przez całe życie piszę muzykę taką, jaką ja chcę. A że używam materiału, który przez jakichś tam krytyków zaliczany jest do awangardy? Ja się całe życie pytam: co to jest awangarda? Ja nie widzę, żebym się do czegoś wracał albo odwracał... Fakt, że człowiek ma w swoim twórczym życiu różne fazy, zmienia kierunki spojrzenia...”

I rzeczywiście pisał, co chciał, czyli generalnie kontynuował tworzenie skromnych, minimalistycznych kompozycji o nieco zadumanym, nieco elegijnym klimacie. Słuchacze doceniali ich urok, ale krytycy bywali dla nich bezlitośni. Sam Górecki niespecjalnie się tym przejmował: „Jestem człowiekiem bardzo demokratycznym. Każdy ma prawo do wypowiadania swoich opinii. Jeśli są one bzdurne, to ten ktoś wystawia świadectwo tylko samemu sobie. Nigdy nie napisałem czegoś, czego bym sam nie chciał. I nigdy tego nie zrobię, żeby nie wiem, ile dolarów mi za to dawali”.

SPOJRZEĆ W OCZY BARTÓKOWI

Przez całe lata 80. kompozytor skupiał się na pracy edukacyjnej i komponował, nie odnotowując jednak poważniejszych sukcesów. Tąpnięcie nastąpiło w 1992 r. Po nagraniu Symfonii Pieśni Żałosnych przez London Sinfonietta świat oszalała na punkcie Góreckiego. Zaczęli słuchać go nawet ludzie na co dzień niemający nic wspólnego z muzyką klasyczną. Brytyjskie radio Classic FM na prośbę słuchaczy nadawało fragmenty utworu na okrągło, a sprzedaż płyty biła wszelkie rekordy – zarówno w Europie, jak i w USA. W Azji zresztą także – Górecki otrzymał nagrodę Uniwersytetu Soka w Tokio.

W Polsce uhonorowano go wszystkimi państwowymi orderami, wszystkie ważniejsze uczelnie polskie na przestrzeni kilku lat przyznały mu doktorat honoris causa. Zagraniczne również, a konkretnie: Uniwersytet Katolicki w Waszyngtonie, Uniwersytet w Michigan w Ann Arbor, Uniwersytet Victorii i Uniwersytet

”

„Piękno, które teraz jest tak negowane, wręcz wyśmiewane, przyszło później. Najpierw, po szeroko pojętej dodekafonii, serializmie i tak dalej, doszliśmy – tego nie było w innych krajach – do sonoryzmu. Zrobiliśmy ten krok, ale znowu rodziło się pytanie: co dalej? Siedzę głęboko zakorzeniony w tradycji i tam szukam klucza do teraźniejszości”

Henryk M. Górecki

Najpierw, po szeroko pojętej dodekafonii, serializmie i tak dalej, doszliśmy – tego nie było w innych krajach – do sonoryzmu. Zrobiliśmy ten krok, ale znowu rodziło się pytanie: co dalej? Siedzę głęboko zakorzeniony w tradycji i tam szukam klucza do teraźniejszości” – tłumaczył Górecki.

I muzyką sakralną, i ludową kompozytor interesował się już wcześniej. Jeszcze w 1969 r. powstała „Muzyka staropolska”, gdzie Górecki nawiązywał do twórczości Wacława z Szamotuł i „Benedicamus Domine” z antyfonarza klarysek ze Starego Sącza, wielokrotnie korzystał też z elementów folkloru podhalańskiego – wówczas jednak przekładał je na język eksperymentu.

W 1976 r. stworzył 3. Symfonię, tzw. Symfonię Pieśni Żałosnych, która wykonana rok później podczas Warszawskiej Jesieni wzbudziła skrajne emocje. Sam Górecki określał ją najbardziej awangardowym ze swoich utworów, ale większość była odmiennego zdania. Stefan Kisielewski przyjął ją życzliwie, komentując z uznaniem: „Ten potrafi tworzyć prosto”. Byli jednak też tacy, którzy zarzucali kompozytorowi zbyt uproszczenia, a nawet muzyczny banał. Co na to kompozytor?

w Montrealu. Dosłownie z dnia na dzień Górecki stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych Polaków na świecie.

Być może z racji wieku on sam miał do całego tego zamieszania spory dystans, a nawet sprawiał wrażenie, że go męczy. Świadczy o tym choćby to, że poza nielicznymi wyjątkami bardzo niechętnie udzielał zgody na wykonania i nagrania swoich utworów. O jego podejściu do tych spraw, ale też do życia w ogóle, sporo mówi następująca opinia: „Odmówiłem już kilkadziesiąt razy, i to muzykom największego kalibru: dyrygentom, solistom. Zgłaszali się do mnie przedstawiciele wielkich prestiżowych filharmonii, oper, festiwali. Niektórzy, czytając te słowa, będą rzynąć ze śmiechu. Pomyślą sobie, ale idiota, trzeba przecież iść za ciosem. Ale ja tego nie rozumiem. Co z tego, że miałbym 10 worków po milion dolarów. I co? Co za szambo, co za ścierwo by ze mnie było. Zeszmaciłbym się na amen, zbisurmanił. Czy mógłbym spojrzeć Bartókowi w oczy albo Messiaenowi, czy Bachowi? Wszyscy mogli robić biznes na sztuce. A jednak tego nie robili”.

W 2010 r. miała się odbyć premiera IV Symfonii Henryka M. Góreckiego, ale stan zdrowia kompozytora opóźnił przygotowania. Zmarł 12 listopada 2010 r. Jego ostatnie dzieło, zorkiestrowane według jego wskazówek przez syna, Mikołaja Góreckiego, zostało wykonane 12 kwietnia 2014 r. przez London Philharmonic Orchestra pod batutą Andrzeja Borejki.

Z kabaretu do Hollywood

WOJCIECH LADA

Miał na koncie Oscara, a jego utwory wykonywali tak wybitni artyści jak Miles Davies, John Coltrane czy Pat Metheny. Muzyka Bronisława Kapera przetrwała też w 150 hollywoodzkich filmach



Bronisław Kaper

Kiedy się urodził, w Warszawie niewiele się działo. Pod względem kulturalnym, rzecz jasna, bo strzały do zaborców i ciskane w ich stronę bomby zamieniły ją w jedno z najniebezpieczniejszych miast ówczesnej Europy. Kaper był jednak za mały, by mieć tego świadomość, kiedy zaś dostatecznie dorósł, Polska była już niepodległa. Tu zdał maturę, tu wstąpił na uniwersytet, na którym studiował prawo. Wtedy jednak w Warszawie zaczynało się coś już dziać. Mimo kryzysu gospodarczego otwierano kabarety i kluby, wypełniały się kina, teatry i sale koncertowe. Kapera ciągnęło jednak głównie do kabaretów, gdzie powoli przebiegał się jazz. Być może właśnie w jego poszukiwaniu, po ukończeniu studiów w Polsce, udał się do Berlina – wówczas europejskiego centrum tej kultury.

CZŁOWIEK Z OSCAREM

W Berlinie nawiązał współpracę z kilkoma kabaretami i z powodzeniem komponował dla nich muzykę, ale ważniejsza okazała się znajomość zawarta z austriackim kompozytorem Walterem Furmanem, który tworzył wówczas duet z autorem tekstów Fritzem Rotterem. Kaper dołączył do zespołu i przez pewien czas tworzyli razem popularne w Berlinie trio.

Sytuację zmieniło dojście do władzy Adolfa Hitlera. Życie rozrywkowe powoli zamierało, a atmosfera stała się na tyle duszna, że Kaper zdecydował się wyemigrować do Paryża. Był to przełom w jego życiu. We Francji spotkał Louisa B. Mayera, współwłaściciela wytwórni filmowej Metro-Goldwyn-Mayer. Jego uwagę przykuła piosenka Jana Kiepury „Ninon” skomponowana właśnie przez Kapera. Nawiązana wówczas współpraca przetrwała do lat 60. XX w. – młody muzyk osiadł w Stanach Zjednoczonych i rozpoczął pracę dla Hollywood. Był bardzo płodnym kompozytorem, a jego muzyka cieszyła się dużą popularnością. Czterokrotnie nominowany do Oscara, po raz pierwszy w 1941 r. za „Czekoladowego żołnierza”, dwie ostatnie nominacje otrzymał zaś w 1962 r. za wielki hit tamtego roku, „Bunt na Bounty” z Marlonem Brando i Richardem Harrisem. Statuetkę otrzymał jednak tylko raz, w 1954 r., za muzykę do musicalu „Laleczki, moje laleczki”. Z innych ważnych filmów, do których stworzył muzykę, trzeba wspomnieć o „The Stranger” z Orsonem Wellsem i „The Swan” z Grace Kelly, a także klasycznym filmie grozy, „Them!” Gordona Douglasa. Poza filmem pracował też sporo na Broadwayu. Pośród wielu spektakli, w których produkcji brał udział, znalazł się też musical „Polonaise” – oparty na kompozycjach Fryderyka Chopina, w którym wystąpili Jan Kiepura i jego małżonka Martha Eggerth.

JAZZMANI NIE ZAPOMINAJĄ

Po Oscarze był już środowiskową gwiazdą i pracował praktycznie dla wszystkich największych wytwórni Hollywood. Był także członkiem Akademii Filmowej, co miało ten m.in. skutek, że dzięki niemu, w latach 60. i 70. wyraźnie wzrosła liczba nominacji dla polskich filmów. Zresztą polskość odgrywała sporą rolę w jego życiu. Przyjaźnił się i pomagał polskim emigrantom, gdzie mógł promować polską kulturę, a jego dom był otwarty dla polskich przyjaciół, z których dość wspomnieć Violettę Villas, Sławomira Mrożka i Stefana Kisielewskiego.

Ten ostatni ceniał Kapera bardzo, zwłaszcza, że sam był kompozytorem i wielkim entuzjastą jazzu. A Kaper stał się za życia klasykiem tego gatunku. Jego piosenki „On The Green Dolphin Street” z filmu pod tym samym tytułem czy „Invitation” z obrazu „A Life of Her Own” wykonywały we własnych interpretacjach takie gwiazdy jak John Coltrane, George Benson, Miles Davies czy Pat Metheny – by wspomnieć tylko najgłośniejsze nazwiska.

Bronisław Kaper zmarł w 1983 r. w Los Angeles. Zapomniany w Polsce, wciąż jest niezwykle ceniony za granicą. W Los Angeles odbywa się festiwal Bronisław Kaper Awards, a jego muzyka ze starych filmów nadal robi wrażenie.

Muzyka matką wynalazków

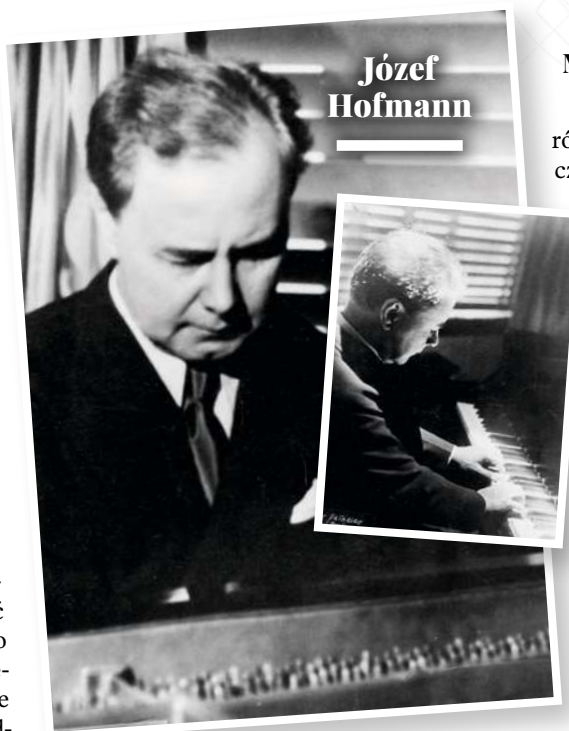
WOJCIECH LADA

Jako muzyczny geniusz konkurował pod względem popularności z Ignacym Paderewskim, a jako wynalazca – z Thomasem Edisonem. Józef Hofmann wzbogacił świat wielkim talentem, ale też przedmiotami, które dosłownie go zmieniły

Był cudownym dzieckiem, a jeszcze cudowniejsze było jego szczęście. Urodził się w muzycznej rodzinie, w dodatku dość zamożnej, co pozwoliło, po pierwsze – natychmiast odkryć jego niezwykły talent pianistyczny, po drugie – natychmiast talent ten wesprzeć solidną edukacją. Uczył się od trzeciego roku życia na tyle skutecznie, że już po pięciu latach mógł zaimponować takim tuzom, jak Antoni Rubinstein. „Ośmioletni synek dyrektora baletu, p. Hofmanna, popisując swoją grą i kompozycjami przed Antonim Rubinsteinem. Mistrz rokuje świetną przyszłość dziecięciu” – donosiło „Echo Muzyczne i Teatralne” z 27 kwietnia 1885 r. Rubinstein będzie zresztą ważną postacią w życiu młodego pianisty – on właśnie zajmie się wkrótce jego poważną już nauką, zaś I nagroda w konkursie jego imienia, dziesięć lat później, pozwoli mu się stać jedną z największych osobowości ówczesnej muzyki na świecie.

TREMA RUBINSTEINA

Ale tak naprawdę doceniony został natychmiast. Mając lat osiem, koncertował już z powodzeniem w Warszawie, mając zaś lat jedenaście, odbył 50-koncertową trasę po Stanach Zjednoczonych. Nawiasem mówiąc, dokonał tego w ciągu sześciu tygodni, co zostało oprotowane jako wykorzystywanie nieletnich. Hoffman



jednak nie przejmował się przesadnie protestami.

Po powrocie do Europy koncertował równie intensywnie, kiedy zaś osiągnął stosowny wiek, podjął wreszcie studia, które odbył w konserwatorium w Berlinie. W jego przypadku były one jednak raczej formalnością. Już wówczas cieszył się uznaniem w krajach skandynawskich, w Anglii, a także Rosji – nie słabła także jego popularność w USA, gdzie koncertował każdego roku, by ostatecznie tam właśnie osiąść na stałe. O rozmiarach jego popularności najlepiej może świadczyć opowieść Artura Rubinsteina, który odwiedził rodzinny dom Hofmannów w 1898 r.: „Byłem ogromnie przejęty myślą o spotkaniu ze sławnym Józefem Hofmannem. Pochodził z Krakowa, miał wówczas dopiero 22 lata, ale już był sławą. W Rosji uważano go za jedynego godnego następcę swego nauczyciela Antoniego Rubinsteina, w Stanach Zjednoczonych zaś, za jedynego rywala uwielbianego tam Paderewskiego. Łatwo się domyślić, jak byłem przerażony, gdy przyszło mi grać w jego obecności”.

METRONOM I WYCIERACZKI

Komponował niewiele, być może również dlatego, że tak naprawdę dzielił czas między muzykę i pasję motoryzacyjną – w tej dziedzinie okazał się wcale nie mniejszym geniuszem. W wieku 25 lat sam skonstruował samochód, którym objechał Europę. Będąc studentem w Berlinie, opatentował system nawigacji samochodowej, przodka dzisiejszego GPS, wkrótce opracował też metodę pneumatycznej amortyzacji, która wykorzystywana była powszechnie w samolotach i samochodach w latach 40. Wymyślił też wycieraczki do samochodów, które z miejsca zaczęła stosować firma Ford. Podobno zainspirował go do tego wynalazku widok rytmicznie poruszającego się metronomu. Być może idąc tym tropem, to widok klucza wiolinowego zapłodnił ten genialny umysł do zaprojektowania elektrycznej grzałki do gotowania wody, w formie stosowanej właściwie do dziś. Nikt dokładnie nie policzył jego innowacji. Szacunki wahają się od 70 do 100 patentów. Wśród nich wymienia się zegar elektryczny, łódź motorową... Nie zapominał w nich rzecz jasna o muzyce. Jego sposób zmniejszenia oporu klawiszy fortepianowych stosowany jest do dziś przez firmę Steinway, a kolejny epokowy wynalazek – regulowany taboret dla pianistów – przez wszystkich i wszędzie. Nawiasem mówiąc, pracował intensywnie nad automatem rejestrującym dźwięk i korespondował w tej sprawie z Thomasem Edisonem, z którym ostatecznie zaprzyjaźnił się serdecznie. Do tego stopnia, że to właśnie Edison na wynalezionym przez siebie fonografie zarejestrował jeden z koncertów Hofmanna. Był to pierwszy w dziejach zarejestrowany występ muzyczny.

Józef Hofmann zmarł w 1957 r. w Los Angeles. Od dziesięciu lat już nie koncertował, nieustannie jednak pracował nad wynalazkami. Do końca starał się uzyskać jak najsubtelniejsze brzmienie fortepianowych nagrań.

Kierunek
ORLEN

NOWE PALIWO


efecta

efecta
DIESEL

efecta
95

CZYSZCZĄC SILNIK,
dba o:

-  żywotność
-  wydajność

Dowiedz się więcej na dlakierowcow.orken.pl



ORLEN

A full-page photograph of actor Adam Woronowicz. He is wearing a dark grey fedora, a white shirt, a striped tie, a dark vest, and a grey checkered suit jacket. He has a dark beard and mustache. He is looking slightly to his left with a serious expression. His right hand is on his hip, and his left hand is holding a dark leather strap. The background is a blurred outdoor scene with trees and a cloudy sky.

Woronowicz: byłem w szoku

Jak to się robi, że w roli drugoplanowej zdobywa się nagrodę za główną kreację, przy okazji pokonując świetną konkurencję? Wie coś na ten temat

Adam Woronowicz, aktorski czarny koń tegorocznego festiwalu w Gdyni. Odbierając statuetkę, był zaskoczony. Grał? Jeśli tak, to jak zawsze przekonująco

Z Adamem Woronowiczem **rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna**

To banał, ale znów się przekonaaliśmy, że życie pisze najlepsze i – bywa, że najbardziej zaskakujące – scenariusze. Był pan zaskoczony?

Adam Woronowicz: Totalnie. Do końca nie wierzyłem: nagroda za główną rolę męską... gdy w konkursie [zakończono kilka dni temu 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni – przyp. red.] znalazły się takie tytuły, jak m.in. „Zimna wojna” z fantastyczną rolą Tomasza Kota, ale też wiele, wiele innych. Składałem hołd wszystkim moim znakomitym kolegom, którzy wspaniale zaprezentowali się w filmach pokazanych na festiwalu.

Zgodnie z tytułem to Kamerdyner powinien być główną postacią, a jednak to pan zagarnął ekran.

Nie wiem, co mam powiedzieć. Wydawało mi się – gdy przystępowałem do pracy w filmie Filipa Bajona – że hrabia Hermann von Krauss to postać umiejscowiona na przebogatym, ale jednak drugim planie. Film opowiada historię Polaków, Kaszubów, Niemców na pograniczu wytyczonym w Wersalu po I wojnie światowej. Akcja rozgrywa się w szerokim czasowym przedziale, od roku 1900 po 1945. I jest w niej miejsce dla wielu znaczących postaci.

Kiedy podczas gali wręczano statuetkę Olgierdowi Łukaszewiczowi za drugoplanową rolę [w filmie „Jak pies z kotem” Janusza Kondratiuka – przyp. red.], pomyślałem, że pewnie któryś z naszych producentów albo Filip Bajon otrzymał jakąś większą nagrodę i dlatego mnie ściągnięto. Byłem w szoku, gdy wyczytano moje nazwisko. Trzeba będzie teraz jakoś ten ciężar unieść. Najpierw na bankiecie [śmiech]. Oczywiście jestem bardzo wdzięczny jury, że doceniło moją pracę.

Grana przez pana postać pojawia się w bardzo wielu scenach, niejako anektując historię filmową. Na planie wyglądało to inaczej?

Film powstawał trzy lata. Pięć razy zaczynaliśmy i kończyliśmy zdjęcia,

chwilami z przeświadczeniem, że nie uda się dojść do ostatniego klapsa, bo brakowało pieniędzy, były jakieś niepodpisane umowy... Nie będę ukrywał, że to było bardzo trudne psychicznie, ale zwyciężyła wiara i determinacja Filipa Bajona oraz producentów, że się uda. I myślę, że finalny efekt ma szansę podobać się publiczności, a filmy powstają przecież dla ludzi.

Pana bohater przeżywa na ekranie 45 lat życia. „Kamerdyner” dostał też nagrodę za charakteryzację (i muzykę dla Antoniego Komasy-Łazarkiewicza).

Jestem bardzo wdzięczny Mirze Wojtczak i Ewie Drobiec. Bez nich pewnie moja wiara w szansę filmowego domknięcia tej postaci mocno by osłabła. Ale też ogromnie ważne były kostiumy i cały wysiłek ekipy reżysera Filipa Bajona oraz autora zdjęć Łukasza Gutta.

Zdarzało się już panu grać w wielu produkcjach rocznie. Ekranowy rekord (12 premier) padł w 2015 r. W tym roku jest „tylko” sześć. Ale za to jakie...

Nie mamy wpływu na to, kiedy kolejne tytuły wchodzi do kin, zależy to m.in. od tempa i czasu realizacji. Choćby wspomniana produkcja „Kamerdynera”, która rozciągnęła się na trzy lata. Im jednak dalej w las, tym zadania stają się na tyle poważne, że nie muszę się rozdrabniać.

Tegoroczne premiery z pana udziałem to także m.in. „Zimna wojna” Pawlikowskiego i „7 uczuć” Kotarskiego (z plejadą gwiazd ubranych w szkolne mundurki) oraz kolejny sezon „Diagnozy”. Ma pan możliwość wchodzenia w bardzo odległe od siebie światy. Jak układają się relacje między nimi? Jak łączą się z realnym życiem?

Najważniejsze jest to, że przeżywa się własne życie, a ekranowe są fikcją, pracą – czasami fascynującą, inspirującą, natomiast rozgrywaną jednak w dalszym, niż realnym, planie. O ak-



torskim zawodzie trudno się mówi. Nie sposób wytłumaczyć go komuś, kto w nim nie jest, niezależnie jednak od tego, kluczowe jest to, co się przeżywa tu i teraz.

Jeżeli wchodzi pan w dużą, mocną, ale też długofalową rolę, jak w serialowej „Diagnozie”, wciąż jest pan cały dla rodziny?

Jest mnie mniej fizycznie, bo w czasie zdjęć rzadziej bywam w domu, natomiast cały czas jestem z moimi bliskimi. I mówię to bez kokieterii. To jest dla mnie priorytet. Nawet jeśli rola jest wielka i zajmująca. Natomiast tym, co spędza mi sen z powiek, co niekiedy jest rodzajem straty, chociaż też staramy się nad tym pracować, to jest fizyczny brak. W miarę upływu czasu i gromadzenia doświadczeń widzę jednak, że wszystko można sobie ustawić. Jeśli tylko się chce.

Pana bohaterowie bywają krytyczni, ale też mocno niejednoznaczni, jak dr Artman.

Artman funkcjonuje w nieustannym uwikłaniu. Taki jest na niego pomysł i takie postaci są niezwykle ciekawe, intrygujące. Bardzo dobrze się je też gra, bo za każdym razem coś nowego się w nich odsłania; dochodzą szczegóły, z których wyłania się nowy obraz.



Fot. Rafał Pjanek/www.kineka.pl

Scenarzyści nad tym czuwają. Ja sam również odkrywam swojego bohatera. W pierwszym sezonie „Diagnozy” nie miałem wiedzy, jaki będę w trzecim. To jest super.

Święci, ale i łajdacy. W każdej z tych opcji jest pan przekonujący. Zdarza się panu bronić swoich bohaterów?

Nie. Zgadzam się z moimi profesorami, że pojawia się wtedy rodzaj aktorskiej nieprawdy. Jednocześnie ja te postaci rozumiem w jakiś sposób.

Zrozumienie nie jest wstępem do tłumaczenia?

Nie tak to odbieram. Czuję do nich empatię, mając świadomość, że człowiek, którego podglądamy, gramy, to nic w porównaniu z oryginałem, często niesłychanie pogmatwanym, uwikłanym. Bywa, że nieprawdopodobnym draniem.

Artman taki był? Wzór na czarny charakter?

Ludzie mają tendencję do jednoznacznych ocen, przerzucania na bohaterów swoich emocji, natomiast ja w tym temacie jestem jakoś nieprzemakalny. Jeśli dostaję tak, a nie inaczej napisaną postać, nie staram się, by ją lubiano: nie gram złego, by „był zły, ale jeszcze dobry”. Nie. Zastanawiam się jedynie,

jak go uwiarygodnić, sprawić, by stał się prawdziwy: poprzez wewnętrzne piękności, dramat, który przeżywa. I tylko tyle. Natomiast, jeszcze raz powtarzam, bardzo lubię Artmana. To niezwykle wdzięczna postać do grania.

Czy zdarza się panu być zaskoczonym przez scenarzystów?

Oczywiście, to bardzo pozytywne doświadczenie. Pamiętam np. scenę w karetce, w filmie „Najlepszy” (o Jacku Górskim), gdzie Łukasz Palowski pokazał spotkanie głównego bohatera (granego przez Jakuba Gierszałę) i ojca [w tej roli Adam Woronowicz – przyp. red.] i jego tragicznie zmarłej dziewczyny. Piękna scena, która wprowadzała relacje między bohaterami na nowe tory. I piękny film ubiegłorocznego festiwalu w Gdyni.

A tegoroczne „7 uczuć” i rola ojca Adasia Miauczyńskiego pana zaskoczyły?

Marek Koterski to zupełnie odrębne kino. Trailer, który krąży po sieci, to nic w porównaniu z tym, o czym jest ten film. Jedna rzecz, to coś usłyszeć, a zupełnie inna – zobaczyć. Tak było z „Wołyniem”. Teraz Jacek Bromski robi film o aferze Amber Gold. Zupełnie inna opowieść, ale też może Polską potrząsnąć.

Tegoroczny festiwal w Gdyni czerpał mocno z prawdziwych historii. Także w uhonorowanej Złotymi Lwami „Zimnej wojnie”, nawiązującej do rodzinnych losów Pawła Pawlikowskiego; nagrodzonym scenariuszu Jana Jakuba Koloskiego do filmu „Ułaskawienie” (jury doceniło też główną rolę żeńską Grażyny Błęckiej-Kolskiej), czy obrazie „Jak pies z kotem” – domykającym na ekranie szorstką miłość braci Kondratiuków. Teraz też gra pan w produkcji odwołującej się do autentycznej postaci?

Władysław Pasikowski kończy właśnie film „Kurier”, historię o Janie Nowaku-Jeziorańskim: ostatnie dni lipca 1944 r., jego przybycie do Warszawy z wiadomościami do Komendy Głównej AK, które, delikatnie mówiąc, nie są mile: że nie zostanie udzielona żadna pomoc, gdyby powstanie miało wybuchnąć. O tym jest ten film. Gram w nim pułkownika Iranika Osmeckiego, dowódcę wywiadu przy KG AK.

Jak się pracuje u Pasikowskiego?

Fantastycznie. Za każdym razem bardzo sobie cenię te spotkania – począwszy od pierwszego przy filmie „Pitbull. Ostatni pies”. Teraz jest „Kurier”. Życzyłbym sobie następnych. 

Kaszubska Golgota

W malowniczych piasnickich lasach ponoć nie słyhać śpiewu ptaków. Letnicy przyjeżdżający do Wejherowa nie zastanawiają się, co mogło te ptaki uciszyć, ale okoliczni mieszkańcy, Kaszubi, wiedzą i pamiętają o ludobójstwie, do którego doszło tu blisko 80 lat temu

Z Markiem Klatem, gdańszczaninem, dziennikarzem, wydawcą, współautorem scenariusza filmu „Kamerdyner”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Obrusza się pan na określenie „pomorski Katyń”, a zwłaszcza „drugi Katyń”?

Marek Klat: Tak, bo zbrodnia w Piaśnicy wydarzyła się wcześniej. Była pierwszym ludobójstwem II wojny światowej, stając się niejako wzorem dla kolejnych takich zbrodniczych akcji.

Dlaczego o Piaśnicy tak mało wiemy?

Po pierwsze, to efekt – jakkolwiek to zabrzmie – skuteczności planu, który miał doprowadzić do pełnej eksterminacji ważnych na tych terenach, wykształconych, wpływowych ludzi: urzędników, nauczycieli, duchownych, zamożnych chłopów, ale też całych ich rodzin. I musiało minąć parę dziesiątków lat, by ta społeczność – drastycznie okaleczona – się odrodziła. By mogła w pełni kultywować pamięć o ofiarach tamtej zbrodni.

Liczby są poruszające: między 12 a 14 tys. ofiar, także kobiet i dzieci, a do szerokiej świadomości przebijają się dopiero po kilku dekadach (w przyszłym roku minie 80 lat). Dlaczego tak długo to trwa?

Powodów jest wiele. O jednym, wyniszczeniu, już wspomnieliśmy. Ale też nauczani wcześniejszymi doświadczeniami Kaszubi przez lata pozostawali nieufni. Bywa, że i dziś, gdy przyjezdny spyta o Piaśnicę, Kaszub może wymówić się od odpowiedzi, zasłonić brakiem pamięci, tymczasem między swoimi ta pamięć wraca i jest bardzo precyzyjna.

Tę pamięć przywołuje dziś film „Kamerdyner” w reż. Filipa Bajona, nie koncentrując się jednak na szczegółach mordu w piasnickich lasach. Czy z książki pod tym samym tytułem, której jest pan współautorem, dowiemy się o tej zbrodni więcej?

Zdecydowanie tak. Narracja filmowa rządzi się swoimi prawami, nie wszystko i nie w pełni udaje się pokazać na ekranie, szczególnie gdy tworzymy tak szeroką panoramę, poruszamy się w tak dużym przedziale czasowym, bo rozmawiamy o okresie od 1900 po 1945 r. Zbrodnia w Piaśnicy – jak podaje część badaczy, trwająca od września 1939 r. (choć masowe



Fot. Materiały prasowe

egzekucje w lasach piasnickich zaczęły się w październiku) nawet do kwietnia roku następnego – nie była tylko efektem nazistowskiego planu. Wyrosła z napięć, do których przez wcześniejsze lata dochodziło na tym terenie; ze społecznej, narodowościowej i geopolitycznej sytuacji; ze zmian, które dokonywały się po ustaleniu w Versalu nowych granic, ale i wcześniej, wraz z napływem na tereny nowych mieszkańców, zwłaszcza z Niemiec. W krytycznym okresie najbardziej okrutni wobec ofiar bywali ich sąsiedzi, osiadli na kaszubskiej ziemi parę dekad wcześniej. Niezasymlowani, zaciekli w narodowościowych sporach i roszczeniach.

To także ci sąsiedzi stali za wyjątkowo precyzyjnymi „listami śmierci”, które od pierwszych dni września 1939 r. pozwoliły oddziałom SS na sprawne wyłapywanie, aresztowanie, wywożenia, a potem też w dużej części zamordowanie tylu ludzi? Skąd wzięły się te listy?

Dzięki sporej pomocy członków paramilitarnej organizacji Selbstschutz, którzy znali okolice i swoich sąsiadów, już w maju 1939 r. zaczęła powstawać tzw. Sonderfahndungs-

buch Polen. W lipcu było na tej liście kilkadziesiąt tysięcy nazwisk ludzi niewygodnych, członków polskich elit, którzy po wybuchu wojny mieli zostać zlikwidowani. Niemcy opracowali plan eksterminacji. Nazwali go Intelligenzaktion. Akcja Inteligencja najbrutalniej dotknęła Pomorze Gdańskie. Już w pierwszych dniach września w systematyczny sposób wylawiani byli przedstawiciele miejscowej inteligencji. Zaczęły się zbiorowe aresztowania i pierwsze egzekucje. 2 września przyjechał pierwszy transport do nowo utworzonego obozu koncentracyjnego Stutthof. Masowe mordy w Piaśnicy zaczęły się pod koniec października.

Dlaczego właśnie w Piaśnicy, gdzie ona leży?

Na mapie znajdziemy trzy, a nawet cztery Piaśnice. Taką nazwę nosi nieistniejąca już nadmorska osada niedaleko ujścia Piaśnicy – rzeki, która w 1920 r. na mocy traktatu wersalskiego stała się granicą między Niemcami a odradzającą się Polską. Są też Piaśnice: Mała i Wielka, otoczone lasami rozpościerającymi się między Puckiem i Wejherowem. To w nich było miejsce kaźni. 10 km od Wejherowa, przy szosie do Krokowa, niedaleko wsi Piaśnica Wielka. Egzekucje odbywały się tu do końca 1939 r., a może nawet do kwietnia 1940 r.

Skąd taka różnica w datowaniu?

To nie była jednorazowa akcja, trwała wiele miesięcy, ale brak zachowanej dokumentacji. Potwierdzeń pojedynczych i ma-

sowych zabójstw, liczby ludzi wylapywanych w obławach, aresztowanych i osadzanych w tymczasowych więzieniach lub w którymś z ponad 60 przejściowych obozów albo wywiezionych do Stutthofu. Część Kaszubów w pierwszej fali została wywieziona w głąb Rzeszy, a potem całymi rodzinami zwieziona i w lasach piaśnickich zabita. Między 2 a 4 tys. ofiar w masowych grobach mogą stanowić niemieccy pacjenci szpitali psychiatrycznych (z najbliższych okolic, ale też Brandenburgii). Wśród ofiar są też ponoć jacyś Cześci. Ludzi zwożono ciężarówkami i pociągami do Wejherowa i stamtąd do lasu. Trudno się odnaleźć w tej masie ofiar.

Także z powodu wspomnianego zacierania śladów?

Zaczęło się w 1943 r. Im więcej klęsk odnotowywali hitlerowcy, tym zbrodnia z Piaśnicy ciążyła coraz mocniej nie tylko okolicznym Niemcom, lecz też SS. Zapada decyzja, by zatrzeć ślady. Grobów musiało być ponad 30, może nawet 40. Nie wiemy dokładnie ile. SS ściągnęła więc grupę więźniów z pobliskiego Stutthofu. Oni odkopywali groby (każdy ponad 3 m głębokości, od 7 do 9 długości i ok. 5 m szerokości), palili zwłoki, a szczątki mielili, dlatego tak trudno ocenić liczbę ofiar – może było ich 12 tys., może 14, a może dużo więcej. Z jakiegoś powodu pominięty został jeden z grobów (odnaleziono w nim ponad 300 zwłok) i porównując to miejsce pochówku z pozostałymi, dokonano szacunkowych obliczeń. Niemcy postarali się, by nie było

REKLAMA

TUW-y alternatywą ubezpieczeniową dla samorządów terytorialnych



FUNDACJA WSPIERANIA
UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Polska Izba Ubezpieczeń odnotowała wzrost wartości odszkodowań za szkody spowodowane żywiołami. Według jej danych ich suma w II kw. 2017 r. wyniosła 696,6 mln zł, o 16,8 proc. więcej niż w tym samym okresie rok wcześniej. Co się z tym wiąże? Z pewnością wzrost składek, co nie jest dobrą wiadomością dla samorządów terytorialnych. Jaką zatem alternatywę mają miasta, gminy czy powiaty, których budżet nie pozwala na opłacenie drogich polis? Wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych.

– W tej chwili jest już jasne, że system ubezpieczeń w obliczu żywiołów, które nawiedzają nie tylko Polskę, musi zostać zweryfikowany. Na razie obserwujemy wzrost składek ubezpieczeń towarzystw komercyjnych. Okazuje się, że

samorządy nie zawsze na nie stać. Stąd większe zainteresowanie ofertą ubezpieczycieli wzajemnych (TUW-ów), których działania nie są nastawione na zysk i zaspokojenie oczekiwań akcjonariuszy. Poza tym TUW-y jako jednostki inaczej zorganizowane niż pozostałe towarzystwa ubezpieczeniowe działają w trochę innych warunkach prawnych – mówi Jarosław Bierecki, prezes FWUW.

TUW-y pomagają w obniżeniu kosztów polis, ale też pozwalają objąć ochroną znacznie większy zakres. Przy ubezpieczeniach komercyjnych szeroki zakres ochrony jest nieosiągalny, bo wówczas cena polis będzie zbyt wysoka.

– Wynika to z faktu, że samorządy terytorialne zwolnione są z obowiązku stosowania przepisów o zamówieniach publicznych przy zawieraniu z TUW-em umowy ubezpieczenia – zauważa Jarosław Bierecki. – W konsekwencji daje to możliwość negocjacji umowy, co w efekcie może się przełożyć na zwiększenie zakresu ochrony polis w porównaniu z ofertami ubezpieczycieli komercyjnych. Możliwość negocjacji oznacza więc wpływ nie tylko na wysokość składki, lecz także zakres ochrony. Tego natomiast oferta ubezpieczyciela komercyjnego nie daje – samorząd

może ją odrzucić lub przyjąć bez możliwości ustalania warunków.

Dzięki temu, że przepisy o zamówieniach publicznych nie obowiązują przy zawieraniu umowy z TUW-em, wynikają też inne korzyści.

– Na przykład długi czas ochrony. Ustawa o zamówieniach publicznych narzuca maksymalny okres umowy ubezpieczeniowej, jaką samorząd może zawrzeć z ubezpieczycielem komercyjnym – na maksymalnie trzy lata. W przypadku skorzystania z oferty TUW-u nie ma takiego ograniczenia, oznacza to możliwość dłuższej współpracy. A im ta współpraca jest dłuższa, tym cena ubezpieczenia może być korzystniejsza – wyjaśnia Jarosław Bierecki.



Jarosław Bierecki,
prezes FWUW

świadków – więźniowie uczestniczący w zacieraniu śladów zostali zabici, dokumenty zniszczone.

Podobno zachowały się jakieś zdjęcia?

Odkryto je po latach. Świadczyły o uczestnictwie w mordach także miejscowych, głównie ze wspomnianej organizacji Selbstschutz. Swoją drogą ich okrucieństwo musiało przerażać i członków SS, skoro późną jesienią 1939 r., jeszcze w czasie trwania zbrodni w Piaśnicy, organizacja ta została zdelegalizowana.

Jak to się stało, że sąsiedzi sąsiadom zgotowali taki los?

Do tej zbrodni nie doszło z dnia na dzień, wszystko narastało, nawarstwiało się latami. Kaszuby, nie bez powodu nazywane są najpiękniejszym miejscem na świecie: wzgórza, lasy, jeziora, morze. Wcale nie biedne, bez doświadczeń najazdów i niewolnictwa... Ale przyszły rozbiory. Po nich lokalna szlachta zerwała związki z Polską (na przykład ród Krokowskich zmienił nazwisko na von Krockow), a cesarz niemiecki zaczął nadawać swoim generałom i politykom wielkie majątki na tym terenie. Tak pojawili się tu m.in. przedstawiciele pruskiej arystokracji von Grassowie. Z Saksonii, Brandenburgii na Pomorze zaczęli też przybywać ci, którym marzyło się lepsze życie – straszna swolocz. To oni z czasem stworzyli narodowościowy Heimat Ost, a potem paramilitarny Selbstschutz, który wykonywał w Piaśnicy wyroki śmierci.

Powstał narodowo-społeczno-polityczny tygiel?

Tak i mieszało się w nim coraz mocniej jeszcze z jednego powodu, o którym mało się mówi. Była jedna ojczyzna – Polska, ale też wiele grup etnicznych tworzyło swoje małe ojczyzny. Pomorzanie, Kaszubi mieli odrębne obyczaje, odrębny język, chociaż przez wieki byli związani z Rzeczpospolitą. Gdy po rozbiorach znaleźli się w Prusach, dostali mocno po głowie, bo bardzo trudno się germanizowali. W książce i filmie „Kamerdyner” jest scena, w której Gerda von Krauss pyta dwóch Kaszubów, co czytają. Jeden mówi, że polską gazetę, drugi, że niemiecką. „A jak się kłócicie?” – pada pytanie. „No, po kaszubsku”.

Kiedy po I wojnie światowej zaczęła się odradzać Polska, Kaszubi gremialnie opowiedzieli się po stronie Rzeczypospolitej, ale ludzie napływający z Galicji czy Wielkopolski patrzyli na tych rdzennych mieszkańców z dużą niechęcią. Skoro mówili w niezrozumiałym języku, nie mogli być Polakami.

Przez wiele wieków Kaszubi samoistnie nie zaistnieli. Ze względu na położenie geograficzne (jedni mieszkali nad jeziorami, inni nad morzem) Kaszubi byli grupą mocno podzieloną na enklawy różniące się od siebie językiem i zwyczajami, ale i też grupą mocno wyciszoną.

Dlatego się nie zbuntowali, gdy ich całymi rodzinami wywożono?

Pewnie sądzili, że te wywózki, internowania potrwają miesiąc, dwa i wrócą do domów. Nie spodziewali się, że dojdzie do mordu. I to tak brutalnego. Bo nieliczne ślady i świadectwa wskazują, że nie tylko rozstrzeliwano skazańców nad wykopanymi przez nich dołami, ale też zabijano uderzeniami kolb, niektórych więźniów wcześniej torturowano, zasypywano ziemią jeszcze żywych, a małe dzieci rozbijano o drzewa.

Taka zbrodnia domaga się kary – jak było w tym przypadku?

Przytoczę tylko jeden przykład: Kurta Eimanna, dowódcę jednostki przeprowadzającej egzekucje w lasach piaśnickich. Uciekł do RFN. Dopiero w grudniu 1968 r. zdołano go oskarżyć o zamordowanie w Piaśnicy 1,2 tys. chorych psychicznie. Dostał za to cztery lata, odsiedział dwa.

Historia magistra vitae est, czyli historia nauczycielką życia. Czy myśleliście o tym, pisząc scenariusz i książkę?

Niestety, kolejne wieki pokazują, że historia niczego następnych pokoleń nie uczy.

Co więc chcieliście osiągnąć, przypominając ten fragment historii?

Chcieliśmy przywrócić godność Kaszubom.

Utracili ją?

Tak, chociażby przez to, że i w powojennej Polsce o zbrodni piaśnickiej się nie mówiło.

Dziś głos Kaszubów lepiej słyszeć?

Szacuje się, że jest ich pół miliona. Językiem kaszubskim posługuje się ponad 200 tys.

Czy ta grupa chciała mieć wpływ na to, co i jak opowiadaliście w scenariuszu i książce?

Ponieważ ta historia dzieje się w Starzyńskim Dworze i w Starzyńce, a Mirek Piepka, jeden z współautorów, urodził się i wyrósł właśnie w Starzyńce, mieliśmy dostęp nie tylko do oficjalnej dokumentacji.

Dla ludzi, z którymi rozmawialiście, staliście się „swoimi”?

Mirek jest Kaszubem, Michał (Pruski, trzeci ze współautorów) to gdynianin od czterech pokoleń. Ja jestem z Gdańska i mam żonę Kaszubkę. W 2013 r. udało się nam dotrzeć do sześciu świadków. Chcieliśmy tych ludzi zaprosić na kaszubską premierę „Kamerdynera” zorganizowaną w Wejherowie. Okazało się, że nikt już nie żyje. Uchwyciliśmy więc ich relacje w ostatnim momencie.



Młodociany diabeł celebryty

Może nie wyssałem Stephena Kinga, mistrza horroru, z mlekiem matki, ale czytam go od początku lat 90. Już pisałem, że jego dawne książki ze wspinałą „Carrie” na czele pociągają mnie bardziej, niż coraz grubsze tomiszcza produkowane przez niego teraz z mechaniczną sumiennością niemal co roku. Ale zwykle chcę się o tym przekonać osobiście.

Może nawet bardziej dotyczy to filmowych adaptacji, wśród których są dzieła wybitne, znów z „Carrie” Briana de Palmy na czele. Trudno więc, żebym nie zasiadł przed telewizorem, kiedy HBO zaczęło nadawać serial „Castle Rock”. King czasem sam pisał scenariusze, a jeśli nie, zarabiał na korzystaniu z jego pomysłów. Tak jest tutaj.

Budując horrory, do pewnego momentu prowadzone w konwencji zwykłych opowieści obyczajowych, stworzył własny świat, tak sugestywny, że w różnych swoich powieściach i opowiadaniach korzystał z tych samych postaci i miejsc, poza wyjątkami umieszczonych w jego rodzinnym stanie Maine. Tak było z fikcyjnym miastem Castle Rock, które pojawia się w wielu utworach – od „Martwej strefy” po „Sklepik z marzeniami”. To miejsce, w którym zdarzyć się może wszystko, a ludzie są bardziej podatni na szaleństwo niż w całej reszcie Ameryki.

Autorzy scenariusza prowadzą to jak w serialu „Hannibal” według Thomasa Harris – ze starych postaci i sytuacji tworzą nowe układanki. Tyle że „Hannibal” przekształca pierwotne fabuły o doktorze Lecterze. Tu mamy jakby dalszy ciąg zbiorowego portretu Castle Rock. Sympatyczny szeryf Alan Pangborn, któremu zdarzyło się zwyciężać z woli Kinga w starciu ze złem, jest starym człowiekiem nawiedzonym przez upiory przeszłości. Gra go zaś Scott Glenn, niedawno widziany w roli innego upartego emerytowanego policjanta w „Pozostawionych”. Robi to znakomicie.

Mamy wspomnienie historii wściekłego psa z „Cujo” i więzienie Shaws-hank, ale inne niż to z ory-

ginalnego utworu pod tym tytułem. Ba, jedna z bohaterek jest bratanicą Jacka Torrance’a, szaleńca z „Lśnienia”. Który wprawdzie zwariował w Kolorado, ale pochodził z Castle Rock. Witajcie w domu wszystkich strachów. Mamy też sztuczki czysto „produkcyjne”. Przybraną matkę głównego bohatera, który wraca po latach do Castle Rock, gra Sissy Spacek, dawna Carrie od Briana De Palmy, teraz stara kobieta.

To kolejny po pierwszych seriach „American Horror Story” dowód na to, że horror nie powiedział ostatniego słowa. Że wciąż nie da się go sprowadzić do tandetnych sztuczek z kolejnymi nawiedzonymi domami, gdzie wszystkie skrzypnięcia podłogi są przewidywalne do bólu. Ta opowieść rozwija się powoli i jest subtelna. Czy zło nawiedzające Castle Rock da się zamknąć w ciele dziwnego, wiecznie młodego nastolatka, granego świetnie przez Billa Skarsgård? Czy to on zsyła na ludzi nienawiść i agresję, jak doświadczony diabeł Leland Gaunt ze „Sklepiku z marzeniami”? Jest jednak całkiem inny, bierny, przerażony tym, co się wokół niego dzieje. Czy zło ma tak przeraźliwie smutną twarz z wytrzeszczonymi oczami?



Takie filmy, książki, w mnie rodzą pytania i skojarzenia, nawet jeśli są tylko pomysłami na atrakcyjne fabuły. Choć zwykle ich finały są mniej odkrywcze niż zawiązki akcji. Zarazem coraz bardziej zaczyna mi przeszkadzać, że lewicowy do bólu King, światowy celebryta, jest ateistą niewierzącym w tajemnicę. Nie to żeby musiał od razu uwierzyć w wykreowanego przez siebie diabła. Ale uznanie przez niego, że COŚ jest poza prozaiczną materią, pomogłoby mi traktować jego fabuły jeszcze poważniej.

Piotr Zaremba



Wojciech Stanisławski

Cienką kreską

*Życie zamożnego mieszczaństwa bywało pełne uroku,
ale i kłopotliwe*

Ludzie, których przygnębia fatum, jakie zdaje się wisieć nad środkowoeuropejskimi „skrwawionymi ziemiami” od dobrych kilkuset lat, chętnie uciekają w fantazje o innym biegu dziejów, o zwrotnicach czasu, które można było przełożyć w przeszłości. Liczba opowieści fantastycznych traktujących o wzięciu przez nas w 1939 r. Berlina idzie w tuziny; profesor Lech Mażewski z nieporównanie większą dyscypliną myślenia od lat prowokuje czytelników do refleksji nad tym, jak mogłyby się potoczyć losy Królestwa Polskiego pod berłem Romanowów, gdyby nie zryw podchorążych.

A gdyby posunąć się jeszcze o krok dalej i wyobrazić sobie Rzeczpospolitą w Wieku Świata, wielonarodową i wielowyznaniową, jak w wieku XVI, wolną od calamitates wieku XVII, zdyscyplinowaną i umocnioną absolutum dominium? Nie jest to łatwe zadanie, ale gdyby tak się stać mogło – niewykluczone, że za pierwszego kronikarza polskich „typów ulicznych”, wszystkich tych kontuszów, szabel, podgolonych głów i kufli (oraz, dodajmy, fraków, peruk, szpad i kielichów) mielibyśmy nie Jana Piotra Norblina, imigranta z Francji, lecz syna dysydenckiej szlachty wielkopolskiej: Daniela Chodowieckiego.

U tego ostatniego też znajdziemy, choćby w scenach z podróży do Gdańska, niemało pysznych „polskich typów”: ot, choćby strażnika wielkiego koronnego Tadeusza Czackiego,

który jakby zszedł z kart „Pana Tadeusza” w swoim kontuszu z wyłogami i filuternej konfederatce. Młodszemu synowi artysta podgalał głowę na polską modłę, po czym portretował go takim tłustą kreską. Ale tych kilkadziesiąt postaci – flisak, szlachciura, konni – pozostają trzecioplanowymi bohaterami wielkiego dzieła: zbiorowego portretu mieszczaństwa, uczonych, pastorów, szczęśliwych rodzin jasnego wieku XVIII.

Po ojcu Polak, po urodzonej w Szwajcarii matce – na poły Francuz, na poły Niemiec, z urodzenia gdańszczanin, poddany najpierw saskich Augustów, po przeprowadzce zaś do Berlina – Fryderyków, był Daniel Chodowiecki człowiekiem oświecenia, jednym z najbardziej znanych rysowników i ilustratorów tamtej epoki. Marzył o karierze malarskiej, spełnienie znalazł, trzymając w ręku nie pędzel, lecz igłę. Tysiące jego akwaforty zdobi kroniki, almanachy gotajskie, tragedie Szekspira, powieści, psalmy i, bagatela, traktaty fizjonomiczne Lavatera. Ale można też kartkować jego nieprzebrane dzieło całkiem inaczej: patrzeć na niezliczone peruki, harbajtle, trzewiki, czepki, na mieszczańskie rodziny pod wysokim niebem lub stropem, na światło przebijające między pękami cienkich, rytych w werniksie kresiek.

W ten właśnie sposób zasłużone dla pamięci o przeszłości Gdańska środowisko zechciało zilustrować pierwszą w Polsce biografię Chodowieckiego,

pióra wieloletniej kustoszki Muzeum Narodowego w Gdańsku. To życiorys napisany z namaszczeniem, chwilami może zbyt solennym tonem, przywołującym na myśl książki adresowane przed pół wiekiem „do młodego czytelnika”. Świetnie jednak, także za sprawą licznych cytatów z Goethego, osadza on wielkiego rysownika w krótkim, pięknym wieku oświecenia.

A gdyby pozostać jeszcze przez chwilę w kręgu mieszczaństwa i Hanzy? „Lebrecht Kröger podjął się tranzerowania. Z lekko podniesionymi łokciami, rozciągnawszy długie, wskazujące palce na grzbiecie noża i widelca, uważnie krajał soczyste plasty”. W tym pysznym zdaniu z „Buddenbrooków” szukam tym razem nie tyle zapowiedzi upadku rodziny, ile sztuców.

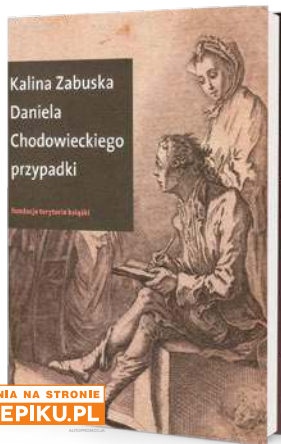
Ileż ich wymyślono w XIX w.! Co tam wspomniany nóż do tranzerowania, skoro samych łyżek znalazłoby się kilkanaście: do bulionu i zupy-kremu, do ragout, z grzebieniem (do sosu), do szpiku kostnego, do oliwek, do serwowania groszku, do jagód (złożona), do kawy, herbaty, lemoniady, czekolady, do chrzanu, do pieprzu cayenne... Tyle przynajmniej wylicza Kalina Zabuska, autorka niezrównanej, mimowolnie krotocwilnej książki poświęconej sztuccom sprzed wieku.

Czegóż tam nie ma! Łyżka (kolejna!) do podawania ostrego (i osobnego widelczyk do przegrzebków), widelczyk i szczypce do sardynek, nożyczki do otwierania jajek... Są liczne narzędzia mordy, niewykorzystane

ort ekstremalny

należycie przez autorów kryminałów: świderek do masła, sztylecik do pieczystego, szpikulec do oliwek i szczypcyce nożycowe do szparagów, nożyczki do winogron, widelec do mango i trójkątny chwytak do cukru. Najpraktyczniejsze: grzebień do krojenia babek ponczowych oraz skrobak do kukurydzy. Najpiękniejsze: szczypcyce do cukru w kształcie ibisa. Najpocieszenie: łyżki dla wąsaczy, z osłonką „w połowie zakrywającą czerpak, od czubka po trzonek”, by gorąca para nie roztopiła wosku, którym usztywniano zarost.

Można się tylko cieszyć, że państwo Łęccy nie nadawali z kupowaniem wszystkich nowości od Frageta, bo biedny Wokulski poległby nie tylko na sandaczu, ale i na trzymadłach do sera, które tak łatwo pomylić z uchwyty do



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Kalina Zabuska, „Daniela Chodowieckiego przypadki. Rzecz o artyście spełnionym z Berlinem i Gdańskiem w tle”, Fundacja Terytoria Książki, 2018; Marcelina Palińska, „Embaras de richesse, czyli o dziewiętnastowiecznych sztucach stołowych”, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, 2018 (ilustr. Agnieszka Bracha)

kukurydzy, na małych, wdzięcznych, ale nieporęcznych kleszczykach do truskawek. Pomysłowość barier, które jubilerzy wznosili półtora wieku temu między dłonią a jedzeniem, skłania do myśli o zbiorowej, dziesiątkującej klasy wyższe mysofobii, czyli lęku przed brudem, w rzeczywistości jednak za mnożeniem odmian sztuców stały z jednej – pycha nuworyszy, z drugiej – chęć zysku, szczególnie producentów amerykańskich. Wymyślanie potrzeb nie jest cechą naszych czasów: by skompletować komplet „Georgian” na tuzin osób, należało kupić nie mniej niż 1888 sztuk sztuców. Kres temu szaleństwu położył dopiero, jako sekretarz stanu USA, Herbert Hoover: jak wielkie są jego zasługi dla ludzkości, zrozumie każdy, kto lubi jeść szparagi palcami.

Polska: wykroje i wzory

Trwa giełda pomysłów na uczczenie stulecia roku 1918: łakomczuchy zajądają się prototypami kolejnych „ciastek niepodległości”, szydercy podśmiewają się z uroczystych zakalców różnego rodzaju, których trochę się namnożyło. Niewiele spotkałem dotąd cenniejszych inicjatyw niż wydany (w ramach obchodów i pod prezydenckim patronatem) „Geograficzno-polityczny atlas Polski”.

Ten tytuł jest mylący, zubażający i szkolny: to nie atlas, to fajerwerk infograficzny, w którym szczegółowość danych i precyzja wykonania idą o lepsze z pomysłowością. Nie od dziś niby wiadomo, jak ciekawie opowiadać można o świecie za pomocą infografiki, ale koncepty zespołu autorów zbijają z nóg: od „Polskich nazw geograficznych w świecie” (wszyscy słyszeli o australijskiej Górze Kościuszki, ale proszę sprawdzić za pomocą Google Maps, gdzie leży „Pilsudskifjella”) po przedstawienie na kilku mapach Europy „migracji słów do (i z) języka polskiego”.

Bardzo rzetelnie przedstawione zostały dane dotyczące sytuacji gospodarczej i społecznej Polski na tle współ-

czesnej Europy; świetnie pokazano kwestie tak złożone, jak zmiany stopnia dywersyfikacji dostaw gazu czy stan obrony powietrznej Polski. Dużo uwagi poświęcono liczebności i wyborom politycznym mniejszości narodowych w Polsce oraz Polaków w państwach ościennych, Rosji, Europie i w świecie. Nowatorskim posunięciem jest próba przedstawienia sytuacji w państwach sukcesyjnych I Rzeczypospolitej.

Eureka! – pogwizdujemy, widząc, na jak wiele sposobów pokazać można zmiany wielkości terytorium, granic i statusu Polski, od Mieszka począwszy. „Długość linii kolejowych na 100 km kw.”? Tak, takie zestawienia widuje się nieraz: ale kto widział mapy ukazujące zmiany nazw w przestrzeni publicznej (w niepodległość weszliśmy z przeszło 100 ulicami im. Mariana Buczka i 20 Fryderyka Engelsa; miejsc poświęconych zbrodni katyńskiej mamy jak dotąd 15), rozkład geograficzny przekładów na języki obce Szymborskiej, Lema i Korczaka czy inicjatyw, podejmowanych od bieguna do bieguna przez polskich misjonarzy i Polską Akcję Humanitarną?



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

„Geograficzno-polityczny atlas Polski. Polska w świecie współczesnym”, Marcin Wojciech Solorz (redakcja naukowa i koncepcja), Jarosław Talacha (redakcja i skład) et al., Wydawnictwo Trzecia Strona, 2018

Dzieliom tych rozmiarów zawsze można wytknąć jakieś braki do poprawienia w drugim wydaniu: przydałby się indeks, udałoby się pewnie pozyskać bodaj część danych z Bałkanów Zachodnich. Szefom licznych instytucji odpowiedzialnych za promocję Polski w roku jubileuszowym radziłbym jednak nie zastanawiać się już nad pamiętkowymi makatkami, apaszkami i durnostojkami, lecz zatroszczyć o ostatnie egzemplarze pierwszego wydania: nic lepszego państwo nie znajdą.



VOD

Matką być

Tully” to domknięcie trylogii o dojrzewaniu i macierzyństwie duetu Jason Reitman–Diablo Cody. W oscarowym „Juno” opowiedzieli o problemach ciężarnej nastolatki. W „Young Adult” uderzyli w sentymentalne opowieści o wyższości rodzinnego domu na prowincji nad karierą w wielkim mieście.

W „Juno” nastoletni rodzice nie decydują się na aborcję dziecka „z wpadki” i muszą dojrzeć do decyzji o oddaniu go bezpłodnej rodzinie. W „Tully” widzimy doświadczoną matkę dwójki dzieci, która po urodzeniu po czterdziestce trzeciego dziecka wciąż się zmagą z przegrzaniem marzeniami z młodości. Również musi dojrzeć do kolejnego etapu życia. Cody zrywa społeczne maski nie po to, by uderzyć w rodzinne wartości. Ona chce całościowo spojrzeć na prawdziwe emocje swoich bohaterów. Wlewa w nie hektolitry własnych przeżyć i emocji.

Taka też jest opowieść o zmęczonej życiową rutyną Marlo (Charlize Theron). Właśnie urodziła trzecie (nieplanowane) dziecko. Wieczne zabiegany mąż (Ron Livingston) robi karierę w korporacji, synek ma trudne do zdiagnozowania problemy emocjonalne, zaś bajecznie bogaty brat (Mark Duplass) drażni celebracją swojej postnowoczesnej egzystencji. Proponuje wypalonej siostrze skorzystanie z nowego trendu dla nowoczesnych matek.



Chodzi o wynajęcie nocnej niani, która zajmując się niemowlaczkiem i domowym bałaganem, pomaga świeżo upieczonej mamie przynajmniej się wyspać. Pojawienie się energicznej i intrygującej Tully (Mackenzie Davis) przebudowuje całe życie Marlo. W niespodziewany i finalnie szokujący sposób.

Hormonalne tsunami, zniszczone ciało, nieprzespane noce, mleko lejące się z piersi. Jednak ten jeden uścisk dziecka, wyrażone niewinnym spojrzeniem pragnienie bycia razem, pozwala zapomnieć o bólu. Reitman doskonale chwytą mniej waniliową wizję macierzyństwa.

Niezwykła jest fizyczna przemiana Theron, która do roli przytyła 18 kg. Bravurowo oddaje kipiące w wycieńczonej obowiązками domowymi matce emocje, ale razem z Davis tworzy też niezwykle ekranową więź. Wchodząca w życie, pełna planów, energiczna 20-latką i tęskniącą za szaloną młodością na Brooklynie, urządzona na przedmieściach, statecznie mama – ich zderzenie iskrzy od pierwszych minut i prowadzi do zdumiewającego finału.

Pod powłoką opowieści o zmaganiach z przyziemnymi czynnościami, przez które musi przejść każda mama, kryje się historia zmagania się z własnymi lękami, frustracjami i oczekiwaniami wobec przemijającego życia. Mądre i magiczne dzieło.

„TULLY”, REŻ. JASON REITMAN, DYSTR. M2FILMS

VOD

Podróż po umyśle

Z dumiewający serial. Czarna komedia? Filmowa psychoanaliza? Przypowieść o koszmarach niedalekiej przyszłości w duchu „Black Mirror”? Wszystko po trochu. Annie (Emma Stone) i Owen (Jonah Hill) to dwójka totalnie potłuczonych życiowo nieznajomych. Decydują się wziąć udział w eksperymencie medycznym. Dzięki testowanemu farmaceutykowi mają się pozbyć psychicznych cierpień i chorób. Cary Fukunaga zrobił futurystyczną opowieść w duchu „Teorii wszystkiego” i „Brazil” Gilliana. Bohaterowie stają się podróżnikami po własnym umyśle. A ten

jest zainfekowany popkulturą, reklamami i całym śmieciowym fast foodem, jakim nasz mózg karmi mass media.

Czegoż w tych umysłowych podróżach Annie i Owena nie ma?! Od gangsterów i femme fatale aż po elfy i biegającą Nikitę. Czysta zabawa formą? Nie, choć nie jest to powieść o głębi najlepszych surrealistycznych dystopii. To trudny serial, ale warto się w niego zapuścić i wytrzymać wszystkie narracyjne zakręty. Fani Hilla (to ten grubasek z „Wilka z Wall Street”) będą porażeni efektami jego diety. Maniakalnej chyba.

„MANIAC” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE





Daleko do „Taksówkarza”



DVD

Film Lynne Ramsay został okrzyknięty kobiecą odpowiedzią na „Taksówkarza”. Bohater, tak jak Travis Bickle, odbija z rąk szajki pedofilów nieletnią dziewczynę i próbuje wyjść z kołowrotka autodestrukcji. Na tym podobieństwa z arcydziełem Martina Scorsese się kończą.

Autorka nieznośnego „Musimy porozmawiać o Kevinie” lubi szokować. Bierze gatunkowe schematy i lepi z nich autorską, bezkompromisową opowieść. Joe (Joaquin Phoenix) to totalnie zdezastrowany psychicznie weteran wojenny. Pracuje jako cyngiel, który systematycznie próbuje skończyć też z sobą. Ze strzępów wspomnień dowiadujemy się, że samobójcze myśli ma od dzie-

ciństwa. Jednak nie może umrzeć, bo mieszka z dziwną mamusią (Judith Roberts), którą potrzebuje ciągłej pomocy. Gdy Joe zostaje wpłątany w pedofilski spisek sięgający polityki, dostanie szansę odkupienia win.

Phoenix tworzy rolę wybitną. Porusza, gdy mamrocząc pod nosem, że łzami w oczach ucisza demony w swojej głowie. Brutalnie rozłupując młotkiem głowy pedofilów, przeraża. Bawi, imitując Normana Batesa pod drzwiami łazienki z marudzącą matką w środku. Phoenix słusznie zgarnął za wspaniały popis nagrodę na festiwalu w Cannes. To rzeczywiście rola porównywalna z De Niro w „Taksówkarzu”. Mam jednak problem z przesłaniem całego filmu Ramsey.

Film Scorsese to głębokie studium psychozy, ale też opowieść o religijnym wymiarze. Obrazowa przemoc służyła podkreśleniu piekła Sodomy i Gomory, na którą spadła karząca ręka. W jednym ujęciu Joe patrzy symbolicznie w lusterko, jak Travis w wieloznacznym finale arcydzieła Scorsese. Film „Nigdy cię tu nie było” jest wykastrowany z tej wieloznaczności. Brak mu szerokiego kontekstu duchowego i intelektualnego. Ramsey skupia się na dramacie w wymiarze jednostkowym. Indywidualnym. W takim kinie szukam większego uniwersalizmu i głębi, co pozwala racjonalizować oglądany na ekranie horror. U Ramsey ich nie odnajduję.

„NIGDY CIĘ TU NIE BYŁO”,**REŻ. LYNNE RAMSAY, DYSTR. GUTK FILM**

Zepsuć taki temat!

Kino



Miał to być powrót (który z kolei?) do wielkiego kina Johna Travoltę. Nowojorska mafia, najsłynniejszy, obok O.J. Simpsona, proces lat 90. i on – John Gotti. Głowa rodziny Gambino, „Szykowny i teflonowy Don” – jak go nazywano – wprowadził zupełnie nowy sposób funkcjonowania mafii. Zamiast działania w ukryciu szpanował kasą i wpływami. Pokazywali się z nim publicznie politycy i gwiazdy Hollywood. Wielokrotnie wychodził bez szwanku z głośnych procesów. Do czasu aż jego zastępca Salvatore „Sammy Byk” Gravano nie poszedł w świadka koronnego. Gottiego skazano na dożywocie. Zmarł na raka w 2002 r. za kratkami.

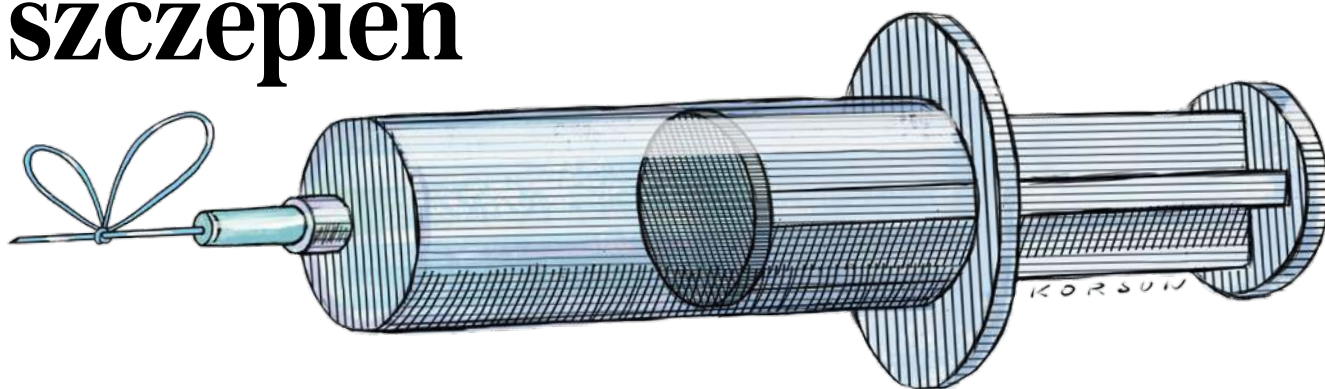
Film skupia się na relacji umierającego gangstera z synem, które są okraszone licznymi retrospekcjami z życia mafiosa. Wszystko jest jednak schematyczne i wtórne. Brakuje temu obrazowi odrobiny napięcia, a nieudolne naśladownictwo króla gatunku Martina Scorsese wyłącznie irytuje. Samograj zamieniono w nieznośny, przeciętny produkcyjniak z półki stojącej kilka pięter pod klasykami kina gangsterskiego. Nie pomaga też wyraźne zafascynowanie filmowców bandytą, który w swojskiej twarzy Johna Travoltę ma wzbudzać nasze współczucie. Zamiast tego wywołuje najwyżej głębokie ziewnięcie.

„GOTTI”, REŻ. KEVIN CONNOLLY, DYSTR. MAYFLY

Na początku października odbędzie się w Sejmie pierwsze czytanie obywatelskiego projektu ustawy o zmianie ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi. Projekt zakłada m.in.: zniesienie obowiązkowych szczepień dzieci (decyzja należałaby do rodziców), obowiązek informowania rodziców przed podjęciem decyzji

o zaszczepieniu dziecka, jakie mogą być skutki uboczne; zapewnienie dostępu do różnego rodzaju szczepionek. Rozmawiamy z Justyną Sochą, która w Sejmie w imieniu Komitetu Obywatelskiej Inicjatywy Ustawodawczej będzie projekt uzasadniała, oraz z dr. hab. Jarosławem Pinkasem, głównym inspektorem sanitarnym, który ten projekt opiniował.

Przeciw przymusowi szczepień



Z Justyną Sochą, pełnomocnikiem Komitetu Obywatelskiej Inicjatywy Ustawodawczej Stowarzyszenia Stop NOP, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Będzie demonstracja przed Sejmem w czasie pierwszego czytania projektu?

Justyna Socha: Tak, już ogłosiliśmy apel w tej sprawie. Zgromadzą się tam rodzice, którzy chcą zmian. To pierwsze takie wydarzenie w Europie, kiedy rodzice podjęli wysiłek zmiany prawa szkodzącego ich dzieciom. Wzięli z nas przykład Włosi, którzy są w trakcie zbiórki podpisów również pod obywatelskim projektem, mającym wprowadzić dobrowolność szczepień.

Ale rząd włoski już zapowiedział, że od 1 stycznia przyszłego roku zmieni to prawo. Komentuje się, że głównie z powodu kryzysu finansów publicznych.

To jest dezinformacja. Obowiązek ma zostać, rząd natomiast wstrzymał konieczność składania zaświadczeń o szczepieniach w przedszkolach i szkołach. W jednym z regionów już teraz nie wpuszczano takich dzieci do budynków, drogę zagradzali karabi-

nierzy. Ruch Pięciu Gwiazd uzyskał dobry wynik w wyborach dzięki środowisku zdeterminowanych rodziców, a obecna minister zdrowia maszerowała przed wyborami w protestach przeciw restrykcyjnemu prawu, rozszerzającemu liczbę szczepień do jedenaście. Nie spełniła obietnic.

Protestuje pani przeciwko określaniu ruchu, w którym pani działa, i jego sprzymierzeńców mianem „antyszczepionkowców”. Dlaczego?

Nie jesteśmy antyszczepionkowcami. Celem projektu ustawy nie jest likwidacja szczepień, nasze cele są pozytywne, są w interesie zwłaszcza tych osób, które swoje dzieci szczepieniom poddają. Chcemy, by rodzice o tym decydowali, uważamy, że jest to jedno z praw człowieka, co potwierdza orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Reprezentujemy interesy tych, którzy szczepią, chcą szczepić wybiórczo

albo w późniejszym terminie, chcą mieć możliwość wyboru różnych preparatów. Także rodziców, którzy nie chcą szczepić wcale, najczęściej po doświadczeniu niepożądanych odczynów poszczepiennych, kiedy po każdej dawce szczepionki ich dzieci trafiały do szpitala. Ci rodzice często byli przymuszani, aby szczepić dziecko kolejnymi dawkami, choć po każdej dawce dziecko chorowało coraz bardziej. Jak można takiego rodzica nazwać „antyszczepionkowcem”? On po prostu chroni swoje dziecko.

Wasz projekt ma spowodować likwidację obowiązkowych szczepień.

Nieprawda. Projekt zakłada zasadniczą zmianę, wprowadzając dobrowolność szczepień ochronnych wzorem 20 państw Europy, np. Niemiec, mimo że jest tam 6 mln uchodźców. Odwołują się w razie epidemii do ustawy o ochronie przed infekcjami, a Polska ma takie samo narzędzie – to

art. 33 obecnej ustawy o zapobieganiu chorobom zakaźnym, tzw. szczepienia akcyjne. Dlaczego w Niemczech to wystarczy, a u nas nie? Zwłaszcza że państwo polskie dziś nie bierze odpowiedzialności za powikłania ani nie oszacowało kosztów ich leczenia.

Niepożądane odczyny poszczepienne (NOP) to...

Pogorszenie stanu zdrowia w ciągu 30 dni od szczepienia. Teraz związek przyczynowy między szczepieniem a wystąpieniem takich odczynów można zweryfikować jedynie, jeśli wystąpi się do sądu i pochylić się nad tym biegle. A te wszystkie zdarzenia powinny być zgłaszane do sanepidu, przez sanepid do Państwowego Zakładu Higieny i jeśli jest ciężki niepożądany odczyn poszczepienny, powinna być wstrzymanywana seria szczepionki i przeprowadzone badanie, czy ten preparat nie zaszkodzi innym osobom. System rejestracji NOP wymaga zmiany, naprawy. Nie jest wiarygodny. I nasz projekt ma to naprawić.

Często bywa, że po szczepionce występuje gorączka, opuchlizna, zdarza się wysypka. To nie grozi zdrowiu dziecka. Ale rozumiem, że mówimy o poważnych przypadkach, kiedy zdaniem rodziców szczepionka spowodowała ciężki uszczerbek na zdrowiu dziecka. Np. autyzm. Tymczasem opublikowane w 2016 r. badania wykluczyły taki związek. I nie były one robione na zamówienie jakichś koncernów farmaceutycznych, tylko amerykańskiej organizacji SafeMinds, od lat walczącej o to, by taki związek wykazać.

My opieramy się na literaturze naukowej, wyrokach sądów, takich jak np. prawomocny wyrok z Mediolanu z 2014 r., dotyczył on szczepionki „sześć w jednym” i tutaj biegli znaleźli związek przyczynowy.

Wyroki sądów dotyczą jednostkowych przypadków i jest wielce prawdopodobne, że podany preparat nie spełniał wymogów bezpieczeństwa, ale tak bywa także w przypadku leków, które są potem wycofywane z obiegu. Tymczasem we wspomnia-

nych przeze mnie badaniach, opublikowanych w szanowanym piśmie naukowym „Proceedings of the National Academy of Sciences”, wykluczono taki związek. A jeśli chodzi o zaburzenia neurologiczne, to lekarze twierdzą, że rzeczywiście większość z nich pojawia się w okresie szczepień, ale są niezależne od nich.

Jeśli nie ma badań, które na dużej populacji porównywałyby stan dzieci szczepionych i nieszczepionych, nie będzie jednoznacznej odpowiedzi, czy szczepionki są przyczyną bądź zwiększają ryzyko wystąpienia takich chorób jak autyzm czy ADHD. Z ankietowych badań, którymi dysponuję, wynika, że: dzieci szczepione 30 razy częściej chorowały na alergię, 22 razy częściej brały leki na alergię, 3 razy częściej występowały u nich skórne zmiany alergiczne, 5 razy częściej były upośledzone umysłowo, miały trudności w nauce, 4,2 razy częściej miały ADHD i autyzm. Najbardziej miazdzący jest wynik dotyczący zapalenia ucha...

Lekarze twierdzą, że powikłania występują znacznie rzadziej niż choroby, przed którymi szczepionki chronią.

Nie neguję, że szczepionki w różnym stopniu mogą ograniczać choroby, natomiast jeśli w Polsce mamy rocznie ok. 100 przypadków odry, a milion dawek szczepionek przeciw tej chorobie podawanych jest dzieciom, to chyba jest oczywiste, co powoduje więcej powikłań.

Światowa Organizacja Zdrowia podała informację, że w pierwszym półroczu odnotowano w Europie 41 tys. przypadków odry, 40 zgonów w jej wyniku. Komisja Europejska wyraziła zaniepokojenie tą sytuacją.

Czytałam komunikat Światowej Organizacji Zdrowia z 20 sierpnia, który jako przyczynę tego stanu rzeczy podaje migracje. Połowa chorych to dorośli. W tym samym komunikacie podano, że liczba szczepień u dzieci wzrosła w ciągu roku o 2 proc.

Eksperci twierdzą, że nastąpił lawinowy spadek szczepień, że rodzice

masowo odmawiają szczepienia dzieci.

Ogólnoeuropejskie statystyki mówią co innego. Ale każdy kraj ma swoją specyfikę – na Ukrainie liczba szczepień spadła do 30 proc. w związku z sytuacją w tym kraju, bo nie było szczepionek.

Państwo powinno chronić swoje społeczeństwo przed chorobami.

Państwo, w którym jest obowiązek szczepień, a nie ma funduszy na odszkodowania, które pokryłyby koszty leczenia, opieki, rehabilitacji, pasyżtuje na dzieciach, które mają powikłania poszczepienne. I to się dzieje w naszym kraju.

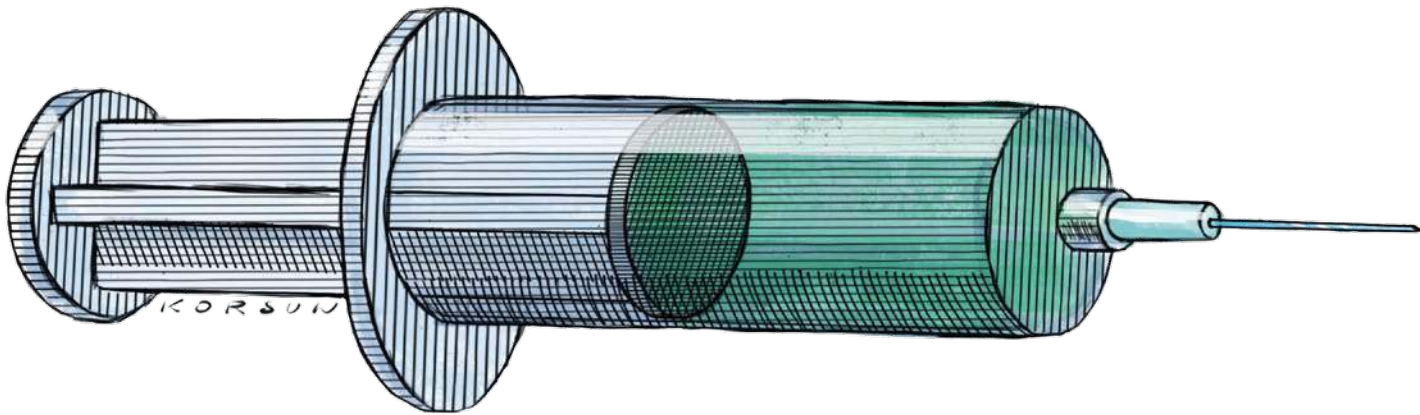
Co to znaczy „pasyżtuje”?

Chce chronić społeczeństwo przed chorobami, nie ponosząc konsekwencji. Nasze stowarzyszenie pomaga rodzicom w walce o odszkodowania, niedawno został złożony przeciwko państwu polskiemu pierwszy pozew o powikłania po szczepionce przeciw gruźlicy. W polskim systemie najczęściej powikłań jest odnotowanych po tym właśnie szczepieniu.

Z jednej strony jest państwa ruch, ale z drugiej – spora część społeczeństwa, która jest przeciwna zniesieniu obowiązkowego szczepienia dzieci. Co będzie, jak takie dwa fronty staną naprzeciwko siebie? Co mogłaby pani powiedzieć tym ludziom?

Że ich okłamano. Największą grupą podatną na choroby są osoby dorosłe. A nikt przecież nie proponuje wprowadzenia dla nich obowiązkowych szczepień. Chcielibyśmy im uświadomić, że jeżeli teraz nas nie poprą, to może komuś kiedyś taki pomysł wpadnie do głowy i będą – tak jak nasze dzieci, pomimo powikłań, jakie u nich występują – pod przymusem administracyjnym, pod presją, pokrzykiwaniem w przychodniach zmuszani do szczepień. Terror, jakiego doznają rodzice odmawiający szczepień, jest nie do opisania, boją się o życie swojego dziecka, że ktoś to dziecko im zabierze, mimo że ich decyzje są dyktowane wyłącznie jego dobrem.

Obywatele mają prawo żądać, żeby inni się szczepili



Z dr. hab. Jarosławem Pinkasem, głównym inspektorem sanitarnym, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Rząd poprze czy wnieśnie o odrzucenie obywatelskiego projektu o szczepieniach?

Jarosław Pinkas: Być może odpowiedzą będzie projekt rządowy, a nie tylko zajęcie stanowiska, trwają konsultacje międzyresortowe i z tego, co wiem, to wszystkie resorty podchodzą do tego w sposób jednoznaczny.

Krytyczny?

Jako obywatele mamy nie tylko prawa, lecz także obowiązki i warto o tym mówić, a my się boimy o tym mówić. Takim obowiązkiem są także szczepienia. Chory człowiek zaraża innych, dlatego obywatele mają prawo żądać, żeby inni się szczepili.

Z budżetu państwa wydaje się prawie 300 mln na obowiązkowe szczepienia. Gdyby znieść ten obowiązek, to może trochę by się zaoszczędziło i te pieniądze trafiłyby do onkologii i kardiologii. Przecież te choroby są na dwóch pierwszych miejscach, jeśli chodzi o śmiertelność Polaków.

A gdybyśmy w ogóle przestali szczepić, to wrócilibyśmy do XIX w., w którym to choroby zakaźne były na pierwszym miejscu. Szczepienia mają bardzo wysokie wskaźniki efektywności ekonomicznej, koszty leczenia powikłań chorób zakaźnych są wielokrotnie wyższe niż sam koszt szczepionek. Szczepienia są największym dobrodziejstwem, jakie dała nam szeroko rozumiana medycyna i ochrona zdrowia. Dzięki temu jesteśmy bezpiecznym krajem bez epidemii. Podwoiliśmy nakłady na szczepienia i zrobiliśmy to w sposób absolutnie bezpieczny.

No to koncerny farmaceutyczne się ucieszyły...

Nie boimy się tego, że przypisuje się nam jakieś nieczne działania i mówi, że ci, którzy popierają szczepienia, są związani z przemysłem farmaceutycznym. To jest irracjonalne. Gdyby na masową skalę powróciły choroby zakaźne, to kto by zarobił? Również firmy farmaceutyczne, a pewnie także

pogrzebowe. Kupujemy dobre szczepionki, bezpieczne, bo trudno sobie wyobrazić, żeby producenci narażali się na procesy i płacili wielomilionowe odszkodowania, a po drugie ludzie, którzy walczą z chorobami zakaźnymi, robią to dość rozsądnie – w skali świata jest to ciągle rozwój tej gałęzi medycyny. Faktem jest, że w opiece zdrowotnej brakuje nam środków, ale to są najlepiej wydane pieniądze.

Jednak te 120 tys. ludzi, którzy podpisali projekt ustawy, nie chce w to wierzyć.

Mamy niestety upadek autorytetów. 99,9 proc. lekarzy w Polsce doskonale o tym wie i pacjenci powinni im ufać, natomiast używa się argumentów związanych z merkantylizmem, brakiem naszej wiedzy, brakiem umiejętności postawienia diagnozy...

Organizacje, które chcą, żeby rodzice mieli prawo wyboru, są bardzo aktywne. Już sam fakt, że zdolano złożyć w Sejmie projekt obywatelski,

świadczy o tym, iż jest to potężny ruch docierający do ludzi. Natomiast z drugiej strony nie widzę jakiejś akcji, która by przekonywała rodziców, że trzeba szczepić, bo jest to zagrożenie, a przypadków NOP nie jest tak dużo w porównaniu z zakaźnymi infekcjami, które mogą się skończyć zgonem.

Jest, ale to bardzo słaba akcja. Nie zajęliśmy znaczącej przestrzeni w mediach społecznościowych, nasi specjaliści nie potrafią prowadzić skutecznej dyskusji na Twitterze czy Facebooku albo zwyczajnie nie mają czasu, żeby pokazać, jaki to jest bezsens, co druga strona oferuje. Śledziłem kilka lat temu ruch antyszczepionkowy w Stanach Zjednoczonych i muszę powiedzieć, że setki, tysiące lekarzy brało udział w mediach społecznościowych w kampaniach, które postponowały działalność antyszczepionkowców, przekazywano ludziom bardzo mądre argumenty, kierowano do właściwych linków, i to rzeczywiście zostało bardzo dobrze przyjęte. Zastosowano wszelkie możliwe środki dotarcia i przekonania społeczeństwa, że antyszczepionkowcy po prostu nie mają racji.

Ale to właśnie przeciwnicy obowiązkowych szczepień mówią, że ich zwolennicy posługują się fałszem.

Tak czy inaczej mama z takim niezszczepionym dzieckiem, które zachoruje, pójdzie do lekarza i będzie chciała posłuchać jego rad. I może usłyszeć: „Zdarzyło się to, bo pani dziecka nie zaszczepiła. Proszę powiedzieć, dlaczego pani do mnie przychodzi teraz, jeśli wcześniej mnie pani nie słuchała?”. Nie boję się powiedzieć, że w którymś momencie, jeżeli umrze pierwsze dziecko z powodu odrowego zapalenia mózgu, to ktoś będzie za to odpowiedzialny. Takie osoby będzie można wskazać palcem.

Komisja Europejska wyraziła zaniepokojenie gwałtownym wzrostem zachorowań na odrę w Europie, ale dowolność szczepień istnieje w 20 krajach naszego kontynentu.

Te państwa mają znacznie lepszą edukację zdrowotną niż my. Nie mamy

mocno zakorzenionych przez cały ciąg kształcenia przedmiotów związanych ze zdrowiem, higieną, szeroko rozumianym zdrowiem publicznym, zachowaniami prozdrowotnymi. A przecież mieliśmy, jeżeli chodzi o szczepienia, ogromny sukces przez całe lata, zwalczyliśmy wiele chorób, np. nie mamy w tej chwili polio, zwalczyliśmy ospę. Czy chcemy powrotu ospy? Ona jest dalej w dwóch, trzech laboratoriach...

...i niech tam zostanie.

Też tego sobie życzę. Lekarze, mikrobiolodzy doszli do niebywałego sukcesu.

Czy nie może być tak, że przychodzą rodzice z dzieckiem, które powinno być zaszczepione, a lekarz mówi: to jest szczepionka taka i taka, mogą wystąpić takie i takie efekty uboczne, ale są one rzadkie, przy każdym lekarstwie takie mogą być. I rodzice wtedy podejmują decyzję: szczepić czy nie szczepić. To jest ich odpowiedzialność. Ale z drugiej strony jest także interes innych – dziecko może się zarazić, może zarazić innych.

No tak to bywa, dlatego powinniśmy mieć obowiązki obywatelskie. Powinniśmy jeździć w pasach, choć niektórych to irytuje, trzymać się przepisów drogowych, postępować wedle dyktanda przykazań i stosować się do różnych kodeksów. Mamy obowiązki i tutaj też powinien to być obowiązek, zresztą jednoznaczny. Natomiast żebyśmy nie mieli wątpliwości, powinniśmy być dobrze edukowani. Po pierwsze – trzeba chcieć czytać, po drugie – mieć dobrych nauczycieli, po trzecie – wierzyć w to, że jednak za lekarzami nie stoją krwiożercze firmy farmaceutyczne, które chcą nam sprzedać za wszelką cenę produkt za pomocą recepty lekarskiej.

Autorzy tego projektu mówią m.in. o tym, że rodzice nie mają dostępu do większego spectrum szczepionek i są im oferowane także takie, które źle oceniają.

Każda partia jest sprawdzana przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicz-

nego. Nie ma innych tak dobrze sprawdzanych preparatów jak szczepionki. Kupujemy je dlatego, że są skuteczne, mamy pełną wiedzę o ich działaniu. Nie można tego dyskredytować tylko dlatego, że komuś się wydaje, że coś może źle działać albo że jest jakieś drugie czy trzecie dno.

Przyzna pan jednak, że lekarze nie zgłaszają do rejestru NOP wszystkich niepożądanych odczynów poszczepiennych i dlatego ta statystyczna liczba – jedno powikłanie na 10 tys. szczepień – jest niewiarygodna.

Może mamy pewne zafałszowanie, może nie wszystko jest sprawozdawane, ale generalnie mam przekonanie, że istotne odczyny poszczepienne są jednak zgłaszane. Mamy pełną wiedzę, co może się zdarzyć, jeżeli chodzi o szczepienia, i to nie jest problem. Potrafimy wyciągać wnioski. Zmniejszenie populacji zaszczepionych wpłynie na to, że będziemy mieli coraz większą ilość wirusa krążącego i atakującego ludzi.

Jako główny inspektor sanitarny pewnie przedstawi pan stanowisko, które nie będzie się podobało autorom obywatelskiego projektu.

Przede wszystkim będzie to stanowisko rządu, jest przygotowywane, zbieramy informacje od wszystkich ekspertów, którzy się na tym znają. Moje stanowisko jest zupełnie jednoznaczne – uważam to za największe dobrodziejstwo, które przyniosła nam szeroko rozumiana medycyna. Twierdę, że powinniśmy wdrażać nowe szczepienia, kalendarz powinien być dopełniony. No, ale przede wszystkim należy ludzi edukować.

To prawda, bez akcji edukacyjnej można tę bitwę przegrać.

Trzeba dać ludziom wiedzę i możliwość oceny. Będę dążył do popularyzacji rzetelnej wiedzy w mediach społecznościowych. Jak to ujął jeden z internautów: „Wiedzy wynikającej z dwustu lat badań naukowych nie można porównywać do wiedzy zdobytej w ciągu dwustu godzin przeglądania internetu”.

W sprawie kleru

Dawno temu uznano mnie za niepotrzebnego Polsce prawnika, więc zostałem taksówkarzem udzielającym między kursami porad prawnych w punkcie pomocy dla zwolnionych z pracy. To trudne do pojęcia, ale tak było – zwalniano z pracy za poglądy i trzeba było pomagać



MAREK MARKIEWICZ

Nosiłem też pokrzywdzonym przez protoplastów prezydenta Kwaśniewskiego dary: kapustę i kielbasę w czarnym flaku, której represjonowani często nie chcieli przyjmować. W poczuciu swej godności. Kielbasa we flaku różowym była taka sama, ale po różową stały kolejki.

Najgorsze, że punkt był kościelny i działali tam księża, jak się wydaje bezpłatnie, jak my, po godzinach i w niemałym trudzie. Nie narzekali, uczyli tolerancji – kto na mszę, a kto na kompocik. Nikt im nie dziękował, bo ksiądz przecież musi. Potem Papież w Gdańsku przypomniał, byśmy jeden drugiego brzemiona nosili. Tośmy nosili, zdawało się, że wszyscy. Po czasie wielu to noszenie przeszło, a i kielbasę można było już kupić, co pomnożyło szeregi przeciwników nie kielbasy, ale księży i Kościoła. Jak to mówią – brali, nie kwitowali. Przyjmowaliśmy to z tolerancją, ale i ze zdziwieniem. Z czasem im się zapomniało, że na każdym wzgórkulku starzy Polacy ustawiali kościół, tak że można było całą Polskę przejechać – od świątyni do świątyni. Polskę zresztą „bez stosów”, jak pisał niegdyś profesor Tazbir. Tolerancyjną. Bardziej niż ojczyzna komisarza z Holandii i jego kolegi, który jak to pijus, pije z miłości do ludzi, więc często, co jest grzechem,

ale on już o tym nie wie. Skąd by zresztą miał wiedzieć, co to grzech...

I tak dziwnie, tak niepostrzeżenie ludzie, których pamiętam z kolejek po kielbasę z Kościoła, gładzą o klekach z kleru, nawet już o darowanej wędlinie nie pamiętając, ale i o paciorku, co babcia uczyła także.

I o księdzu Skorupce, którego nie wiadomo, co na bitwę z komuną pociągnęło. Dama, którą świetnie pamiętam ze spotkania z Papieżem, wpatrzoną i rozmodloną, teraz w walce z wiekiem i pruderią opowiada o wartości macicy, choć nikt nie pyta, bo niby o co pytać.

Jedna taka prezydent Warszawy, co z kolan nie wstawała, teraz wspiera dekorowanie ultrakatolickiego króla, którego kodowcy w durnocie swej owijają szmatą. To może by się zrzucić i wstążeczkę na cześć Pana Boga na krzyżu króla zawiesić? Nie pozwolić? No może, no może... A w zasadzie na pewno pani prezydent strażników swych przyśle, co im znicze gasić kazała, to i wstążeczkę teraz każe wyrzucić.

Chyba że się nie pozwoli, co znaczy, że nie pozwolimy, bo samo nic się nie dzieje, chyba że u feministek.

Wcale to nie jest tak, że jestem szczególnie religijny, ot tak – tradycyjnie. Rodzice chodzili do kościoła, dziadkowie, pradziadkowie, babcia nauczyła pacierza, nie dziwiło, że przed bitwą Jagiello dwóch mszy wysłuchiwał. Na spotkaniach z Papieżem też bywałem. Także i tym w Łowiczu, gdzie uroczono napisano, że „blok 54 zawsze z Papieżem”, co musiało zawstydzić bloki sąsiednie. I nikt wtedy o moherach nie mówił ani o Ciemnogrodzie. Blok stoi nadal.

Więc jako tradycyjnie wierzący magister tradycyjnie myślę sobie, że jednak

dokonuje się jakieś zwykłe świństwo, na które moja babcia by nie pozwoliła, więc i ja w jej zastępstwie pozwolić nie mogę.

To także z moich podatków robi się filmy przeciwko policji, teraz Kościółowi, a o lubieżnych rabinach i krwawych komunistach ciągle filmu nie ma. I dotąd – choć wśród komunistów niemało było bandytów – to się z nimi rozmawia, choć błądzą, rękę podaje, bo tak to w Polsce bywało, bo też i napisano: „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzieni, nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni, odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone”.

Nie wszyscy wszystkim. Jeśli jednak kilku, kilkunastu czy kilkuset nawet księży zawiodło, to do potępienia Kościoła całego – Matki Naszej – jeszcze daleko, a przecież niektórym tak blisko.

Parę dni temu zaprzyjaźniona dziennikarka poprosiła mnie o wypowiedź na temat wyroku z Poznania, gdzie zasądzono milion złotych od zgromadzenia za to, że zakonnik współżył z nieletnią. Chcąc mnie zachęcić, dziennikarka wyliczyła i tych mądrzejszych ode mnie, i tych bardziej znanych, którzy odmówili – bo „sprawy nie znają”, bo „temat trudny”, bo „sporo zajęć”, jeden nawet miał ucho chore, więc padło na mnie. A chodziło o oczywisty i wstrętny wybryk zakonnika i uznanie odpowiedzialności zakonu, choć jego władze o sprawie bezspornie nie wiedziały. Zakonnik odsiedział parę lat, i słusznie, problem więc już nie w tym, ale w odpowiedzialności zakonu, który nie za swą winę, ale za swe ryzyko ma odpowiadać. Tak bym chciał, żeby za jednego sędziego w Żyrardowie cały sąd płacił.

Redakcje były nagrzane, reporterzy w dółkach startowych przeżyli się przed

ulicznymi sondami z pytaniem: „Czy potępia pan/pani Pana Jezusa, papieża oraz – tu dowolne nazwisko – biskupa? Czy nie sądzi pan/pani, że Konkordat trzeba wypowiedzieć, a kościoły zburzyć? A może pan/pani sądzi, że trzeba religię znieść w szkołach, jak to za komuny było i nikomu nie szkodziło”.



Bo wtedy się nauczało, jak należy, a jak się jakiemuś nie podobało – to kamulki do nóg i do Wisły...

Zapomnieliście?

Na szczęście sąd w Poznaniu uznał sprawę za poważniejszą i odroczył ogłoszenie wyroku. Iluż zawiedzionych tego dnia cudzołożyło, grzesznie obmawiało, a może i podwędziło pięćdziesiątaka na stacji benzynowej, bo Sąd Najwyższy nie powie przecie: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”. Pięćdziesiątaka podprowadzić – to z nadmiaru pracy i zaabsorbowania, powiada sąd, nad którym nie ma wyższego. A żeby na emeryturę, odpocząć – nie chcą... Tak to z tym sądem jak z faryzeuszami.

A co do filmów... Żeby film o całym jednym Biedroniu zrobić i nie dlatego, że ktoś tam w Słupsku – niestety nie ksiądz – małoletnich molestował, żeby... Ale nie i dobrze – zboczeńca do aresztu, a Biedroń – jeśli wygra dzięki swym upodobaniom – to trudno. Niech wygra. Bo jak w to się gra, to przyjdzie czas na kariery tych co „po bożemu”. Tak samo głupio. Choć co ma upodobanie do kariery?

Filmów zresztą już wkrótce nie będzie, bo i aktorom się pomieszało. Kiedyś w niepoświęconej ziemi, pod płotem miejsce znajdowali, co pokory wysiłkiem widzów z matni się wydobyli, aż tu diabeł jabłuszko podał i artyści o polityce zaczęli mówić – między filmem dla dzieci, konferansjerką i deklamacją w małym gronie. Nowa wersja dubbingu.

A jak kiedyś był bojkot, to gdzie występowali? W kościołach, kruchtach, po kaplicach, tam milej było niż u komuny. Dziś miło grywać w Powszechnym w duchu niezależności i wolności od Kościoła, bo ten najbardziej doskwiera, bardziej grzesznym niż bezgrzesznym. Takie to zmiany.

Ale przeciw durnocie i hejtowi trzeba wystąpić, bo czuje się jej swąd wokół, czuje się nienawiść.

A jak przyjdzie twoga? To do kogo się zwrócić, do kogo się uciec? W wieczór śmierci Papieża jeden dziennikarz, dziś celebryta, pytał obecnego w studiu księdza, wskazując palcem na sufit, czy tam ktoś jest? Grzecznie nie zapytał o „coś”. Myślałem, że był to epizod i wzruszenie, ale okazało się, że

trwała durnota, sądząc po dzisiejszych dokonaniach.

A jak zabraknie takiej firmy, który naucza, by ociemniałym podać rękę, a kult Matki stawia najwyżej, wyżej niż wszystkie feministki są w stanie dostrzec? To co będzie?

Wszystko dzieje się niepostrzeżenie, jakby pod sznurek, ale konsekwentnie. To Kościół winien, to księża jak jeden mąż zepsuci... Ale żeby Kościół w tym kłopotie wesprzeć, bo musi sobie z tym poradzić, bo nie po to jest Kościołem, bo Kościołem jesteśmy wszyscy, bo i nasz to kłopot – to chętnych nie ma.

Trzeba razem, trzeba się policzyć. Ładnie powiedział Huxley: „Co należy zrobić po upadku? To, co robią dzieci: podnieść się”.

To może 11 listopada trzeba by się policzyć na marszu nie tylko jako milion faszystów oczywistych dla głupków, co faszysty nie widzieli, ale jako tyleż samo w obronie wrednie oskarżanego Kościoła – Matki Naszej. Przynajmniej naszej, więc innym nic do tego.

Itak bym chciał, by jakiś mądry ksiądz nad grobem Pani Redaktor Grzybowskiej powiedział słowo o dobrym Panu Bogu. Co bardzo potrzebne jest.

Kard. Blase Cupich

Dziś w USA księża przeciwstawiający się lobby homoseksualnemu w Kościele mogą być nawet wysyłani przez biskupów na badania psychiatryczne

Koń trojański w Mieście Boga

Fot. AP Photo/Charles Rex Arbogast, Pool

W marcu 2005 r. na łamach miesięcznika „W Drodze” opublikowałem artykuł opisujący moją wizytę w Oregonie, gdzie miałem okazję przyjrzeć się z bliska, jak funkcjonuje pierwsza w USA diecezja katolicka, która ogłosiła bankructwo z powodu odszkodowań dla ofiar pedofilii. Pod koniec tekstu napisałem: „Wspomnieć muszę o jeszcze jednej rozmowie (nie było to w Oregonie) – mianowicie z księdzem, który jest ojcem duchownym w seminarium, a zarazem ma za zadanie tropić wśród kleryków homoseksualistów i doprowadzać do ich usunięcia z uczelni. Otóż ma on doskonale układy z miejscowymi policjantami i kiedy ci ostatni idą po cywilu na spotkania ze swymi tajnymi »wtyczkami«, niekiedy zabierają go z sobą. Ksiądz ten, również po cywilu, udając policjanta, uczestniczy w rozmowach z informatorami obracającymi się w środowisku gejowskim. Od nich często dowiaduje się, którzy klerycy odczuwają pociąg do osób tej samej płci.

Zapytałem księdza, skąd owi agenci wśród gejów mają tak dokładne rozeznanie w preferencjach seksualnych seminarzystów. Odpowiedział mi to, co sam usłyszał – oni celowo



GRZEGORZ GÓRNY

wysyłają swoich ludzi do seminariów, bo chcą mieć w przyszłości księży, którzy będą błogosławić ich związki”.

KOŚCIÓŁ – OFIARA INFILTRACJI

Od tamtego czasu minęło ponad 13 lat, a „lawendowa mafia” coraz bardziej przenika w kościelne struktury. Coraz częściej publicznie pojawiają się głosy wpływowych teologów, księży, a nawet biskupów, którzy głośno domagają się porzucenia przez Kościół dotychczasowego nauczania w sprawie homoseksualizmu. Wysuwają zwłaszcza trzy postulaty: zmiany moralnej oceny tej preferencji seksualnej i akceptacji jej przez Kościół, zrównania związków jedнопłciowych z małżeństwami oraz oficjalnego dopuszczenia homoseksualistów do święceń kapłańskich.

O tym, że Kościół staje się ofiarą penetracji przez wrogi mu siły, mówiła jeszcze w 1953 r. w Senacie USA, składając zeznania przed Komisją Śledczą ds. Działalności Antyamerykańskiej, Bella Dodd. W latach 1927–1949 była ona jedną z najbardziej wpływowych osób w Komunistycznej Partii

Stanów Zjednoczonych. Po II wojnie światowej przeżyła przełom duchowy. W 1950 r. dzięki abp. Fultonowi Sheenowi powróciła do Kościoła katolickiego. W swej książce „Szkoła ciemności” opisała m.in. mechanizmy infiltracji amerykańskiego społeczeństwa przez komunistyczną agenturę.

Zeznając pod przysięgą przed wspomnianą komisją śledczą, Bella Dodd powiedziała: „W latach 30. wprowadziliśmy 1100 mężczyzn do kapłaństwa, aby zniszczyć Kościół od wewnątrz. Chodziło o to, aby ci ludzie zostali wyświęceni, a następnie wspięli się po drabinie wpływów i władzy jako pralaci i biskupi”.

Byli to ludzie niewierzący w Boga, najczęściej ateści, komuniści, a wśród nich także homoseksualiści, którzy zyskiwali w ten sposób łatwy dostęp do dużej liczby młodych chłopców. Zadanie nie było ciężkie: mieli za darmo mieszkanie i wyżywienie, cieszyli się szacunkiem i prestiżem społecznym, a jednocześnie ożywiało ich poczucie tajnej misji wymierzonej w zniechęconą instytucję. Ryzyko zdemaskowania było żadne, bo nie musieli się kontaktować z centralą ani wykonywać konkretnych zadań. Wystarczyło, że prowadzą podwójne życie. Działanie to zgodne było z zasadami sztuki wojny Sun Tsy, by rozkładać społeczeństwo wroga od środka.

Popularny amerykański dziennikarz i bloger katolicki Michael Voris na portalu Church Militant zauważa, że jeśli ci ludzie zostali wyświęceni na księży i zrobili później kariery jako rektorzy seminariów, kierownicy ds. powołań kapłańskich, biskupi czy nawet kardynałowie, to właśnie oni odpowiadaliby za rekrutowanie następnego pokolenia mężczyzn do seminariów, a szczyt ich wpływów przypadłby na lata 60., gdy rozpoczął się kryzys w Kościele. To oni otworzyliby drzwi Kościoła dla rewolucji seksualnej i penetracji przez homoseksualizm.

KAPŁAN – OFIARA PEDOFILÓW

Żeby uniknąć zarzutów o ogólnikowość, zobaczymy na konkretnym przykładzie, jak działa dziś lobby homoseksualne w USA. Przenieśmy się do stanu Illinois.

22 września w parafii Zmartwychwstania Pańskiego w Chicago pojawił się z niezapowiedzianą wizytą biskup pomocniczy tej diecezji Mark Bartosic i nakazał tamtejszemu proboszczowi ks. Paulowi Kalchikowi spakowanie swoich rzeczy i natychmiastowe opuszczenie plebanii, bo w przeciwnym wypadku wezwie policję. Kapłan szykował się właśnie do przewodniczenia ceremonii ślubu, ale sufragan nie pozwolił mu na to i sam zastąpił go przy ołtarzu. Kapłan musiał więc pośpiesznie się spakować i opuścić parafię.

Jaki był powód tak zdecydowanej reakcji kurii chicagowskiej wobec proboszcza? Otóż po opublikowaniu słynnego już raportu abp. Carla Marii Viganò, ujawniającego istnienie lobby gejowskiego na szczytach Kościoła oraz przypadki tuszowania skandali seksualnych przez najwyższą hierarchię katolicką, ks. Paul Kalchik postanowił publicznie zabrać głos. Przyznał, że jako nastolatek został dwukrotnie wykorzystany seksualnie przez księży. Było to dla niego traumatyczne doświadczenie. Wiele osób w takiej sytuacji traci wiarę i odchodzi od Kościoła. On jednak pozostał wierny Bogu, a nawet został kapłanem.

Raport abp. Viganò ośmielił ks. Kalchika do publicznego wystąpienia. Napisał list otwarty do Franciszka, w którym błagał go, by przestano tuszować afery pedofilsko-homoseksualne i przeprowadzono rzetelne dochodzenie, które wyjaśni wszystkie przypadki nadużyć seksualnych wśród duchownych w Ameryce. Kapłan przyznawał, że w Kościele istnieje silne lobby gejowskie (sam padł ofiarą pedofilów należących do tego lobby), które niszczy Kościół od środka. Dlatego – jego zdaniem – konieczna jest zdecydowana walka z „lawendową mafią”.

KARDYNAŁ – HOMOLOBBYSTA

Wystąpienie ks. Paula Kalchika wywołało niezadowolenie jego ordynariusza – kard. Blase’a Cupicha, którego abp Viganò wskazał w swym raporcie jako czołowego przedstawiciela lobby homoseksualnego w Kościele, nazywając go wręcz „zaślepiętą ideologią gejowską”. Sam Cupich skrytykował raport Viganò, mówiąc, że jego autor kierował się pobudkami rasistowskimi, ponieważ Franciszek jest Latynosem. Powiedział też, że papież ma dziś ważniejsze problemy na głowie niż skandale seksualne w Kościele, np. globalne ocieplenie i kwestię imigrantów.

Oświadczenie purpurata wywołało olbrzymie wzburzenie w całej Ameryce. Kiedy sprawa stała się głośna, Cupich oskarżył kanał NBC5 o manipulację, twierdząc, że wyrwano

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

55/0918/E

jego słowa z kontekstu i tym samym wypaczono ich sens. W odpowiedzi telewizja wyemitowała całą wypowiedź kardynała. Okazało się, że nie dokonano w niej żadnej manipulacji ani nie zmieniono sensu, tak więc metropolita mijał się z prawdą.

Żeby zrozumieć wściekłość metropolity Chicago na ks. Kalchik, warto przypomnieć kilka faktów z jego życia. Otóż Blase Cupich, gdy został mianowany biskupem Spokane w stanie Waszyngton, zabronił kapłanom i seminarzystom w swojej diecezji udziału w czuwaniach modlitewnych przed klinikami aborcyjnymi Planned Parenthood. Później wyłamał się ze stanowiska amerykańskiego episkopatu i poparł Obamacare, a więc projekt przewidujący objęcie powszechnym ubezpieczeniem zdrowotnym finansowania środków antykoncepcyjnych i wczesnoporonnych, a także zabiegów sterylizacji. Już jako metropolita Chicago ponownie sprzeciwił się episkopatowi w czerwcu 2015 r. w sprawie wyroku Sądu Najwyższy USA zrównującego pary homoseksualne z normalnymi małżeństwami. Amerykańscy biskupi gremialnie potępił ten akt – za wyjątkiem właśnie Cupicha.

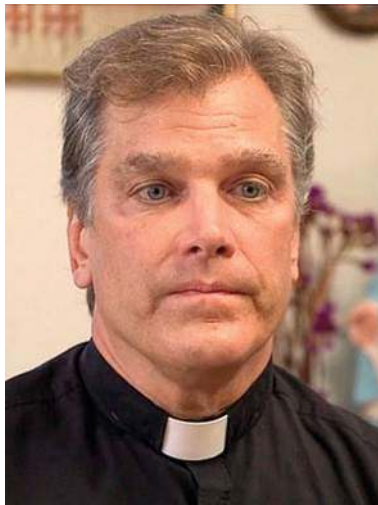
Podczas Synodu ds. Biskupów w Rzymie dał się poznać jako czołowy zwolennik dowartościowania homoseksualizmu przez Kościół. Wypowiadał się publicznie za tym, by dostęp do Komunii Świętej miały nie tylko osoby rozwiedzione i pozostające w ponownych związkach, lecz także aktywni homoseksualiści, bez konieczności konsultacji tego z kimkolwiek, a jedynie wsłuchując się we własne sumienie.

W tej sytuacji nic dziwnego, że kard. Cupich bagatelizuje sprawę afer pedofilskich i homoseksualnych w Kościele. Jego postawa wywołała jednak niezadowolenie ks. Kalchika, który wezwał katolików w diecezji chicagowskiej, by nie przychodzili na msze celebrowane przez swojego metropolitę, dopóki nie zaangażuje się on w wyjaśnienie skandali seksualnych w Kościele. W swym biuletynie parafialnym proboszcz ogłosił też, że 29 września, w święto Archaniołów Michała, Rafała i Gabriela, zamierza spalić przed swoim kościołem tęcza flagę. Zapowiedź wywołała natychmiastową reakcję środowiska LGBT.

„DZIĘKUJĘ CI, KARDYNALE”

Przedstawiciele ruchu gejowskiego zjawili się ze skargą u kard. Cupicha. W efekcie ks. Kalchik został wezwany do kurii, gdzie zakazano mu zniszczenia sztandaru. Sprawę postanowili jednak wziąć w swoje ręce jego parafianie i 19 września puścili z dymem tęcza flagę.

Warto wspomnieć, że nie był to zwykły sztandar gejowski, lecz symboliczny przedmiot związany z historią kościoła Zmartwychwstania Pańskiego w Chicago. Otóż jeden z poprzedników ks. Kalchika – pierwszy urzędujący tam proboszcz ks. Daniel Montalbano – już na początku swej posługi ogłosił, że jego parafia będzie „przyjazna gejom”. W 1991 r.



Ks. Paul Kalchik

zakupił olbrzymią tęcza flagę, na którą naszył krzyż i wywiesił nad ołtarzem. Pierwszą mszę w tej świątyni celebrował osobiście – pod sztandarem środowisk LGBT – ówczesny metropolita Chicago kard. Joseph Bernardin.

Ks. Daniel Montalbano, jeden z założycieli diecezjalnej grupy gejów i lesbijek, nie miał szczęścia. Jego poprzedni kościół św. Sebastiana, który zasłynął z odprawiania mszy dla homoseksualistów, spłonął doszczętnie. W parafii Zmartwychwstania Pańskiego zapamiętano go głównie z gejowskich nabożeństw i dzikich męskich imprez na plebanii. On sam zmarł w 1997 r., mając zaledwie 50 lat. Znaleziono go nagiego, podłączonego narządami płciowymi do specjalnej maszyny stymulującej organizmy. Ściany pokoju pokryte były wielkimi lustrami, a szafy pełne pornografii homoseksualnej. Mimo to ks. Montalbano (oficjalnie zmarł na zawał serca) pochowany został z wielkimi honorami, a uroczystościom pogrzebowym przewodniczył jego przyjaciel kard. Bernardin.

Niedawno na plebanii odnaleziono schowany gdzieś głęboko sztandar i postanowiono go zniszczyć. Ks. Kalchik bronił decyzji o spaleniu tęcza flagi. Uzasadniał, że nie należy ona ani do archidiecezji, ani kard. Cupicha, lecz do parafii, która zapłaciła za nią 1 tys. dol., więc ma prawo nią dysponować. Według parafian pamiętających mroczną przeszłość ks. Montalbano flaga łącząca krzyż z gejowską tęczą była przedmiotem rytualnym symbolizującym bluźnierstwo. Sztandar został więc spalony, a osoby obecne przy tym odmawiały słowa modlitwy egzorcyzmującej.

Po tym wydarzeniu ks. Kalchik zaczął otrzymywać anonimowe, w których grozono mu śmiercią. Wkrótce potem został wezwany przez kard. Cupicha do zgłoszenia się na badania psychiatryczne, które mają wykazać, czy jest zdrowy na umyśle. Proboszcz oświadczył jednak, że nie zgłosi się na badania. Wtedy do akcji wkroczył bp Bartosic i usunął go z parafii.

Dziś ks. Kalchik się ukrywa. Grozi mu wydalenie ze stanu kapłańskiego za niepodporządkowanie się woli przełożonego i unikanie badań. Kard. Cupich wskazał nawet konkretną placówkę – St. Luke Institute, która ma pomóc księdzu w jego problemach psychiatrycznych (co ciekawe, były dyrektor tej instytucji został w 2014 r. skazany za defraudację 200 tys. dol., które wydał na swych męskich kochanków). Wiele wskazuje na to, że kapłan mógłby zostać objęty tam programem „terapii regeneracyjnej”, która przewiduje półroczny pobyt na oddziale zamkniętym, pięcioletni okres ambulatoryjny i objęcie obserwacją do końca życia.

Decyzja kurii spotkała się natomiast z aplauzem środowisk LGBT. Transgenderowy aktywista Alexandra Whitney napisał na Twitterze: „Przez lata kontaktowałem się z abp. Cupichem i doradzałem mu w kwestiach transseksualnych katolików. Pragnę wyrazić mu swoją wdzięczność za sposobność, jaką dał mi do swobodnego rozmawiania z nim, oraz za szybkość, z jaką usunął ks. Kalchika. Dziękuję ci, kardynale”.

Zostałeś z umową rezerwową na prąd?

Atrakcyjna oferta, duże zniżki i proste formalności. Oszczędności na rachunkach za prąd skusiłyby każdego. Niestety małe firmy świadczące usługi sprzedaży energii elektrycznej same się przeliczyły. W ostatnim czasie kilka z nich ogłosiło upadek, a ich klienci zostali bez stałej umowy na dostawę prądu

PRĄD DALEJ PŁYNIE W GNIAZDKU

W ostatnich tygodniach media informowały o upadłości dwóch niezależnych sprzedawców – Energii dla Firm i Energetycznego Centrum. Co to oznacza, skoro w domach i firmach prąd nadal płynie z gniazdka? Ustawodawca przewidział taką sytuację i zapewnił ochronę klientom. Zgodnie z prawem energetycznym sprzedaż i dystrybucja muszą być rozdzielone na dwa przedsiębiorstwa. Jest to ustawowy wymóg rozdzielenia działalności dystrybucyjnej od działalności obrotowej i wytwórczej.

SPRZEDAŻ REZERWOWA – CO TO ZNACZY

Konsument może zawrzeć dwie odrębne umowy: umowę sprzedaży ze sprzedawcą oraz umowę o świadczenie usług dystrybucji z dystrybutorem albo jedną umowę – umowę kompleksową. Umowa kompleksowa jest zawierana ze sprzedawcą. To umowa sprzedaży i dystrybucji prądu.

Dystrybutor energii to spółka państwowa, która ma obowiązek dostarczania prądu na danym terenie. Natomiast sprzedawcą jest spółka, która podpisuje z klientem umowę na sprzedaż energii. Dlatego też upadłość sprzedawcy nie oznacza, że jego klient straci dostęp do energii elektrycznej.

KTO ZWLEKA, TEN ZAPŁACI WIĘCEJ

Zgodnie z prawem przy podpisywaniu umowy kompleksowej na dostawę prądu klient ma obowiązek wskazać tzw. sprzedawcę rezerwowego. Dzięki niemu ciągłość dostaw prądu jest zabezpieczona, jednak ma to też swoje konsekwencje. Klienci sprzedawców rezerwowych są rozliczani według wyższych stawek, co oznacza, że rachunki za prąd mogą wzrosnąć, czasem nawet kilkukrotnie!

– Bardzo często klienci nie zdają sobie sprawy, że ich sprzedawca energii przestał istnieć. Zaskakuje ich za to dwukrotnie, a czasem i jeszcze wyższy rachunek za prąd i dopiero w momencie otrzymania faktury orientują się, że coś jest nie tak. Aby tego uniknąć, należy uważnie przeglądać korespondencję czy komunikaty w mediach i w momencie otrzymania informacji o przejęciu obsługi przez sprzedawcę rezerwowego jak najszybciej podpisać umowę z nowym sprzedawcą – dodaje Dariusz Falkiewicz, prezes zarządu Energi Obrótu.

WYBIERZ ROZSĄDNIIE, CZYLI JAK SPRAWDZIĆ SPRZEDAWCĘ PRĄDU

Każde przedsiębiorstwo sprzedające prąd musi posiadać koncesję wydaną przez Urząd Regulacji Energetyki. Baze

można znaleźć na stronie internetowej URE. Ponadto przed związaniem się z wybranym sprzedawcą warto sprawdzić opinię o danym przedsiębiorstwie w internecie – ile lat istnieje firma czy ilu ma klientów. Aby uniknąć rozczarowań przy zmianie sprzedawcy, przed podpisaniem umowy warto sprawdzić, jaki ma kapitał zakładowy (im większy, tym ryzyko mniejsze), czy spółka jest np. notowana na giełdzie, czy jej oferta jest dostępna na stronie Urzędu Regulacji Energetyki.

W ENERDZE STAWIAJĄ NA EDUKACJĘ I SZYBKIE DZIAŁANIE

W sytuacji, kiedy klient zostaje porzucony przez swojego dotychczasowego sprzedawcę prądu, liczy się czas. Od dnia, w którym stary sprzedawca nie sprzedaje już energii, prąd rozliczany jest po znacznie wyższych stawkach przez sprzedawcę rezerwowego. To od klienta zależy, jak długo ten stan się utrzyma. W tym procesie decyzje zależą głównie od niego – najpierw, kiedy zmienia sprzedawcę na mniejszego, potem zwlekając z podpisaniem nowej umowy, tym razem ze stabilnym partnerem.

– W Enerdze stawiamy na edukację. Rzetelnie informujemy o konsekwencjach zmiany sprzedawcy i ryzyku przeniesienia klienta na stawki, które wynikają ze sprzedaży rezerwowej. Teraz, kiedy sytuacja dla kilkudziesięciu tysięcy klientów na terenie działania Energi Operator jest bardzo trudna i kryzysowa, też działamy szybko. Mamy dwie dodatkowe infolinie: dla klientów indywidualnych 55 66 77 811 i biznesowych 55 66 77 810. Prowadzimy kampanię informacyjną w mediach i social mediach. Każdy, kto zgłosi się do nas, dostanie opiekę – podkreśla prezes Falkiewicz.

Zostałeś bez sprzedawcy prądu?

Energa

Pamiętaj!
Im dłużej korzystasz ze stawek z umowy rezerwowej, tym więcej płacisz za prąd

W tym tygodniu kończą się konsultacje społeczne projektu ustawy o rodzicielskim świadczeniu uzupełniającym, czyli tzw. matczynej emeryturze. Ta ustawa ma być realizacją wiosennej obietnicy premiera Morawieckiego o zapewnieniu świadczenia emerytalnego dla matek, które urodziły i wychowały lub tylko wychowały co najmniej czworo dzieci. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że projekt ma kilka mizn, na których rząd może utknąć

Mielizny matczynej



DOROTA ŁOSIEWICZ

W uzasadnieniu do projektu matczynej emerytury czytamy, że „projektowana ustawa ma na celu uhonorowanie i docenienie okresu wychowywania dzieci. [...] Podstawowym celem projektowanej regulacji jest zapewnienie środków

utrzymania osobom, które zrezygnowały z zatrudnienia lub go nie podjęły ze względu na wychowywanie dzieci w rodzinach wielodzietnych. Projektowane zmiany podkreślają ważną z punktu widzenia rozwoju kraju funkcję społeczną pełnioną przez rodziców, w większości kobiet, związaną z wychowywaniem dzieci”.

Tak określony cel jest niezwykle chwalebny, do tej pory bowiem kobiety, które poświęcały się wychowaniu dzieci, wypadały poza system emerytalny. A przecież wychowane przez nie dzieci pracują na emeryturę, którzy nigdy dzieci nie mieli.

Niestety przedstawiony do konsultacji społecznych projekt poza bazowaniem na słusznej koncepcji może się okazać zwyczajnie niesprawiedliwy.

DLA KOGO ŚWIADCZENIE?

Nim jednak wskażę na zagrożenia związane z przygotowywaną ustawą, powiedzmy, komu ustawodawca chce wypłacić świadczenie. W uzasadnieniu czytamy, że chodzi o uhonorowanie osób, które „wychowały co najmniej czworo dzieci i z tytułu długoletniego zajmowania się potomstwem nie wyprowadziły emerytury w wysokości odpo-



emerytury

Foto: Shutterstock

wiadającej co najmniej kwocie najniższej emerytury”. Tak więc świadczenie przewidziane jest dla matki, która urodziła i wychowała co najmniej czworo dzieci. Ma być ono także należne ojcom, którzy wychowali co najmniej czworo dzieci, jednak wyłącznie w przypadku śmierci matki dzieci albo porzucenia dzieci przez matkę. Świadczenie ma być przyznawane matce lub ojcu dzieci na ich wniosek, po osiągnięciu wieku wynoszącego odpowiednio 60 lub 65 lat, w przypadku gdy nie posiadają oni dochodu zapewniającego niezbędne środki utrzymania albo mają prawo do emerytury lub renty w wysokości niż-

szej niż wysokość najniższej emerytury (w 2018 r. wynosi ona 1 029,80 zł brutto).

Będzie to świadczenie nieskładkowe (pozaubezpieczeniowe) o specjalnym charakterze, które jedynie uzupełniając lub zastępczo będzie powiązane z ryzykiem starości. Wysokość świadczenia nie będzie mogła być wyższa od najniższej emerytury (1 029,80 zł brutto). Będzie ono podlegało corocznej waloryzacji. W przypadku ustalonego prawa do emerytury lub renty w wysokości niższej niż wysokość najniższej emerytury, rodzicielskie świadczenie uzupełniające ma stanowić dopełnienie jej wysokości do wysokości najniższej

emerytury. Czyli upraszczając – kobieta, która nie wypracowała żadnej emerytury (i ojciec pod wskazanymi wyżej warunkami), zostanie od państwa 1 029,80 zł brutto. Kobieta, która wypracowała emeryturę na poziomie 500 zł, dostanie od państwa ok. 500 zł (tak by uzupełnić jej świadczenie do najniższej emerytury).

Z tego świadczenia nie będą mogły skorzystać jednak te osoby, które sąd pozbawił władzy rodzicielskiej lub którym sąd ograniczył władzę rodzicielską przez umieszczenie dziecka w pieczy zastępczej; w przypadku długotrwałego zaprzestania wychowania małoletnich dzieci; gdy po przyznaniu świadczenia osoba je pobierająca zostanie tymczasowo aresztowana lub będzie odbywała karę pozbawienia wolności (z pewnymi wyjątkami) lub przebywała w całodobowych placówkach odwykowych dla osób uzależnionych od alkoholu, narkotyków lub innych środków odurzających; jeżeli ustaną okoliczności będące podstawą przyznania świadczenia, np. wyjazd z Polski, uzyskanie dochodu, odbywanie kary pozbawienia wolności – wówczas prawo do świadczenia ustanie, co zostanie potwierdzone stosowną decyzją właściwego organu rentowego.

GDZIE TU SPRAWIEDLIWOŚĆ?

Według szacunków Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej kobiet, które urodziły i wychowały czwórkę dzieci, jest w Polsce ok. 80 tys. Jednak w tej grupie aż 20 tys. kobiet to takie, które wypracowały sobie świadczenie emerytalne na poziomie nieuprawniającym ich do skorzystania z matczynej emerytury. Od chwili, gdy projekt ustawy trafił do konsultacji społecznych i zaczęło się o nim mówić w mediach, dostałam liczne telefony, maile czy informacje wysyłane przez Facebooka, w którym pada pytanie: „Gdzie tu sprawiedliwość społeczna?”. Usłyszałam np. historię kobiety, która mając czwórkę dzieci, z czego dwójkę przysposobionych, doksztalać się nocami, by skończyć studia i mieć lepszą pracę. To się udało, dostała pracę, zarabiała wspólnie z mężem na utrzymanie rodziny, nocami prała, sprzątała, o świecie zbierała grzyby i jagody, które

później rodzina sprzedawała przy drodze. Wszystko po to, by pozyskać jak największe środki na wychowanie i edukację czwórki dzieci. Po latach dzieci są świetnie wykształcone i wspierają matkę. Jednak nie mogą zrozumieć, dlaczego ich mama, która ma 1,6 tys. zł emerytury, nie dostanie od państwa nic, a sąsiadka, która wychowała tyle samo dzieci, ale nigdy nie pracowała zawodowo, dostanie aż 1 tys. zł.

„Nagrodzone zostaną tylko te osoby, które były bierne zawodowo. W konsekwencji ustawa zniechęci kobiety – matki czwórki dzieci – do wchodzenia na rynek pracy, bo i tak dostaną ustawowe minimum. Takie osoby nie będą zatem zainteresowane legalną pracą, powiększając szarą strefę” – mówił na łamach „Gazety Prawnej” dr Tomasz Lasocki z Katedry Prawa Ubezpieczeń WPIA UW.

– Wiem, że ten aspekt ustawy budzi największe emocje. W pierwotnych założeniach projektu te osoby też były ujęte, jednak pan premier podjął decyzję, by tej grupy w projekcie nie ujmować – tłumaczyła mi w „Kwadransie politycznym” wicepremier Beata Szydło, szefowa Komitetu Społecznego. – Natomiast pamiętajmy, że projekt jest wciąż w konsultacjach, to nie jest jego ostateczny kształt i mamy czas, by go uzupełnić, wypracować dobre rozwiązania. Na pewno do tego wrócimy i mam nadzieję, że grupę osób, o której mowa, jakoś da się uwzględnić – dodawała wicepremier.

Jak to zrobić? Ja na szczęście ustawodawcą nie jestem, ale sprawiedliwe wydawałoby się przygotowanie rozwiązania, które byłoby jakiegoś rodzaju dodatkiem do emerytury dla osób, które tę emeryturę wypracowały.

SKĄD TA DYSKRYMINACJA?

Teraz przyjrzyjmy się przepisom dotyczącym ojców. Ci będą mogli otrzymać rodzicielskie świadczenie uzupełniające po ukończeniu 65. roku życia tylko w sytuacji, gdy wychowywali dzieci po śmierci matki albo po porzuceniu przez nią rodziny. I tu znów rodzi się wiele pytań. Dlaczego nie w sytuacji

odwrotnej, którą dla kobiet przewidział ustawodawca, czyli gdy to mężczyzna zdecydował się zrezygnować z pracy, by opiekować się dziećmi, a kobieta pozostawała aktywna zawodowo? W takiej sytuacji to przecież mężczyzna nie wypracował świadczenia emerytalnego i funkcjonuje poza systemem. To z całą pewnością sytuacja rzadziej spotykana, ale w dzisiejszych czasach wcale nie niemożliwa. Osobiście znam dwa małżeństwa, w których to kobieta pracuje, a mężczyzna wychowuje dzieci i zajmuje się domem.

Matki, które wypracowały sobie świadczenie emerytalne na poziomie nieuprawniającym ich do skorzystania z matczynej emerytury, mówią, że planowana ustawa jest niesprawiedliwa

„Co z gospodarstwami, w których to panowie prowadzą dom i wychowują dzieci? To jest punkt, który wymaga zmian. Myślę, że gdyby to rozwiązanie było zarezerwowane tylko dla kobiet, uzasadnione wątpliwości zgłosił także Komisja Europejska. Płeć nie może być czynnikiem dyskryminującym” – mówił w rozmowie z Money.pl Antoni Kolek, prezes Instytutu Emerytalnego.

Można też postawić pytanie o to, jak mężczyzna udowodni, że to żona opuściła jego, a nie np. uciekła przed tyranem. Czy nie pojawi się tu pole do nadużyć i wyludzeń? Można wyobrazić sobie sytuację, że kobieta wychowywała sama czwórkę dzieci, jednocześnie pracując, wypracowała świadczenie emerytalne, a nie wypracował go mężczyzna, który jednak nie wychowywał dzieci, a prowadził, delikatnie mówiąc, hulaszczy tryb życia. I teraz to taki mężczyzna zgłosi się po świadczenie. Choć z ustawy wynika, że świadczenie finansowane ze środków budżetu państwa

nie będzie przysługiwać osobom skazanym oraz takim, które w wyniku alkoholizmu, narkomanii przebywały lub przebywają w publicznych placówkach odwykowych z całodobowym utrzymaniem, to jednak wcześniejsze pytanie wciąż jest aktualne.

WIĘCEJ WĄTPLIWOŚCI

Nie ma także do końca jasności, co ustawodawca rozumie pod pojęciem „wychowanie”. Czy chodzi o dzieci, które ukończyły 18 lat, czy może o dzieci, które mają odrębne gospodarstwo domowe, a może dzieci, które samodzielnie zarabiają? Choć w uzasadnieniu ustawy czytamy, że „przez wychowanie dzieci projektodawca rozumie osobistą opiekę sprawowaną nad dziećmi jako stałe, bezpośrednie i ciągłe sprawowanie ogółu obowiązków spoczywających na rodzicach w ramach prawa im przysługujących względem dziecka, w celu należytego wykonywania pieczy nad jego osobą i majątkiem”, to wydaje się, że nie mamy tu odpowiedzi na powyższe pytania. Nie wiadomo także, co w przypadku, gdy dziecko urodziło się i zmarło, a kobieta wychowywała trójkę dzieci, będąc jednocześnie matką czwórki? Czy jej także będzie się należało świadczenie?

W sytuacji, gdy organowi przyznającemu świadczenie pozostawi się zbyt duże pole do interpretacji, może się zrodzić pole do wydawania decyzji uznaniowych, wedle widzimisię osoby rozpatrującej wnioski. A ponieważ odwołanie nie będzie kierowane do sądów powszechnych – co zauważył na łamach wspomnianej już „Gazety Prawnej” dr Lasocki – jak w przypadku innych decyzji emerytalnych, wydawane decyzje będą nieweryfikowalne.

Nowe świadczenie ma kosztować budżet państwa ok. 1 mld zł w skali roku, a ustawa miałaby wejść w życie 1 stycznia 2019 r. Może jednak lepiej ten termin nieco opóźnić, a przygotować przepisy, które nie będą budziły wątpliwości ani nie będą wywoływały w dużej grupie społecznej zwykłego poczucia krzywdy.



Hit tygodnia

Doogee S70

Plusy i minusy

- + mocne parametry, wydaje się ciekawym rozwiązaniem łączącym przenośne konsolki i telefon
- dobrze wygląda na papierze, ale trzeba poczekać do premiery



Plantronics RIG 300 i RIG 400 Pro

Plantronics zaprezentował nowe słuchawki gamingowe: RIG 300 Series i RIG 400 Pro HC. Seria RIG 300 została zaprojektowana z myślą o najmłodszych graczach i ich rodzicach. Jest dostępna dla platform takich jak: Xbox One (HX), PlayStation (HS), Universal (HC) i PC. Słuchawki charakteryzują się modułową, trwałą konstrukcją z otwartymi muszlami, które są lekkie i zapewniają komfort nawet podczas wielogodzinnych rozgrywek. Model RIG 400 Pro HC jest unowocześnioną wersją RIG 400. Ich główną zaletą jest RIG Game Audio Dial, czyli sposób regulacji głośności za pomocą pokręteł, które można umieścić w gnieździe Jack 3,5 mm. Dzięki tej funkcji regulowanie głośności podczas gry jest łatwe i szybkie. RIG 300 kosztuje 169, RIG 400 Pro 249 zł.



Premiera

Blaupunkt SD-S1



Na polski rynek trafił energooszczędny, bezprzewodowy detektor dymu. Dzięki sieciowemu systemowi alarmowemu detektor jest dużo skuteczniejszy od dotychczas dostępnych. Tradycyjne detektory mają czujniki fotoelektryczne wykrywające widzialny dym powstający w bezplamienowym, początkowym stadium pożaru. Urządzenie Wireless Smoke Detector SD-S1, gdy wykryje potencjalne zagrożenie (np. nagły wzrost temperatury), wysyła informacje tekstową i głosową na przypisane (wskazane przez użytkownika) numery telefonów. Jednocześnie zaczyna migać światłem ledowym i alarmuje syreną o głośności ok. 85 decybeli.

Cena: ok. 300 zł

W czwartym kwartale 2018 r. na polskim rynku zadebiutuje Doogee S70, który w innowacyjny sposób łączy cechy smartfona gamingowego oraz urządzenia o podwyższonej wytrzymałości. Smartfon Doogee S70 wyposażony jest w ośmiordzeniowy procesor Helio P23 takowany zegarem 2,5 GHz. Ciekawostką jest zastosowany metalowy moduł chłodzący, który obniża temperaturę procesora o 7°C. Jest on umieszczony pod czytnikiem linii papilarnych. Za grafikę odpowiada chip ARM Mali G71, natomiast płynność działania aplikacji gwarantuje 6 GB pamięci RAM. Do dyspozycji użytkownika jest 64 GB pamięci wewnętrznej. Dane możemy przechowywać również na karcie pamięci micro SD o maksymalnej pojemności 128 GB. Obraz wyświetlany jest na ekranie o przekątnej 5,99 cala o proporcjach 18:9. Jest to wyświetlacz IPS produkcji LG z rozdzielczością Full HD+ (1080 × 2160 pikseli, 403 ppi). Można go obsługiwać również w rękawiczkach. Bateria urządzenia ma pojemność 5500 mAh. Smartfon jest wyposażony nie tylko w system szybkiego ładowania 12V/2A, lecz także w funkcję ładowania bezprzewodowego. Smartfon umożliwia wykonywanie zdjęć wysokiej jakości. Z tyłu obudowy umieszczono podwójny aparat wyposażony w matrycę Sony IMX 363 12 Mpix oraz dodatkową matrycę 5 Mpix. Doogee S70 został zaprojektowany tak, aby być maksymalnie odporny na silne wstrząsy i uderzenia, wnikanie pyłu i kurzu, jak również wilgoć oraz zanurzenie w wodzie czy strumień wody pod ciśnieniem. Model spełnia normy wytrzymałości IP68 oraz IP69K. Ramka urządzenia wykonana jest ze stopu aluminium, a tył obudowy pokryty tworzywem przypominającym w dotyku skórę. Ekran chroniony jest szkłem Gorilla Glass.

Zapowiedź

Przygotował Paweł Gadaczek



Pekao S.A. dołącza do elity europejskich spółek

Poniedziałek 24 września był wielkim dniem dla polskiego rynku kapitałowego. Nasz kraj dołączył oficjalnie do grona rynków rozwiniętych według klasyfikacji agencji indeksowej FTSE Russell. Polskę docenił również Stoxx, ogłaszając swoją decyzję o przyjęciu w skład indeksu Stoxx Europe 600 ośmiu polskich firm. Wśród nich znalazł się Bank Pekao S.A., który tego samego dnia otworzył w Londynie swoje pierwsze zagraniczne przedstawicielstwo

Jeszcze na początku września podczas 44. szczytu Ambrosetti Forum w Cernobbio jedyny polski reprezentant, prezes Banku Pekao S.A. Michał Krupiński, podkreślił odporność i świetną kondycję polskiej gospodarki i krajowych firm.

– Sytuacja Polski jest dalece odmienna od sytuacji niektórych innych rynków, takich jak Turcja. Polska go-

spodarka jest relatywnie odporna na zawirowania na lokalnych rynkach wschodzących. Ma dość niskie zadłużenie w walutach obcych, a PKB utrzymuje wysoką dynamikę wzrostu – mówił Michał Krupiński w wywiadzie udzielonym telewizji Class CNBC.

Jego zdanie podzielają najważniejsze globalne agencje indeksowe.

Decyzję o przekwalifikowaniu Polski z rynków rozwijających się (Emerging Markets) do rozwiniętych (Developed Markets) FTSE Russell ogłosił rok temu. Oficjalnie weszła ona w życie 24 września. Analizy trwały kilka lat. Brano w nich pod uwagę cztery kategorie: otoczenie rynkowe i regulacyjne, przechowywanie i rozliczanie papierów wartościowych, zasady transakcji oraz

dostępność instrumentów pochodnych. Polska spełniła wszystkie warunki wymagane w każdej z kategorii. Efektem tego po raz pierwszy znalazła się w grupie 25 najbardziej rozwiniętych światowych rynków, takich jak m.in. Niemcy, Francja, Japonia, Australia czy USA. Startujemy z pozycji 23., ale – jak zapowiada prezes GPW Marek Dietl – chcemy sięgać wyżej, bo potencjał polskiej gospodarki pozwala na to, aby wzrosnąć do pozycji 21.

– Awans Polski do grona rynków rozwiniętych w ramach globalnej klasyfikacji rynków akcji FTSE Russell to duże osiągnięcie – mówił Reza Ghassemieh, chief research officer FTSE Russell podczas poniedziałkowych uroczystości w Londynie. Jego zdaniem na szczególną pochwałę zasługują polskie banki: za ich dobre zbilansowanie oraz zdolność uniknięcia kryzysu finansowego.

Indeksy FTSE Russell mają bardzo duże znaczenie dla inwestorów na rynku kapitałowym. Swoje wyniki porównują z nimi zarządzający aktywami, a także banki inwestycyjne. Zmiana nie obejmuje wyłącznie polskich indeksów, jako że bezpośredni awans odnotowało także 37 spółek, które wejdą do kilku z europejskich indeksów.

– To fundamentalna zmiana w postrzeganiu Polski przez globalnych inwestorów. Przekwalifikowanie naszego kraju daje możliwość zainteresowania nowych inwestorów akcjami polskich spółek i stanowi ogromną szansę dla całego rynku kapitałowego. Wierzę, że w dłuższej perspektywie spowoduje to napływ większego kapitału na warszawski parkiet – powiedział Marek Dietl, prezes GPW.

Nie tylko agencja FTSE Russell pozytywnie oceniła zmiany w naszym kraju. Również Stoxx, operator indeksów Deutsche Boerse Group, awansował Polskę. Do indeksu Stoxx Europe 600 gromadzącego spółki z uznawanych za rozwinięte krajów Europy weszło osiem firm z Polski. W tym gronie znajdują się tylko duże i najbardziej płynne firmy z warszawskiej GPW, a wśród nich Bank Pekao S.A. Dotychczas w tym indeksie były uwzględniane spółki z 17 krajów Europy, teraz dołączy do nich również Polska.

Przedstawiciele zarządu Banku Pekao S.A. wzięli udział w uroczystościach związanych z awansem Polski do grupy rynków rozwiniętych według FTSE Russell, zorganizowanych na londyńskiej giełdzie papierów wartościowych.

– Oceniamy, że po awansie Polski do rankingów rynków rozwiniętych FTSE Russell i Stoxx 600 grupa pasywnych inwestorów, których inwestycje naśladowały zachowanie indeksów dla rynków wschodzących w oparciu o indeksy FTSE, może w znaczącej mierze zostać zastąpiona przez inwestorów lokujących środki w spółki rynków rozwiniętych. W przypadku inwestorów o aktywnym profilu inwestycyjnym akcje Banku Pekao S.A. mogą być atrakcyjne zarówno dla inwestorów rynków wschodzących, jak i rozwiniętych. Dla tych pierwszych, polski rynek to ostoja stabilności na tle trudności innych gospodarek wschodzących. Z kolei dla inwestorów rynków rozwiniętych polskie spółki, takie jak Pekao S.A., oferują ponadprzeciętną dochodowość i wzrost trudny do osiągnięcia w innych częściach Europy, zwłaszcza w sektorze bankowym – powiedział Michał Krupiński.

Otwartość na nowe wyzwania potwierdza decyzja o ekspansji zagranicznej Pekao. Symbolicznie w dniu oficjalnego wejścia Polski do grupy rynków rozwiniętych bank otworzył w Londynie swoje pierwsze zagraniczne przedstawicielstwo.

– Widzimy wzrost zainteresowania funduszami private equity z Londynu. Dlatego podążamy za naszymi klientami, niektórymi funduszami hedgingowymi, funduszami private equity. Widzimy także zainteresowanie naszych polskich klientów korporacyjnych eksportem do Wielkiej Brytanii, brytyjskim rynkiem – powiedział prezes Michał Krupiński podczas wywiadu w londyńskiej redakcji BBC World News 24 września.

Inaugurując pracę zagranicznego przedstawicielstwa, Bank Pekao S.A. nawiązuje do najlepszych tradycji z przeszłości, kiedy jego oddziały rozlane po całym świecie (we Francji, Palestynie, Argentynie czy Stanach Zjednoczonych) oferowały usługi finansowe Polonii i Polakom zdobywającym obce rynki.

Polacy i dziś zdobywają rynki na całym świecie, zakładając za granicą swoje firmy. W samej Wielkiej Brytanii powstało ich około 30 tys. Obce rynki kuszą także duże przedsiębiorstwa działające dotychczas tylko w Polsce. To dla nich Bank Pekao S.A. przygotował swoją ofertę.

– Konieczne jest, aby bank z silnym międzynarodowym DNA, jakim jest Pekao, pozostał blisko naszych klientów i inwestorów. Bez względu na wynik trwających negocjacji brexitowych Wielka Brytania pozostanie ważnym partnerem dla Polski i polskich firm. Wymiana gospodarcza między naszymi krajami jest wspierana przez międzynarodowe ambicje polskich korporacji, ducha przedsiębiorczości Polaków mieszkających w Wielkiej Brytanii oraz rosnące zainteresowanie inwestorów brytyjskich Polską. Nasze nowe przedstawicielstwo w Londynie ułatwi współpracę pomiędzy obydwoma rynkami – zadeklarował Michał Krupiński.

Zainteresowanie jest obopólne. Nasz polski bank organizuje działalność w Londynie, tymczasem angielskie banki inwestycyjne, inwestorzy private equity, zarządzający aktywami, wielonarodowe korporacje oraz osoby o najwyższych dochodach z wielką ciekawością przyglądają się dynamicznie rozwijającemu się polskiemu rynkom. Awans Polski w klasyfikacji agencji indeksowej FTSE Russell oraz przyjęcie polskich spółek w skład indeksu Stoxx Europe 600 wzmacnia naszą wiarygodność i ośmiela inwestorów do wejścia na nasze rynki. Będąc w Londynie, Pekao może skuteczniej wspierać inwestycje w Polsce z korzyścią dla wszystkich stron.

– Polska staje się coraz bardziej atrakcyjnym rynkiem dla inwestorów private equity Londynu. Z kolei polskie korporacje mają międzynarodowe ambicje. Chcemy być pośrednikiem globalnych powiązań w imieniu naszych klientów i inwestorów – podkreśla Roksana Ciurysek-Gedir, wiceprezes zarządu Banku Pekao S.A. nadzorująca Pion Bankowości Prywatnej oraz działalność londyńskiego biura.

Analizowane są również perspektywy otwarcia biur w Europie i USA, o czym prezes informował już na początku roku podczas udziału w 48. Światowym Forum Ekonomicznym w Davos.

Czy mogę jeszcze kotlecika

Chociaż pochodzę ze znanej gotującej rodziny, moje pierwsze smaki wiążą się z przedszkolem. Byłam dzieckiem, które wszystko lubiło i miało świetny apetyt, więc panie kucharki za mną przepadały. Mama mi to przypomniała.

Uwielbiałam kotlety. Takie tradycyjne, z ziemniakami, koperkiem. Kiedyś, podobno, złapałam za fartuch panią kucharkę i poprosiłam: „Czy mogę jeszcze jednego kotlecika?”. To się w przedszkolu nie zdarza, więc tamte panie do dziś miło to wspominają.

Wcześniej polubiłam krewetki, które dzieciom raczej nie smakują. Tata mi je często w restauracji zamawiał albo sam robił. Od najmłodszych lat (mam jeszcze trzech starszych braci) podsuwał nam różne smaki. Testował je z nami. Te bardziej wytrawne czy pikantne, intensywnie. Mama była od słodszych dań.

W szkole wymieniałam się na kanapki. Tata wstawał rano i robił mi jakieś majonezy, curry, burgery z wołowiną, a ja miałam czasem ochotę na zwykłą bułkę z pastą jajeczną albo szynką i serem. Znajomi byli tą zamianą zachwyceni.

Odkąd pamiętam, kuchnię w naszym domu wypełniały zapachy najróżniejszych potraw. Rodzicie przywozili przepisy z zagranicznych podróży, bardzo wiele też pływali. Było w rodzinnym menu sporo ryb i owoców morza, ale też tradycyjnych polskich potraw, w tym zup. W czasie wyjaz-



dów tata bił rekordy Guinnessa na żurek albo „kuroniówkę”. Mamy też swoją spolszczoną wersję chińszczyzny, m.in. z ogórkiem, porem i polędwiczką (przepis można znaleźć na stronie kuron.com.pl/chinszczyzna-kuronow). Robiłam to danie „rodzince z MasterChefa”. Byli zachwyceni, że tak można do tego podejść.

Lubimy rodzinnie gotować. Robimy razem dwa, trzy dania, a za tydzień przygotowujemy inne. I ten sam przepis, w zależności od tego, kto się nim zajmuje, daje zarazem podobny, ale też trochę inny efekt. Zaczęliśmy się też kulinarnie specjalizować. Mnie

pociąga kuchnia azjatycka, mama genialnie robi naleśniki, placki, ale też owoce morza czy obłędny pilaw z jagnięciny, Kuba znakomicie czuje smaki owoców morza i ryb...

Gotowanie to nasza rodzinna pasja, ale i praca. Prowadzimy firmowe kantyny i cateringi dietetyczne (na dniach będę się bronić właśnie z dietetyki), mamy też fundację dla potrzebujących. O tym, że staram się o udział w programie „MasterChef”, bliscy dowiedzieli się, kiedy już byłam na ostatnim etapie eliminacji. Przez całą edycję (szóstą) oczywiście mi kibicowali, a mama bardzo wszystko przeżywała. Po roku, jaki minął od tamtego czasu, potwierdzam: było warto. Także dla wspaniałych ludzi, których poznałam. Każdemu taką przygodę polecam.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**

Spaghetti z cukinii z sezonowymi warzywami i marynowanym tuńczykiem

Składniki: 200 g polędwicy z tuńczyka, 4 łyżki prażonego białego sezamu, 1 pęczek natki pietruszki, 1 cytryna, 1/2 szklanki oliwy, sól, pieprz, pomidorki koktajlowe (różne) 10 sztuk, 2 papryki czerwone, 2 szalotki, 3 ząbki czosnku, 1 zielona cukinia, 1 świeży ogórek, 1 łyżka octu balsamicznego, 1 łyżeczka cukru, świeże zioła do dekoracji

Wykonanie: Tuńczyka marynujemy w oliwie, cytrynie, natce z dodatkiem soli i pieprzu. Paprykę czystymy, nacieramy solą i pieprzem

oraz oliwą, wkładamy do nagrzanego do 180 stopni piekarnika z funkcją grilla. Pomidorki koktajlowe podsmażamy na oliwie z cukrem i octem balsamicznym, odkładamy na bok. Na patelni przesmażamy szalotki, zgrillowany czosnek. Dodajemy cukinię pociętą na paseczki, pomidory karmelizowane, grillowaną paprykę i świeżego ogórka. Całość mieszamy i nakładamy na talerz. Tuńczyka smażymy po minucie z każdej strony. Zdejmujemy i posypujemy prażonym sezamem. Układamy rybę, makaron dekorujemy ziołami.



Fot. Materiały prasowe x2

Brukiew z blachy



ANNA MONICKA

Odgrażałam się kiedyś, że jak nie znajdę sobie ciekawego zatrudnienia, to poszukam zajęcia w zielarniaku. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego stał dawno temu w opozycji do tzw. dobrej pracy. Im jestem starsza, tym bardziej mnie fascynują miejsca, w których można kupić zdrowe, niepryskane warzywa, pomidory czy jabłka bez chemii, kapustę kwaszoną, a nie zalaną octem, ładne zioła. A jeszcze bardziej mnie fascynują ludzie, którym się chce takie warzywa na rynku znajdować i sprzedawać innym, w trosce o ich i własne dobre samopoczucie.

Dlatego odkryciem jest niedawno otwarty Warzywniak na Moko, na rogu Kazimierzowskiej i Raclawickiej. Drewniane skrzynki z dyniami ustawione przed wejściem, piętra jablek i śliwek, ściana z ziołami, pachnące chleby, świeżutki nabiał od porządných lokalnych dostawców.

Dziś wpadłam przed pracą jak po ogień (tak naprawdę po humus ze skórką cytrynową i chleb gryczany, ale skusiłam się jeszcze na ciasto marchewkowe) i zadałam głupie pytanie: „A co to?”, wskazując na wielkie warzywo przypominające buraka cukrowego. Pani uśmiechnęła się i obwieściła: „A brukiew!”.

Słyszałam o niej ostatnio wieki temu od nieżyjącej już babci, która jadła brukiew w czasie okupacji i miała nadzieję nigdy więcej jej nie mieć na talerzu.

Dziś warzywo wraca do łask. Dlaczego? W końcu zanim uznaliśmy, że ziemniaki to nasze narodowe warzywo, ludzie jedli właśnie brukiew – pełną witamin, substancji mineralnych i zdrowych kwasów tłuszczowych. Jest niskokaloryczna, bardzo syćca i wspomaga trawienie, więc sprzyja odchudzaniu. Ma dużo siarki, czyli poprawia włosy. Działa lekko moczopędnie, wypłukuje toksyny. Zawiera też substancje o udowodnionym działaniu przeciwrakowym – glukozynolaty. Jako krzyżówka kapusty i rzepy ma zalety obu tych warzyw.

Gdy opowiedziałam mamie o moim odkryciu w zielarniaku, bardzo się ożywiła. Okazało się, że ja też ją jadłam. Gdy byłam mała, mama robiła brukiew jak teraz kalarepkę – obierała, kroїła w kostkę, gotowała w osolonej wodzie i podawała z okrasą – podsmażonym boczkiem. Albo dodawała do zupy warzywnej czy wszelkich kremów, podawanych z grzankami albo groszkiem ptyśowym. Dziś ją kupię i upiekę na blasze wraz z dynią, selerem i batatami. Tradycyjne smaki nigdy mnie jeszcze nie zawiodły.

Polscy dziegciarze i amerykańska demokracja

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Byla kiedyś substancja, która przez setki lat, od wieku XV aż po XIX, była przebojem polskiego eksportu; funkcjonowanie ówczesnego świata było bez niej w zasadzie niemożliwe. Pochodziła z lasów i była tak nieodzowna, że kiedy na lądzie północnoamerykańskim powstawała pierwsza osada, pierwsi przybyli fachowcy od jej produkcji.

Substancją tą był dziegieć, a fachowcami polscy dziegciarze. Przybyli do Ameryki w 1608 r. – 12 lat przed słynnym „Mayflower” – i postawilibym dolary przeciw orzechom, że statek sławnych angielskich przybyszów, zwanych pielgrzymami, czczonych w Dzień Dziękczyńienia, nie miałby nawet jak przebyć Atlantyku bez polskiego dziegciu.

Według „Encyklopedii leśnej” dziegieć to „lepka, ciemnobrązowa ciecz, powstająca w wyniku rozkładowej suchej destylacji kory brzoźowej” (i innych gatunków). Dziegciem impregnowano tkaniny, uszczelniano statki i beczki, klejono co miało być trwałe, smarowano kołowroty i osie wozów, leczono kopyta zwierząt i rany ludzi. Słowem – nie było dziegliny życia, której nie towarzyszyłaby mocna woń dziegciu.

Ponad sto lat po Kolumbie, kiedy hiszpańskie miasta zdążyły się już zestarzeć, w Ameryce Północnej nic się nie zmieniło. Dopiero w 1607 r. założono Jamestown – wyglądało jednak na to, że osada szybko skończy nędzny żywot – nie było złota, strzały indiańskie były ostre i celne, a nowych osadników czekała raczej śmierć głodowa zamiast fortuny. W tej sytuacji w 1608 r. do Jamestown przybył żaglowiec „Mary i Margaret”, przywożąc na pokładzie dziegciarzy z Polski. Jak wyglądała podróż przez ocean i Ameryka widziana oczyma ludzi z głębi polskich lasów z czasów Zygmunta III Wazy? Z relacji angielskich dowiadujemy się, że tylko Polacy i Holendrzy potrafili pracować i utrzymać siebie i innych. Jednak podczas wyborów władz głosować mieli tylko Brytyjczycy. Prości wytwórcy smoły i dziegciu z polskich lasów zorganizowali pierwszy strajk w Ameryce, żądając prawa głosu. W 1619 r. Londyn to prawo im przyznał.

Cztery wieki później na miejscu pierwszej osady odnaleziono medalik ze św. Jackiem Odrowążem, polskim świętym, kanonizowanym zaledwie 14 lat przed przybyciem Polaków do Ameryki.

Pewien dziennikarz (nie używam nazwiska, bo sprawa nie nabrała bardzo publicznego charakteru) został oskarżony przez grupę młodych panien o... No właśnie, trochę trudno powiedzieć o co. Roboczo nazwijmy to pewną formą molestowania seksualnego, przy czym same oskarżające szczerze przyznały na łamach publikującego ich wynurzenia feministycznego portalu, że nie bardzo wiedzą, jak nazwać zbrodnie, których wobec nich dopuścił się oskarżony.

Bo nie składał im ani tym bardziej nie ponawiał propozycji o erotycznym charakterze. Skarżące się damy nie były też od niego uzależnione zawodowo. Pisywały wprawdzie na portalu, który on współredagował, ale żadna z nich nie twierdzi, jakoby on coś zawodowego uzależniał od ich relacji osobistych. Wręcz kiedy widział, że te ostatnie nie chcą się ułożyć tak, jak on by pragnął, po prostu przekazywał kontakty z tymi dziewczynami współpracownikom. I na zawodowym czy organizacyjnym (bo rzecz dotyczyła nie tylko dziennikarstwa, również zaangażowań o charakterze społecznym) położeniu żadnej z nich taki obrót spraw się negatywnie nie odbił. Przynajmniej żadna tak nie twierdzi.

Bohater tego felietonu, rzecz jasna, próbował je podrywać, co – jak mi się wydaje – wciąż nie jest zakazane prawnie. Przy czym był od nich dużo, dużo (i ten element sytuacji jest przez oskarżycielki podkreślany) starszy. Kontaktowali się, co dzisiaj oczywiście, głównie przez internet. On ów kontakt – do czasu – podtrzymywał, przeglądał ich facebookowe profile, by znaleźć tematy do konwersacji. I, podkreślmy to jeszcze raz, nie był w żaden sposób agresywny, wulgarny ani obleśny. Tyle że do nich pisał. A one odpowiadały, choć zdawkowo. Kiedyś jedna z nich opublikowała na Facebooku swoje zdjęcie, które sama (!) określiła mianem śmiałego. On napisał wówczas do niej: „A myślałem, że jesteś taka grzeczna...”. I te słowa są teraz używane jako koronny dowód przeciw niemu. Co świadczy o tym, w jakim kłopotcie są oskarżycielki i jak bardzo nie mają przekonujących argumentów.

I tak się to toczyło. Dziennikarz – być może – przeceniał siłę swojego uroku. Ale też nie przeciągał zbyt długo sprawy. Gdy przez parę miesięcy widział, że jego zabiegi są nieskuteczne, odpuszczał. I adresatkom jego korespondencji, które przez te parę miesięcy co najwyżej czuły się zmuszone co parę dni lakonicznie odpowiadać na niechciane maile, nic złego się nie działo.

Sorry, dziewczyny

PIOTR SKWIECIŃSKI



*Młode feministki żądają,
żeby próbowali je podrywać
wyłącznie ci faceci, którzy im
się podobają. Chcą zjeść ciastko
i mieć ciastko*

Aż raptem jedna z nich postanowiła się nagłośnić (zrobić szybką karierę w dziennikarstwie czy polityce jest trudno; pokusa do działania na skróty jest zrozumiała) poprzez zrobienie skandalu wśród feministycznej publiki. I w jakiejś mierze się jej udało. Bohater tego tekstu, choć nie uważał się za winnego czegokolwiek, poczuł się zmuszony do – żadanego przez atakujących – wpłacenia określonej sumy na feministyczną fundację. Co osobiście uważam za pewną formę rozbójniczego wymuszenia (to taki termin z Kodeksu karnego).

Ale wciąż nie wiem, na czym polega rzekomy problem. Ot, starszy wiekiem facet usiłował nieskutecznie wyrywać znacznie młodsze od niego panny – tyle. I co w tym strasznego? Przecież ani nie przekroczył żadnych reguł, ani też żadna z jego korespondentek nie była dziewczyną typu takiej, dla której próba niezwiązanego z natychmiastowym poproszeniem o rękę podrywu byłaby czymś z definicji obraźliwym.

Otóż tak naprawdę idzie o to, że te dziewczyny – i owszem – nie miałyby nic przeciw byciu podrywanymi czy wręcz poderwanymi. One po prostu żądają, żeby podrywali je wyłącznie ci faceci, przez których one chcą być podrywane. Inni zaś za podjęcie próby podrywu mają być karani.

Chyba nie muszę tłumaczyć, jak dalece ten postulat jest nierealistyczny i niezgodny z ludzką naturą. To pierwsza przyczyna, dla której stan postulowany przez owe damy nigdy nie zostanie osiągnięty. Przyczyna obiektywna. A druga, inna, jest taka – po prostu nie, proszę pań. Nie da się jednocześnie mieć ciastko i je zjeść.

Bycie atrakcyjną młodą kobietą daje wam tyle przewag nad resztą świata, że żądanie, by cała planeta pochyliła się z troską nad waszym dziwacznym postulatem, zdrowy na umyśle człowiek może skwitować jedynie wzruszeniem ramion.

Dlatego pozwolę sobie wygłosić taką oto zapowiedź: czekam na ten moment, kiedy poczuję się kimś dla młodych dam kompletnie już nieatrakcyjnym. W jakimś sensie oczekuję tej chwili z niecierpliwością. Dlaczego?

Dlatego, żeby potem, wtedy kiedy będę już w oczach młodych dziewczyn odpychającym starcem, rozpocząć wścieklą kampanię podrywania tychże panien.

Po co? Mając nadzieję na sukces? Ależ nie, skąd. Tylko po to, żeby zamanifestować, iż mam prawo próbować.

Więc już dziś mówię: sorry, dziewczyny. Nothing personal.

Jeśli ktoś nie zauważył, to powyższą zapowiedź można traktować jako żartobliwą.



Utraciłeś sprzedawcę prądu?
Masz taryfę rezerwową?
Zgłoś się do nas - pomożemy.

Skontaktuj się z nami w celu doboru optymalnej
dla Ciebie oferty. Zobacz jakie to proste!

Zadzwoń pod numer infolinii 611 111 111

lub udaj się do najbliższego Biura Obsługi Klienta Enei.

enea.pl

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Myśleć i działać samodzielnie

Polsce potrzebna jest amerykańska obecność „tego trzeciego”, z którym muszą się liczyć nasi „trudni” sąsiedzi



Postać Dory Kacnelson, wielkiej przyjaciółki Polski, zakochanej w twórczości Adama Mickiewicza, przypomina mi się zawsze w okolicach 17 września, ale teraz jakby częściej, już niezależnie od tej daty. Zawsze gdy widzę wiernopoddanicze gesty polskich polityków w stosunku do Niemiec albo gdy nagle powraca „narracja” tychże polityków opozycji o potrzebie dobrych stosunków z Rosją.

Mija właśnie 20 lat, od kiedy Dora Kacnelson, zaproszona przez Warszawski Oddział Literatów Polskich, powiedziała do zgromadzonych: „Ja mogę powiedzieć to, czego wy, z różnych powodów, nie możecie albo nie jesteście w stanie powiedzieć – otóż, układ Ribbentrop-Mołotow obowiązuje nadal”. Za te słowa dostała okłaski, chociaż jeszcze wtedy Niemcy nie rządziły jak dziś całą Europą za pomocą Unii Europejskiej, a Putin dopiero się rozkręcał, ukazując prawdziwe oblicze „matuszki Rosji”.

Złowrogi dla Polski układ, który miał też swoje dwa tajne protokoły, sprowadzał się do jednego wspólnego niemiecko-rosyjskiego zadania. Wszystko, co będzie wskazywało na jakiegokolwiek aspiracje wolnościowe Polaków, ma być wspólnie tłumione w zarodku.

W czasach gdy Polska tworzyła dzieło Trzeciego Maja, gdy pojawiła się szansa na zreformowanie państwa, król pruski Fryderyk zapewniał solennie Polaków, że jest gotów wspomóc militarnie Polskę, gdyby niezadowolona Rosja carcy Katarzyny wypowiedziała nam wojnę. Dwa dni po prusko-polskim porozumieniu, dokładnie 31 marca 1790 r., ambasador Fryderyka w Warszawie Gi-

rolamo Lucchettini wysłał do swojego króla list następującej treści: „Teraz, kiedy już mamy w ręku tych ludzi i kiedy przyszłość Polski jedynie od naszych kombinacji zawisła, kraj ten posłużyć może Waszej Królewskiej Mości za teatr wojny albo też będzie przedmiotem targu przy układach pokojowych. Cała sztuka jest w tem, żeby ci ludzie niczego się nie domyślili i żeby nie mogli przewidzieć, do jakich ustępstw będą zmuszeni”. Król Stanisław August odznaczył ambasadora Orderem Orła Białego, po czym dyplomata wyjechał do Berlina.

To dawne wydarzenie, uzupełnione wieloma podobnymi przykładami z naszej historii, aż do naszych wojennych czasów, o których wspomniała Dora Kacnelson, musi uczyć nas dystansu w polityce zarówno do Niemiec, jak i do Rosji. Nie zmieniamy przecież swojego geopolitycznego położenia, przynależąc do UE, w której główną politykę wyznacza dziś interes Niemiec. Ten sam interes, który każe Niemcom utrzymywać dobre stosunki polityczne i gospodarcze z Rosją, czego najlepszym przykładem jest druga bałtycka rura. Warto pamiętać, że jeszcze nie tak dawno kanclerz Angela Merkel wyraźnie sprzeciwiła się pomysłowi przeniesienia amerykańskich baz wojskowych do Polski. Nie udało się też próba zainstalowania w Polsce amerykańskich systemów antyrakietowych. Dziś powróciliśmy do tych pomysłów w wyniku zmiany amerykańskiej polityki zagranicznej zapoczątkowanej prezydenturą Donalda Trumpa. Zwiększa się tym samym geopolityczne znaczenie Polski, kraju, który wybija się na prawdziwą suwerenność, o której decyduje

możliwość zawierania samodzielnych układów, szczególnie militarnych.

Dyplomatyczna ofensywa rządu i prezydenta zmierzająca do zapewnienia Polsce amerykańskiej obecności wojskowej zbiegła się w czasie z zakwalifikowaniem naszego kraju do ekskluzywnej grupy państw (rynków) rozwiniętych. Polska polityka zagraniczna i gospodarcza powraca do sfery real-polityki zastrzeżonej dotąd jedynie dla ograniczonej grupy państw tzw. poważnych. W tym kontekście należy też oceniać naszą szczególną aktywność w tworzeniu planów rozwoju tzw. Trójomorza. Europa Środkowa i Południowa, ale także państwa bałtyckie, nie może pozostać terra incognita, ziemią zagospodarowywaną przez jej wielkich wschodnich i zachodnich sąsiadów.

Co zatem z UE i NATO? Unię czekają daleko idące zmiany, jeżeli w państwach członkowskich dojdą do głosu, zresztą coraz liczniejsi, zwolennicy Unii jako federacji suwerennych państw narodowych. NATO, czyli głównie Amerykanie, przemieszczając się do Polski, ale pozostając w bazach na terenie Niemiec, znacznie wzmocniliby wschodnią flankę sojuszu, tym samym zapewniliby Polsce większe bezpieczeństwo. Polsce potrzebna jest amerykańska obecność „tego trzeciego”, z którym muszą się liczyć nasi „trudni” sąsiedzi. Nie wszyscy w Polsce to rozumieją, nie chcą albo nie mogą tego zaakceptować. Generał Mirosław Różański, były dowódca Rodzajów Sił Zbrojnych RP, uznał utworzenie amerykańskiej bazy w Polsce za zagrożenie naszego bezpieczeństwa. Wcześniej, na festiwalu u Owsiaaka, straszył młodzież wojną.

Dlatego trzeba przypominać słowa Dory Kacnelson, cytować niekiedy ambasadora króla Prus Fryderyka, a przede wszystkim myśleć i działać samodzielnie zgodnie z polską racją stanu. 

Sowieci czają się w togach

W dzisiejszej Polsce odbywa się dziwny spektakl, w którym właściwie nikt nie jest tym, za kogo się podaje.

Rząd reformuje, ale jak natrafia na opór, to zaczyna kluczyć, jakby komuś brakowało odwagi do korzystania z mandatu wyborców.

Opozycja nominalnie skupiła się w PO i Nowoczesnej oraz pomniejszych przybudówkach, ale cóż to za opozycja – powiedzieć o schetynowcach, że to wydmuszki, to tak jakby nic nie powiedzieć.

Rządowi kłopoty sprawia zatem nie lawa wydmuchańców, ale opozycja prawdziwa, która usadowiła się w jednym z ostatnich bastionów PRL, w sądach. To oni – biorąc publiczne pieniądze za bycie apolitycznymi – stoją dziś na czele happeningów, które prawdziwie sprawiają władzy kłopot. Mieli strzec interesów okrągłego stołu, a tu nagle ktoś zabiera im przywileje i mówi: „Wracać do szeregu, wykonywać to, za co płaci wam polski podatnik”. No, takiej zniewagi to pokomusze plemię nie jest w stanie znieść. Pękate od pychy twarze od rana do wieczora wypełniają ekrany tefauenu. Szczują, prowokują, zebrzą o obcą interwencję. Bez złamania tej patologicznej skamieliny pozostałej po PRL nie uda się odnowić państwa ani skłonić obywateli do większej partycypacji w jego działaniach.



**Witold
Gadowski**

Musimy zdać sobie sprawę z faktu, że po 1945 r. polscy sędziowie zostali wymordowani i pozbawieni swoich funkcji, na ich miejsce przyszli „nowi”, sowieccy sędziowie. Ich dzieci i wnuki sądzą do dziś. Nie to jednak jest najgorsze. Przerażającym jest fakt, że to właśnie te podróby „wymiaru sprawiedliwości” przez pokolenia kształciły prawników w Polsce. Ten chów był nadzorowany przez komunistyczne służby, dzisiejsi profesory, „autorytety”, to właśnie produkty tej socrealistycznej orgii.

Dziwimy się, że wierzą, że donoszą na Polskę. A co mają zrobić? Przecież ich nieprawie łoża widać już w świetle jupiterów. Czy ktoś kiedyś ich weryfikował, czy ktoś przeciał sowiecką sztafetę pokoleń?

To prawdziwy wróg nowej Polski, czai się w napuszonych togach, zażywa wszelkich splendorów i dlatego jest tak mocny, trudny do pokonania. Ostatni wentyl bezpieczeństwa dla bolszewickich biznesmenów i polityków. Jak padnie, to także skończą się szantaże i potiomkinowskie wizje polskiego wymiaru sprawiedliwości. Wojna o Polskę wkroczyła w fazę decydującą, jeżeli rząd się cofnie, nigdy już nie odbudujemy prawdziwego państwa.

Niefrasobliwość czy profanacja?

Nasze muzyczne dziedzictwo narodowe wciąż inspirowane kolejne pokolenia twórców i odtwórców. Wykonywanie najważniejszych utworów patriotyczno-religijnych (hymnów) powinno być zawsze godne; chodzi tu o spójność muzyki i wizualizacji z przesłaniem tych pieśni. Przykładowo – bojowy „Marsz Pierwszej Brygady” nie może być śpiewany w konwencji dancinowej, kliwa „Warszawo ma” – jako radosny rock’n’roll, a patetyczna „Rota” – w stylu „Je t’aime” (i przez roznegliżowaną panienkę). Każdy cover tzw. bogoojczyźnianego standardu powinien potęgować jego wydźwięk, a nie trywializować lub wręcz go ośmieszać.

Tymczasem wielu współczesnych aranżerów i wykonawców nie rozumie (nie szanuje?) etosu tych hymnowych pieśni, nieświadomie (a może celowo?) profanując ich przesłanie. Koszt takich „eksperymentów” (orkiestra, chór, honoraria gwiazd, rejestracja TV itp.) i tak jest niczym w porównaniu ze szkodami wyrządzanymi publiczności przez nonszalanckie, „awangardowe

wykon”. Patrioci będą tym zniesmaczeni, młodzieży to i tak nie zachwyci, a sam utwór sprowadzony zostanie do poziomu nudnej „ramotki”. A może o to właśnie chodzi?!



**Lech
Makowiecki**

Ostatni koncert „Nasza Niepodległa” w Teatrze Wielkim udowodnił, że obroniły się te pieśni, w których zachowano w miarę tradycyjną melodię, rytm i żarliwość (polecam genialną interpretację „Pieśni konfederatów barskich” Krzysztofa Cugowskiego!). Jestem za nowymi trendami w muzyce patriotycznej, ale w przypadku np. pieśni szturmowych zamiast metroseksualnego popu znacznie lepiej sprawdzi się męski, ciężki rock (vide: Sabaton) albo choćby dynamiczny, witalny i z natury rytmizowany rap. Ręczę, że żadne pseudojazzowe, przepraszam za kolokwializm, „pitolenia” nie poderwałyby dziś nikogo do boju... Spytajcie żyjących powstańców warszawskich, jak wielką rolę odgrywały w ich walce wspólna modlitwa i śpiewanie powstańczych piosenek. Zapytajcie Kamila Stocha, co czuje, słuchając na podium hymnu Polski...

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Sami swoi

Na ekrany wszedł „Kler” Smarzowskiego. Odpowiednio wcześniej podpompany zwiastunem, wzmocniony kultowym już Gajosem i aspirującym do spiżu Więckiewiczem. Wzmocni on sprawę ks. Stryczka, sposób przedstawiania problemu pedofilii w Kościele i kompletne milczenie o tej istniejącej poza Kościołem. To film zrobiony z zębem, z dobrym rzemiosłem aktorów, z których każdy tę rolę już wcześniej gdzieś grał. Jakubik nie potrafi tu grać nikogo innego niż Jakubika, Więckiewicz też gra tylko Więckiewicza, Braciak gra wyglądem, a Smarzowski, w przeciwieństwie do np. Wajdy, wszędzie jest tylko taki sam. Jeśliby odrzucić wkład nowoczesnej technologii kinowej, to mielibyśmy obraz socrealistycznego produkcyjniaka zrobionego na zamówienie.

Próby zdyskredytowania przez film instytucji i osób często jednak kończą się spektakularnym niepowodzeniem. Gdy konfident Piwowski na zamówienie władz zrobił oślizgły film „Sukces”, mający zdyskredytować Niemena, niczego nie wskórał, podobnie jak filmem „Uprowadzenie Agaty”, robionym na wyraźne zapotrzebowanie lewej strony ówczesnej sceny politycznej. Z „Klerem” może być podobnie. Bardzo podobnie. Sprawi uciechę salonowi, rozmaitym Lemańskim, byłym księżom i niewątpliwie Urbanowi, który może da mu jakąś specjalną nagrodę, bo jest majętny. Ale oni i tak są poza Kościołem, a ich wpływ jest już żaden.

Zdumiewa mnie i śmieszy hipokryzja zarówno Smarzowskiego, jak i współtwórców filmu. Słuchałem ich nie tylko na konferencji prasowej. Wszyscy zgodnie przekonywali, że nie jest to film przeciwko wierze, księżom jako takim czy Kościołowi w ogóle. To wedle nich film o ludzkich słabościach, o tym, że wszędzie są tylko ludzie. Ułomni, grzeszni. My, katole, doskonale wiemy, że nawet Jezus upadał pod krzyżem. Czy trzeba nam to przypominać? Ale hipokryzja polega na tym, że bez dwóch zdań jest to film właśnie celowo drwiący z wiary, film szydzący z duchownych nazywanych pogardliwie „klerem”, film, który w samym zamiarze, jeszcze przed pierwszym klapsem, miał dokopać wszystkim księżom, wszystkim proboszczom, wszystkim wierzącym, wszystkim biskupom, a nie tylko tym „słabym” i zbłąkanym. Ależ ten film miał naprawdę i świadomie obrazić uczucia religijne! Tylko idiota uwierzy, że zamiar był inny. Wedle reżysera wszyscy księża są pozbawionymi sumienia cynikami, a pedofilia jest im dawana w komplecie ze święceniami. To nie jest film o marginesie kapłanów, który filmowiec powie-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Smarzowski wyraźnie
ma problem z własnym
ateizmem*

szyl do niewyobrażalnych rozmiarów. To film przeciwko całej ich reszcie. Grupka księży pedofilów zniszczyła się już sama. Resztę tej zgrai trzeba więc posłać na stos, kościoły udostępnić filmowcom, by nie musieli szukać wewnątrz w Czechach.

Smarzowski ma wyraźnie problem z własnym ateizmem. W czasie konferencji okazał się nieomylnym i zarozumiałym bufonem, starannie dopieszczonym przez krytyków i publiczność. Jest zdecydowanie zbyt próżny, aby słuchać kogoś innego niż on sam. Lecz gdyby naprawdę nie miał kłopotów z Bogiem i był przekonany, że po prostu Boga nie ma, toby się Kościołem zupełnie nie przejmował. Tak jak ma się w nosie yeti czy ufoludki, w których

istnienie się po prostu nie wierzy. Bilo z niego poczucie misji naprawczej Polski, objawianie prawdy, której boimy się nazwać. W tę misję uwierzyli jego aktorzy, a Więckiewicz okazał się gwiazdą tak wielką, że niemal nie chciał odpowiadać na pytania. Himalaje wody sodowej.

Powtórzę, co kiedyś napisałem.

Wszelkich pedofilów, także w sutannach, bym kastrował i zgłaszał do prokuratora, a pederastów natychmiast suspendowałem. Żadnych przenosin, klasztorów, odosobnień do zastanowienia. Pokutować owszem, ale już w cywilu i na własny koszt. I tyle.

Oparty na scenariuszu o finezji Benny’ego Hilla film nie będzie szkodliwy, nie zaszkodzi Polakom. Bo każdej niedzieli w mniejszych czy większych polskich kościołach zbierają się na Eucharystii miliony wiernych. Każdy ma oczy i widzi swojego pasterza. Miażdżąca, absolutnie miażdżąca większość wie, że to nie o nim jest „Kler”, że ich księża to nie dotyczy, że ich kapłanowi znacznie bliżej do Popieluszki, Kolbego, Frelichowskiego, Skorupki niż do Gajosa, Braciaka czy Więckiewicza. Bo pamiętają, gdzie uciekali przed zomolami Jaruzelskiego, gdzie szukali wolnego słowa, gdzie tłumami przychodzili, gdy w Polsce groźnie i beznadziejnie butniał komunizm.

A Kościół? Kościół nie jest tworem człowieka. Nawet najlepiej zmontowane i najkolorowiej sfilmowane opowieści nie są w stanie go zniszczyć. Bo przecież nawet „bramy piekielne go nie przemogą”, a tym bardziej jeden, pięciu, a nawet milion Smarzowskich. Próżno więc „wierzącą przeciw ościeniowi”. To film zrobiony przez swoich i dla swoich. Film w złej wierze, dla poklasku i mamony. Zaprzedać duszę diabłu i tylko tyle zyskać? Strasznie głupi ten deal Smarzowskiego. 

PRZEZ ŚWIETLIK

Prądy i wielbłądy

Według starego powiedzenia tylko krowa nie zmienia poglądów. Nie jest to zresztą reguła w przypadku wszystkich zwierząt, bo jak pisał Andrzej Waligórski: „Rzecz wiadoma, że wielbłądy zmieniają poglądy i że ciągle węższą, skąd mocniejsze prądy”. No więc w Polsce mamy zdecydowaną nadreprezentację wielbłądów nad krowami. Przynajmniej w mediach. Spokojnie, koledzy z prawicy, nie będę wspominał waszych pogmatwanych ścieżek publicystycznych, ścieżki światopoglądowe naszych polityków są w końcu jeszcze bardziej kręte.

Chodzi o sprawy dużo poważniejsze. Weźmy taką Rosję i rosyjską agenturę. Kiedyś, kiedy otworzyłeś „Gazetę Wyborczą” albo posłuchałeś polityków PO, wszystko było wiadomo. Mniej więcej wyglądało to tak: „Z Rosją potrzebujemy partnerskich stosunków. Najważniejsze to nie drażnić, nie prowokować, a ruską agenturą straszy wariat Macierewicz i Kaczyński, który by się zemścił za brata, chce wywołać wojnę z Putinem. W dodatku całe to czeplanie się Rosjan o nieprawidłowości w śledztwie smoleńskim, nieoddawanie wraku to skandal, obraza i zaczadzenie smoleńską mgłą. To przez rząd PiS ustawiane są iskandery w Kaliningradzie, bo inaczej co najwyżej byłaby tam wolnocłówka i aquaparki”.

Było w tym stylu mówione? No to teraz sięgam po najbardziej chyba kiedyś wrogi wszelkim lustracjom i polowaniom na agentów tytuł, czyli „Politykę”, a sięgam po niego rzadko, bo jest ciekawy jak flaki z olejem i czytam, że aferę podsłuchową rozkręcili jacyś ludzie powiązani z PiS i z Ruskimi. Krzysztof Bondaryk, prominentny funkcjonariusz platformerskiego systemu bezpieczeństwa, twierdzi wprost, że te nagrania, które jego kumpli wysadziły z foteli, to ruska robota. Po co bracia Rosjanie tak robią? „By tu były Dzikie Pola” – tłumaczy Bondaryk. Nie wyjaśnia niestety, czy kolega Nowak, który ustalał skręcenie śledztwa w skarbówce z kolegą Parafianowiczem, to były tylko klony podstawione przez FSB, ale to się rozumie samo przez się.

Ruska linia w kręgach PO jest nader modna. Joanna Kluzik-Rostkowska ma ten luksus, że kiedyś była w rządzącej partii, która mówiła, że opozycja to Ruscy, potem zrobiła tak, jak to robią wielbłądy, gdy węższą mocniejsze prądy, i przeszła do rządów owej wcześniejszej opozycji, a teraz tamtych, którzy kiedyś mówili, że opozycja to Ruscy, oskarża, że oni sami są Ruscy. Pogubiliście się? Nieważne, Kluzik, moja dawna koleżanka redakcyjna, dużo bardziej. Ostatnio rozpedziła się tak, że stwierdziła, iż „PiS powinno zauważyć, że realizuje doktrynę rosyjskiego szefa sztabu [Walerija] Gierasimowa”. Dajmy sobie spokój z tym, o co generałowi chodzi, bo w tym przypadku to naprawdę nie ma sensu.



**Wiktor
Świetlik**

Ale linia narracyjna, jak to się mówi, powstała. W dużym skrócie jest taka, że ściganie wszystkiego, co nabroila PO, to robota rosyjskich agentów. Afery taśmowa i hazardowa, przewały w Warszawie. Tego nie było, Rosjanie to wymyślili albo wyolbrzymiają, a my zajmujemy się nie tym, czym powinniśmy. Bo nawet jak tak było, to nie można się tym zajmować, bo Ruscy wykorzystają.

W życiu – nie tylko Ludmiły Kozłowskiej – zresztą też bywa podobnie. Żona pokazuje mężowi zdjęcia, na których ten jest z kochanką, i krzyczy: „Zdradziłeś mnie, chcę rozwodu!”. Mąż spokojnie ogląda zdjęcia i mówi: „Po pierwsze, trzeba sprawdzić, kto robił zdjęcia, na jakim sprzęcie, czy posiadał uprawnienia i po co fotografował...”. Wiadomo kto, Ruscy. A jak Ruscy, to tak jak podczas podróży służbowej – się nie liczy.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

PANI MINISTER ANNIE FOTYDZE

NAJSERDECZNIEJSZE WYRAZY ŻAŁU
I WSPÓŁCZUCIA Z POWODU ŚMIERCI

MAMY

ŁĄCZĄC SIĘ Z NIĄ W MODLITWIE,

SKŁADA

*Ryszard Legutko,
przewodniczący delegacji
Prawa i Sprawiedliwości
w grupie EKR Parlamentu Europejskiego
wraz z posłami PiS do Parlamentu Europejskiego
i pracownikami grupy EKR*

63/09/18/F



JAN POSPIESZAŃSKI

W jednym z ostatnich programów „Warto rozmawiać” przedstawiciel Polonii amerykańskiej powiedział: „Polska powinna przyjąć wobec działaczy polonijnych zasadę: najpierw lustracja, potem dotacja”. Dotknął tym samym kwestii niejasnych biografii niektórych działaczy czerpiących pełnymi garściami dotacje z Polski. Po tym programie otrzymałem sporo głosów z zagranicy – maili i telefonów. Ograniczę się tylko do kilku przykładów z zachodniej Europy.

Na Zachodzie żyje ok. 2 mln Polaków. W większości jest to emigracja ostatnich kilkunastu lat. Tymczasem większość organizacji polonijnych powstała wcześniej. Jedne zakładane przez starą emigrację powojenną, inne przez tych, którzy na różne sposoby opuszczali Polskę w latach komuny, w tym olbrzymia fala wychodźstwa polskiego w latach „Solidarności”. Niestety aktywne są też te tworzone przez agenturę dla infiltrowania polskiej emigracji. Problem przenikania współpracowników lub funkcjonariuszy służb PRL do środowisk polonijnych jest znany. Ich misją były: inwigilacja, dezinformacja i dezintegracja. Według ewangelicznej zasady – po owocach ich poznać – polscy emigranci mogli wyczuć w swoim otoczeniu, kto działa na rzecz polskiej racji, a kto bruździ, konfliktuje, paraliżuje dobre inicjatywy. Np. jeżeli działacz

Najpierw lustracja, potem dotacja

Już pora, by dzieląc te 100 mln zł przeznaczone na wsparcie Polaków za granicą, wreszcie uwzględnić patriotyczne środowiska

polonijny utrzymywał bliskie relacje z polską placówką konsularną w stanie wojennym, był to sygnał, że należy się trzymać od niego z daleka. Smutnym paradoksem jest honorowanie dziś przez polskie instytucje takich właśnie skompromitowanych działaczy (np. ze Szwecji). Owszem aktywności tym ludziom często nie można odmówić. Patriotyczni działacze określają to jako cepeliadę – folklor, gazetka, spotkania przy kawie. Poważne inicjatywy patriotyczne, np. włączenie się w kampanię wyborczą, wyłonienie mężów zaufania do komisji, organizowanie manifestacji w święta narodowe, upamiętnienie polskich bohaterów pomnikiem lub tablicą, spotyka się najczęściej z ich strony z obojętnością lub bojkotem.

Misja dezintegracji prowadzona jest nadal. Jedna z organizacji polonijnych opublikowała donos na środowisko patriotycznej i „solidarnościowej” emigracji skupione w Kongresie Polaków w Szwecji, że są rasistowską organizacją o sympatiach nazistowskich. Absurdalne zarzuty drukowane są w prasie polonijnej za pieniądze polskiego podatnika przez ludzi o tajnych życiorysach, opluwani zaś to represjonowani działacze „Solidarności” wypchnięci z więzień w stanie wojennym, z paszportem w jedną stronę. Podobny donos widzieliśmy za sprawą odwołania wizyty Wojciecha Cejrowskiego w Belfaście. Tym razem zadziałała nie stara agentura, lecz neomarksisci.

Po tragedii smoleńskiej wielu przedstawicieli starej i nowej emigracji zaczęło tworzyć patriotyczne środowiska

(m.in. Kluby „Gazety Polskiej”, Solidarni 2010 itp.). Organizowali marsze pamięci, spotkania z historykami i konserwatywnymi publicystami, zapraszali posłów PiS w ramach kampanii, liczyli głosy w komisjach wyborczych. Po wygranych wyborach w 2015 r. okazało się, że nie ma ich na liście gości zapraszanych do polskich placówek dyplomatycznych, na uroczystości czy ważne spotkania. Tam brylowali ciągle ci sami co dawniej. Ci sami otrzymywali dofinansowania, często na projekty szkalujące Polskę.

Np. zaproszenie na Zjazd Polonii z Londynu otrzymała Grażyna Czubińska, propagatorka gender, współpracująca z Magdaleną Środą – autorka pseudobadań, z których wynika, że Polki za granicą są bardziej rozwiązłe. W Irlandii dofinansowanie kwotą ponad 290 tys. zł otrzymał Dom Polski, który... stoi zamknięty. Tymczasem prężnie działający Klub Historyczny, założony przez emigranta z ostatnich lat, na wykłady z historii Polski prowadzone przez wybitnych profesorów salę musi wynajmować na mieście. Owszem Polacy na emigracji też mają poglądy. Odzwierciedlają krajową, podzieloną scenę polityczną. Pytanie, czy w czasach dobrej zmiany nie należy uważniej dysponować pieniędzmi z budżetu? Już pora, by dzieląc te 100 mln zł przeznaczone na wsparcie Polaków za granicą, wreszcie uwzględnić patriotyczne środowiska kierujące działaniami do nowej emigracji. Od tego m.in. zależy, czy milionowe rzesze emigrantów i ich dzieci ochronią polską tożsamość. 

Niesmaczny incydent

Za nieodpowiedzialną postawę oskarżonego sąd dyscyplinarny przy ministrze sprawiedliwości w gabinecie cieni rządu Platformy Obywatelskiej wymierzył płk. Adamowi Mazgule naganę z wpisaniem do Wikipedii”.

Muszę z przykrością ujawnić, że po ogłoszeniu w roku zachowanie oskarżonego było niegodne emerytowanego oficera. Płk Mazguła opadł bezwładnie na siedzenie ławy, przesłonił dłońmi twarz, a z zagłuszających głośnym szlochem słów do obecnych docierały jęk i zawodzenie przypominające rannego żubra. Dopiero po dłuższym czasie najbliższej rodzinie udało się go uspokoić i wyprowadzić z sali.

Rozprawie jednoosobowo przewodniczył były sędzia Sądu Najwyższego, dziś w stanie spoczynku, Józef Iwulski. Oskarżenie zarzuciło Adamowi Mazgule, że nie wywiązał się z zawartej z ministrem sprawiedliwości umowy. Wedle kontraktu minister Borys Budka miał uczeswtniczyć nie mniej niż w trzech demonstracjach w obronie emerytur i rent byłych oficerów MSW i Ludowego Wojska Polskiego w czasach PRL. W zamian płk Mazguła, reprezentujący tamto środo-



**Jerzy
Jachowicz**

wisko, zobowiązał się zorganizować na dużą skalę manifestację w obronie wydalonej z Polski Ludmiły Kozłowskiej, ofiarnie walczącej o prawa człowieka.

Zaangażowanie oraz niezwykła żarliwość sprawiły, że Borys Budka na trwale zapisał się jako przyjaciel byłych funkcjonariuszy PRL. Przeciwnieństwem godnej najwyższego uznania postawy ministra okazała się działalność płk. Mazguły. Jego nieudolność w połączeniu z rozsiewanym wokół siebie bałaganem sprawiły, że nazwanie niewypałem zorganizowanego przez płk. Mazgułę protestu byłoby zbyt łagodne. W opinii sądu to wielka kompromitacja. Pojawiła się garstka znajomych i kumpli Mazguły. Zebrani postanowili być chórem armii PRL i odśpiewać „Ode do radości” jako część apelu do intelektualistów europejskich.

A czy ktoś słyszał, jak Mazguła fałszuje? Pozostali też nie byli solistami Opery Narodowej. Dość, że dobiegło to aż do uszu Angeli Merkel. A nasz premier rządu cieni Grzegorz Schetyna musiał się tłumaczyć przed kanclerz Niemiec z tego niesmacznego incydentu.

CO MNIE CIESZY

Powrót

Tak, to mój powrót do roli pani Solskiej w komedii „Kogel-mogel”. Kręcimy kontynuację po 30 latach.

Z tremą zaczynałam pracę w pierwszym dniu zdjęciowym. Bałam się, czy bariera wieku pozwoli mi dobrze wykonywać zawód. Chyba udało mi się przezwyciężyć słabości przy pomocy reżysera i kolegów na planie, którzy mieli dla mnie pewną wyrozumiałość. Z przyjemnością stanęłam przed kamerą. Myślę, że jak stary wysłużony koń, który zawsze wie, jak trafić do domu, tak i aktor, kiedy stanie przed kamerą i usłyszy słowa: „Cisza, kamery, poszło, akcja”, zaczyna grać.

Smutno, że nie wszyscy po 30 latach doczekaliśmy pierwszego klapsa. Brakuje Jurka Turka, który grał mego męża. Brakuje też mojej ukochanej aktorki, wieloletniej sąsiadki – Małgorzaty Lorentowicz, z którą mieszkaliśmy w tym samym domu. To piękna modna dama w kapeluszu z tej komedii. Te postaci nie wrócą. Dzieciatko, które było w łonie mojej córki Kasi, teraz ma 30 lat. Jest jednym z bohaterów filmu. A piekielny Piotruś, którego Kasia wychowywała, jest dojrzałym panem pod pantoflem swojej żony.

Grając w dwóch częściach „Kogla-mogla”, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że będzie to film kultowy. Tyle razy był powta-



**Katarzyna
Laniewska**

rzany. Wielokrotnie mnie zatrzymywano i dziękowano za tę rolę. Pani Ilona Łepkowska dała mi do ręki wspaniały scenariusz wtedy i teraz też. Ona się nie zmieniła. Niestety musiał się zmienić reżyser, bo Roman Załuski nas pożegnał.

Plan jest planem i na planie też się zmieniło. Mamy bus z garderobą, bus z charakteryzacją. Wielki bufet na kółkach. Salonik w autokarze do wypoczynku. Wtedy w gospodarstwie zajmowaliśmy jakiś kącik, jakiś pokój, i chodziło się do sławojki. Z wyżywieniem przyjeżdżał samochód z termosami wojskowymi i była zupa z wkładką. Najbardziej cieszyły się okoliczne psy. Było też

większe koleżeństwo – po zdjęciach nie biegliśmy, nie śpieszyliśmy się, a w przerwie były sympatyczne rozmowy.

Nasz film, mam nadzieję, zainteresuje publiczność, która dopytywała, dlaczego nie kręcimy trzeciej części. Doczekaliśmy się. Będzie „Miszmasz”. Acha, jedno się w filmie polskim nie zmieniło – to, że się czeka. Jest rozkład dnia – mamy zaczynać o godzinie, kiedy jeszcze kury nie wstają i kogut nie pieje, a potem się siedzi i czeka. Tak było, jak zaczynałam w 1952 r. i tak jest do dziś. Widać nie można tego zmienić. Trzeba zaakceptować i polubić. Z wielką przyjemnością stanę na planie – oby tylko nie czekać, a pracować.

Rysuje Jerzy Wasiukiewicz

TRENDY I OWĘDY

Robimy Radio Wnet

Radio Wnet dostało koncesję na nadawanie w Warszawie i Krakowie

Budowanie mediów niezależnych jest u nas niezwykle żmudne. Porządek w eterze zaaplikowany nam na początku lat 90. jest w III RP praktycznie świętością. Lewacki przekaz dominuje i tego nie można naruszać.

Nie każdy sobie zdaje sprawę, jak wielką rolę odegrało w walce o niesformatowanie umysłowe Polaków Radio Wnet. Krzysztof Skowroński potrafił z radia internetowego, mającego retransmisję wyłącznie pomiędzy 7.07 a 9.00 w paru rozgłośniach katolickich stworzyć solidną instytucję opiniotwórczą. Rozgłoszenie komercyjne kupują słuchacze sejfami, w których kuszą i 500 tys. zł do wygrania, a Radio Wnet, żeby przetrwać, musiało się zwracać do fanów o pomoc finansową.

Większość osób pojawiających się na antenie robiła to wyłącznie z pobudek ideologicznych. Jarmarki Radia Wnet oprócz oferty ekologicznych produktów są klubami dyskusyjnymi. W latach supremacji Platformy, kiedy wydawało się, że nie wyrwiemy się z posmoleńskiej matni, przy okazji zakupów można było doświadczyć duchowej pociechy. Radio Wnet to najprawdziwsza wolność słowa, podparta rzetelną analizą rzeczywistości. Świetnie, że wreszcie udało się Żółtej Łodzi Podwodnej wypłynąć na szerokie fale radiowe.

W sytuacji, kiedy dobra zmiana zachowuje się dosyć bezradnie wobec umocowanych u nas obcych koncernów medialnych z kłamliwym przekazem, należy się radować, że Radio Wnet będzie dostępne analogowo chociaż w dwóch miastach. Słuchaczy na pewno nie zabraknie.



Ryszard Makowski



Zawistowski prezentuje: **Różnorodność**



Wycinki z przeszłości

Antychrześcijańskie, a w szczególności antykatolickie podejście reżimu hitlerowskiego często umyka komentatorom. Chyba świadomie. Dowody nienawiści do Kościoła, zachęty, by rozbijać go np. zarzutami o pedofilię, odnajdujemy m.in. w dziennikach Goebbelsa. Ale nie tylko. Oto notatka z „Przewodnika Katolickiego” z 1935 r., przynosząca opis jednego z takich ekscesów.

„Wybryki młodzieży hitlerowskiej w kościele. Biskup Treviru ks. Bornewasser przed niedawnym czasem udał się do miejscowości Bad-Kreuznach, by dokonać obrzędu Bierzmowania. Młodzież hitlerowska, korzystając z tej okazji, urządziła wielką demonstrację antykościelną i nie zawahała się nawet wtargnąć do kościoła. Oddziały Hitlerjugend okrzykiwały umyślnie kościół, wśród bicia w bębny i wrzasków, a huk był tak wielki, że nie można było słyszeć słów formuły liturgicznej, powtarzanej w kościele przez 3000 młodzieży katolickiej. Pochód hitlerowski wszedł do kościoła. Biskupa w szatach liturgicznych przywitano gwizdaniem i obrzydliwymi wrzaskami. Znęcano się też nad młodzieżą katolicką, wychodzącą z kościoła”.

Pamiętajmy, jakie owoce dało to zdziczenie, m.in. w postaci śmierci, w ogromnej mierze z rąk niemieckich, co piątego polskiego księdza diecezjalnego w czasie II wojny światowej. **(mk)**



Nowa piosenka jesienna

Jesienniej, jesienniej nam panowie,
panie...

– Wrzesień pięknie nam się wrześni
Tabory wrzosów ciągną lasami
Jeszcze...

A leszczyny?
Zapełniają magazyny
Ruda gajów, wśród gałęzi,
tanecznicza



Leszek Długosz

Wciąż zachwyca
Czy dlatego, że tak zwinna, skrzętna
Czy, że to od Mickiewicza tak się
Widzi nam
Pamięta?

– W październiku?
– Jakaż zagra nam muzyka?
Tyle razy już to było odśpiewane
Ach panowie, panie – a co z nami
Co po nas?

– Inne dzieci weźmie Pan Bóg
Na wychowanie...
Na nadbrzeżach, na peronach
Nic tu po nas
Wstecz odpłyną nasze chatki
Sprzęty, lampy i zabawki
– Wszystko cośmy budowali, gromadzili
Nic stąd z nami nie popłynię
Może tylko ktoś tam z drugiej strony
Rzeki

Ślad wylowi z tych zapisków
Z tej muzyki i zamysłów
Co je serca niedosyty
Układały w te piosenki
I z dystansu – z wyniosłości swojej daty
Tym uśmiechem pobłażliwym nas obdarzy:
„Ach tak, była taka jesień
Byli tacy...”

I ktoś może jeszcze głębiej
W naszą stronę wychylony
To usłyszysz i się zgodzi:
Pięknie grają w październiku w głębi lasów
Waltornie...

Odkryje – że to tak po Harasymowiczu?
Może trochę po mnie?
Stąd, z tych czasów...

Jesienniej, jesienniej nam
Wrzesień pięknie nam się wrześni
Tabory wrzosów ciągną lasami
Jeszcze...

CENNIK

PRENUMERAT*

	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIĘCI	69 zł	129 zł	229 zł
w SIĘCI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIĘCI i w SIĘCI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Pigułka gwałtu dla wszystkich

Chcesz coś prostego sprawdzić w internecie, a po trzech kwadransach dzwoni koleżanka i orientujesz się, że wędrując przez ten cały czas po sieci, nawet nie zdążyłeś przeczytać tekstu zawierającego odpowiedź na twoje pytanie. To nie dzieje się przypadkiem. O to chodziło. Właśnie padłeś ofiarą cyfrowych technologii uzależniających. Znów.

Pewnie wielu czytelników zwróciło uwagę na wakacyjne zdjęcia, na których trójka ratowników WOPR siedzących na stanowiskach obserwacyjnych na plaży gorliwie zatopiona jest... w smartfonach.



możliwe. W ten sposób rozkodowuje się wzorce zachowania niczego nieświadomych użytkowników sieci.

Tak, to testowanie zazwyczaj odbywa się bez jakiegokolwiek świadomości badanych osób. To tak jakby milionom w sposób niezauważalny podano substancję przypominającą pigułkę gwałtu – pozbawiającą woli i czyniącą ludzi łatwymi do wykorzystywania. W internetywnym, osobliwym laboratorium powstają coraz bardziej złożone algorytmy manipulacji zachowaniami ludzi.

TECHNOLOGIE UZALEŻNIAJĄCE

Dlaczego ratownicy nie potrafili oderwać wzroku od trzymanyh w dłoniach ekraników? Z tych samych powodów, dla których nasze dzieci

chcą grać, czatować, surfować, postować, like'ować, robić selfie... itd.

Facebook błyskawicznie stał się gigantem technologicznym, gdyż jego biznesowa formuła sprzedaży reklam została oparta na stale udoskonalanych technologiach, których celem jest przytrzymanie nas przed ekranem; a gdy się już „wy-pniemy”, to niebawem mamy chcieć wrócić.

Jeszcze przed narodzinami świata cyfrowego technologie potrafiły nas uzależniać, a bez wątpienia niekiedy po uzależnieniu te sięgano świadomie. Głośna była sprawa (nadal powinna być dla nas przestroga) ukrytego, nielegalnego dodawania przez amerykańskie koncerny tytoniowe substancji uzależniających palaczy. Rzecz skończyła się wielomilionowymi odszkodowaniami i miliardowymi karami, ale... zmieniły się tylko metody.

GWALT NA MILIARDACH

Ileż to razy pod wpływem tego, co wyświetla smartfon, niekorzystnie dla siebie i swych bliskich gospodarujemy zasobami umysłowymi, emocjonalnymi, finansowymi. A zaczyna się niewinnie. Podpinamy się do sieci, tak jak przychodzimy na imprezę. Chcemy się tylko dobrze zabawić, zrelaksować, np. dzięki grze on-line; poprawić sobie humor, kupując coś fajnego. Pigułka gwałtu podawana jest niepostrzeżenie, nawet nie wiemy, kiedy staliśmy się bezwolni.

Bez analizy rozmyślnie doskonalonych technologii bezpośrednio oddziałujących na nasze umysły nie da się zrozumieć dynamiki internetu ani całego tego postępu...

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

MANIPULACJA STARA JAK ŚWIAT

Bodaj we wszystkich konfliktach społecznych w historii przeciwnicy starali się manipulować umysłami drugiej strony. Podobnie jest w gospodarczej współpracy oraz konkurencji. Oprócz relacji uczciwych zdarza się, że działające strony tak wpływają na psychikę konkurenta lub współpracownika, by przy minimalnym wkładzie własnym uzyskać maksymalne korzyści.

Manipulacja wiąże się z poznawczą przewagą manipulant nad ofiarą manipulacji. Ofiara najczęściej nie zdaje sobie sprawy, że czegoś w danej sytuacji nie wie i tego, że jej działania mają przynieść przede wszystkim korzyść komuś innemu.

Manipulacji ulec może każdy, choć w różnym stopniu. Podatność na manipulację zależy od cech wrodzonych, ale też od naszych doświadczeń życiowych. Do niedawna skuteczność międzyludzkiego manipulowania była ograniczona, gdyż nasze słabe punkty rozpoznawano metodą prób i błędów.

NOWA MOC MANIPULACJI

Eksperymentalne badania psychologiczne, profesjonalizacja marketingu, pijaru i sztuki reklamy, potem rozwój nurtu ekonomii behawioralnej, a następnie eksplozja biznesów internetowych radykalnie zmieniły efektywność manipulacji.

Obecnie manipulację coraz częściej są oparte na tzw. twardych – czyli mniej zawodnych – danych gromadzonych na masową skalę. Techniki przyciągania uwagi (to kolejna ogromna różnica) testowane są na wielomilionowych próbach badawczych. Nigdy wcześniej w historii nie było to

Jesienna promocja

Zamów subskrypcję tygodnika „Sieci”
w wersji elektronicznej



a dodatkowo **otrzymasz GRATIS:**

- ✓ **wSieci Historii** – dostęp do e-wydań miesięcznika w okresie subskrypcji
- ✓ **Sieci EXTRA** – specjalne e-wydanie przygotowane dla czytelników Sieci Przyjaciół
- ✓ **Newsletter** – najlepsze artykuły z portalu wPolityce.pl bezpośrednio na e-mail

1 miesiąc

~~19,99 zł~~

9,99 zł

12 miesięcy

159,99 zł

+

Koszulka

o wartości
103zł

gratis!



www.SiećPrzyjaciół.pl

Oszczędzaj z głową!

Przenieś numer do Plusa, dobierz telewizję od Cyfrowego Polsatu, a wszystko już od 40 zł miesięcznie. Do tego dokup Światłowód Netii z rabatem smartDOM.



40
od
zł/mies.
z rabatem smartDOM



TELEFON



TELEWIZJA



Dokup
Światłowód Netii
do **900**
Mb/s



[1] TELEFON: Dotyczy wybranych wariantów ofert. Szczegóły w regulaminach promocji: „PLUS.”, „PLUS. ELASTYCZNA”, „smartDOM 4 - Telewizja, Internet, Telefon” dostępne na www.plus.pl i u Doradców.

[2] TELEWIZJA: Dotyczy promocji dla nowych Klientów dostępnych z ofertą elastyczną Rodzinny HD + Cinemax HD z min. zobowiązaniem 10 zł/mies. z rabatem smartDOM przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. Szczegóły w Warunkach Oferty i regulaminie, dostępne na www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.

[3] SMARTDOM: Opłata miesięczna 40 zł uwzględnia rabaty wynikające z programu smartDOM. Rabaty dostępne przez całą umowę w przypadku zachowania warunków promocji. Szczegóły w regulaminie programu „smartDOM 4 - Telewizja, Internet, Telefon”. Warunkiem otrzymania rabatu smartDOM na usługę Światłowodu Netii jest spełnienie wymogów wynikających z regulaminu promocji „Najlepsza rozrywka - smartDOM”. Regulaminy dostępne na: www.plus.pl, www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.